ROZMOWA Z METROPOLITĄ KRAKOWSKIM

Trzeba powiedzieć „non possumus” – abp Jędraszewski broni katolików

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 47/349 18–24 LISTOPADA 2019

Macierewicz upomina PiS – zauważa Semka

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM FABULARNYM O ŚW. FAUSTYNIE

Arka ludożerców – Łysiak o dramacie sprzed 200 lat

gościni czy gościa

polityczka i magistra

krytyczka

Gwałt na języku polskim

JAK FEMINISTKI PRÓBUJĄ ZEPSUĆ POLSZCZYZNĘ

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 76 tys. egzemplarzy

eprasa.pl f5436f6b3a

DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE!

Najwięcej firm wybrało PKO TFI do zarządzania Pracowniczymi Planami Kapitałowymi.

Bank Polski

100 1919/2019

*Stan na 08.11.2019 r.

eprasa.pl f5436f6b3a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Odpowiedź na uzurpację

Kiedy już zdawało mi się, że nic mnie nie będzie w stanie zaskoczyć, pojawiła się informacja o najnowszej rezolucji Parlamentu Europejskiego, potępiającego Polskę za obywatelski projekt ustawy poświęcony walce z pedofilią. Za rezolucją krytykującą Polskę zagłosowało 471 eurodeputowanych, sprzeciwiło się jej 128. 57 europosłów wstrzymało się od głosu. Co istotne, za przyjęciem rezolucji głosowały wszystkie najważniejsze frakcje PE: chadecy, socjaliści, zieloni, liberałowie. Naprawdę w takich chwilach myślę, że czcigodnych europarlamentarzystów ogarnęła pomroczność jasna albo, używając języka nieco bardziej dosadnego, że większość z nich to ciężcy idioci. Jedno jest pewne: większość posłów do PE zachowuje się jak pacynki, którym wystarczy pomachać przed oczami odpowiednim hasłem – walka o edukację seksualną – żeby uzyskać oczekiwany efekt.

Komentatorzy od razu zauważyli, słusznie, że rezolucja podjęta przez PE dotyczy po pierwsze projektu, który jeszcze przez Sejm nie został w ogóle przyjęty, po drugie, co nie mniej istotne, projektu obywatelskiego, a nie rządowego czy partyjnego. Możliwości są zatem dwie: po pierwsze, większość europosłów nie wiedziała dokładnie, nad czym głosuje. W ich podświadomości został utrwalony obraz Polski jako państwa szalejącej prawicy, gdzie rządzi straszna, zaściankowa i autorytarna władza, która zakazuje swoim obywatelom wiedzy o seksie – ciekawe zresztą, że wizerunek ten łączy w sobie przeciwności, takie jak katolicyzm i purytanizm. Jednak – jak widać – nawet to europosłom nie przeszkadza: skoro powiedziano im, a zrobili to ludzie tak godni szacunku i zaufania jak lider Wiosny pan Robert Biedroń, że celem ustawy jest wprowadzenie zamordyzmu, to w odruchu solidarności zagłosowali przeciw Polsce. W takim wypadku mielibyśmy do czynienia po prostu z ignorancją i głupotą. Nie wiem wprawdzie, czy to pocieszające: pomyśleć, że PE gromadzi kilka setek ludzi niezdolnych do samodzielnego myślenia, których za pomocą sztuczek można nakłonić do głosowania w sprawie, o której niczego nie wiedzą – aż strach pomyśleć o tym, co mogą oni jeszcze przegłosować.

Druga możliwość jest inna. Niektórzy z głosujących być może jednak wiedzieli, o co chodzi. Uznali zatem, że obywatele nie mają prawa przygotowania projektów ustaw, jeśli są one niewystarczająco postępowe, oraz – co jeszcze bardziej szokujące – faktycznie próbowali uniemożliwić polskiemu parlamentowi samodzielną pracę nad tym projektem ustawy. Uprzedzając działania polskich posłów, którzy projekt ustawy mogli przyjąć, odrzucić, polepszyć, PE faktycznie uzurpuje sobie władzę i dokonuje radykalnego przekroczenia swoich uprawnień. Mówi bowiem polskim posłom: wara od tej ustawy. Nie macie prawa się nią zajmować. Zamiast bronić dzieci przed pedofilią, macie uczyć dzieci „o równości płci, wyrażaniu zgody oraz wzajemnym szacunku. […], macie też zwalczać stereotypy związane z płcią, homofobię, transfobię oraz przemoc na tle seksualnym". Na szczęście w polskim prawie nie ma przepisów dotyczących homofobii i transfobii, do których odwołuje się PE. Wynika z tego wszystkiego jedno: większość PE traktuje polski Sejm tak, jakby nie był on organem suwerennego państwa. Tak mniej więcej kolonizatorzy traktowali dawniej, pardon, tubylców.

Jak można na to reagować? Można machnąć ręką i popukać się w czoło. Można się rozzłościć. Można się zżymać. Można też jednak zastanowić się nad przyszłością. Jeśli PE w tak brutalny sposób próbuje ingerować w polskie prawodawstwo w tej sprawie, to dlaczego nie w innych? Całe szczęście, że – jak mówi przysłowie – psy szczekają, karawana jedzie dalej. Oby nigdy nie było tak, że o polskich ustawach i ich kształcie nie będą decydować polscy obywatele i wyłonione przez nich władze, ale obce, coraz bardziej zadufane w sobie instytucje. Rezolucję PE powinno się potraktować zatem tak, jak ona na to zasługuje: należy przyspieszyć prace nad obywatelską ustawą „Stop Pedofilii". To będzie najlepsza odpowiedź na uzurpację. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl f5436f6b3a

TEMAT TYGODNIA

20 ŁUKASZ WARZECHA
WOJNA O JĘZYK
Lewicowy atak na słowa

24 ROZMOWA Z BARBARĄ NOWAK, MAŁOPOLSKĄ KURATOR OŚWIATY
TO OBALANIE CYWILIZACJI

KRAJ

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
DOBRA ZMIANA BEZ ZMIAN
Ministerialne targi i podziały stanowisk

28 ROZMOWA Z JANEM MARIĄ JACKOWSKIM
POLACY MAJĄ DOŚĆ POLARYZACJI

30 PIOTR SEMKA
PRZESŁANIE STAREGO MISTRZA

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SZCZUREK MERDA PSEM

34 ROZMOWA Z KS. ABP. MARKIEM JĘDRASZEWSKIM
EUROPA CIĄGLE POTRZEBUJE CHRZEŚCIJAŃSKIEGO DUCHA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CELEBRYCKI BABY BOOM

KULTURA

40 WALDEMAR ŁYSIAK
ARKA LUDOŻERCÓW
O dramacie sprzed dwóch stuleci

48 RADOSŁAW WOJTAS
STRZEŻ SIĘ RODZINY

50 PIOTR GOCIEK
RAPORT Z REJONU

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 JAN PARYS
SZKODA INTELIGENCJI
Obrażeni na własny kraj

60 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
RAPORT O STANIE WIARY

DODATEK SPECJALNY

63
POLACY PRZECIW OSZCZERSTWU

ŚWIAT

80 TERESA STYLIŃSKA
PARLAMENTARNY CYRK
Agresja w życiu publicznym

82 PIOTR WŁOCZYK
KLIMATYCZNE BOJÓWKI

EKONOMIA

86 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNA NA ŻĄDANIE
Pojedynek gigantów

SPORT

94 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM BOŃKIEM
MŁODZI PIŁKARZE SĄ ZA SZYBKO SPRZEDAWANI
Prezes PZPN: Najlepsi wyjeżdżają, a sprowadzamy słabych

O ZDROWIU

98 ROZMOWA Z DR. HAB. N. MED. MICHAŁEM ZEMBALĄ
POLACY MAJĄ SMYKAŁKĘ
Polska kardiochirurgia to poziom światowy

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (62), WARZECHA (84), GABRYEL, RYBIŃSKI (90), KOMUDA (100), KUCHARCZYK (104), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (105), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl f5436f6b3a

DO IV EDYCJI KONKURSU

ZAPRASZA PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

100 % polski produkt

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

eprasa.pl f5436f6b3a

Drodzy Czytelnicy,

Dziś list wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego do redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Pawła Lisickiego.

„Instytucje", Marcin Wolski, „DRz" 46/2019

Szanowny Panie Redaktorze,
w związku z opublikowanym na łamach tygodnika „Do Rzeczy" felietonem Pana Marcina Wolskiego, w którym autor zarzuca „ludziom odpowiedzialnym za kulturę", jakoby przez minione cztery lata nie tworzyli instytucji, ulegali „środowiskowym szantażom" i „terrorowi pseudoautorytetów", informuję Szanownych Czytelników Pana Tygodnika, iż w mijającej kadencji minister kultury powołał kilkadziesiąt nowych instytucji kultury i muzeów, m.in.: Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego (który zaledwie dwa miesiące temu otworzył swój oddział w Berlinie, kolejne planuje otworzyć w Nowym Jorku i Tel Awiwie); Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA (który opiekuje się zabytkami, zabytkowymi nekropoliami i polonijnymi instytucjami kultury, takimi np. jak Instytut Józefa Piłsudskiego czy Biblioteka Polska w Paryżu); Instytut Literatury; Narodowy Instytut Architektury i Urbanistyki; Biuro Programu „Niepodległa" (które od trzech lat koordynuje i wspiera obchody Święta Niepodległości); Polską Operę Królewską; Instytut Dziedzictwa „Solidarności"; Narodowy Fundusz Ochrony Zabytków.

Wiele instytucji kultury dzięki różnorakim przekształceniom zyskało całkowicie nowy styl działania. Tak stało się w przypadku Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego, Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przy Chełmskiej w Warszawie, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, Interaktywnego Centrum Bajki i Animacji w Bielsku-Białej, Instytutu Śląskiego w Opolu, Instytutu Północnego im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie, Państwowego Instytutu Wydawniczego czy Polskiego Wydawnictwa Muzycznego.

Zmienia się też mapa instytucji muzealnych. Od końca 2015 r. minister powołał Muzeum Westerplatte i Wojny Obronnej 1939 r., Muzeum Piaśnickie, Muzeum-Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej, Muzeum Kresów w Lublinie, Muzeum Ziemi Oświęcimskiej, Muzeum Pamięć i Tożsamość w Toruniu, Muzeum Getta Warszawskiego, Muzeum Witolda Gombrowicza w Vence k. Nicei. Na współprowadzenie wzięliśmy m.in. Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego, Muzeum Polaków Ratujących Żydów Podczas II Wojny Światowej w Markowej, Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej, Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej, Muzeum Sybiru w Białymstoku. W sumie MKiDN po mijającej właśnie kadencji współfinansuje i współprowadzi 31 „nowych" instytucji muzealnych, w tym tak ważne dla polityki historycznej muzea martyrologiczne i miejsca pamięci, jak m.in. Muzeum Walki i Męczeństwa w Treblince czy muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy.

Trwają odbiory Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku i ostatnie prace w najnowszym oddziale Muzeum Narodowego w Krakowie – Muzeum Książąt Czartoryskich (zapraszam na otwarcie 19 grudnia!). W warszawskiej Cytadeli wreszcie – po ponad 10 latach – w 2018 r. ruszyła budowa Muzeum Historii Polski. Budujemy także Międzynarodowe Centrum Muzyki w Żelazowej Woli oraz Europejskie Centrum Filmowe Camerimage w Toruniu.

Minister kultury dofinansował także w sposób trwały, dynamizując znacząco ich działalność, 13 samorządowych instytucji artystycznych (m.in. zespoły Śląsk i Mazowsze, orkiestry, filharmonie, opery i teatry).

Powstały także nowe, całkiem poważne instytucje promujące polską muzykę – Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, Międzynarodowy Konkurs Muzyczny im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, Międzynarodowy Konkurs Muzyki Polskiej im. Stanisława Moniuszki w Rzeszowie oraz Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej Eufonie.

Nowe instytucje prawne to z kolei kilkadziesiąt nowych ustaw i nowelizacji, m.in. o zachętach dla produkcji audiowizualnych czy restytucji narodowych dóbr kultury.

Minister kultury przyczynił się także do powstania ważnych nowych instytucji, takich jak Narodowy Instytut Wolności czy Polska Fundacja Narodowa. Między innymi dzięki działaniom MKiDN, a także NIW, dzięki wsparciu grantowemu powstały w ostatnim czasie dziesiątki nowych instytucji kultury i instytucji obywatelskich o charakterze lokalnym i oddolnym.

A w oficjalnym programie PiS zapowiadane są kolejne instytucje, które będziemy tworzyć, m.in. Teatr Impresaryjny czy ustawa o statusie artysty, która m.in. ureguluje kwestie emerytur dla twórców.

Panie Redaktorze,
jako stały czytelnik „Do Rzeczy" doceniam pracę autorów Pana Tygodnika i bardzo dziękuję za wszelkie uwagi krytyczne i fachowe analizy zjawisk z obszaru polskiej kultury. Ale, na miłość boską, bardzo proszę o szacunek dla pracy innych ludzi. Żeby dowiedzieć się czegoś o tej pracy i o instytucjach, o które woła Redaktor Marcin Wolski, wystarczy śledzić polskie media albo zajrzeć na stronę internetową ministerstwa kultury. Ostatecznie można zadzwonić do ministra (obaj Panowie Redaktorzy znają przecież numer mojego telefonu).

Z wyrazami szacunku
Piotr Gliński

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Domiński, Zbyszek Kaczmarek/REPORTER, Andrzej Hulimka/Forum; oprac graf: SUNDAY/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 76 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl f5436f6b3a

GINTROWSKI

X

JUBILEUSZOWY KONCERT

TEATR POLSKI
im. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

BILETY DOSTĘPNE W KASIE TEATRU

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:

PGNiG · ORLEN · Enea

PATRONAT MEDIALNY:

TVP 1 · Jedynka · Do Rzeczy · wprost

PARTNERZY:

LOTTO · fundacja arp · Poczta Polska · żabka · Lotnisko Chopina Warszawa 85 lat

eprasa.pl f5436f6b3a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kto o czym chce zapomnieć?

Są takie daty w naszej historii, o których wolelibyśmy zapomnieć. Ale na przekór temu musimy o nich pamiętać. Są takie noce, w rocznice których chcielibyśmy milczeć. Ale na przekór temu musimy zabrać głos. 81 lat temu mieszkańcy Breslau wystąpili przeciw mieszkańcom Breslau". Ta wypowiedź Jacka Sutryka, prezydenta Wrocławia, była zachętą do udziału w Marszu Wzajemnego Szacunku w rocznicę nocy kryształowej – akcji pogromów Żydów, do których doszło w 1938 r. także w niemieckiej wówczas metropolii nad Odrą.

„Prezydent Wrocławia Jacek Sutryk obarczył mieszkańców swojego miasta odpowiedzialnością za noc kryształową" – ogłosiły „Wiadomości" TVP. W reakcji na to publicysta „Gazety Wyborczej" we Wrocławiu nazwał taką interpretację słów gospodarza Wrocławia „goebbelsowską propagandą".

Jednak podobne jak TVP rozumienie słów Sutryka pokazał Bogusław Sonik, polityk PO z Krakowa, który zareagował tak: „Ale kto chce milczeć? Czy jest ktoś, kto nie potępia pogromu Żydów przez hitlerowski rząd w Niemczech, w noc »kryształową« z 9 na 10 listopada 1938? Może trzeba to wykrzyczeć w Berlinie, gdy jest święto zjednoczenia". W obronę Sutryka zaangażował się wrocławski działacz lewicy Michał Syska: „Władze Wrocławia z Jackiem Sutrykiem słusznie oddają hołd ofiarom nocy kryształowej, bo ten epizod Breslau ma wymiar uniwersalny: jest przestrogą przed ideologiami opartymi na nienawiści. Kłamliwa nagonka skrajnie prawicowych publicystów więc nie dziwi".

Co wywołało emocje? Po pierwsze, prezydent użył wieloznacznego sformułowania „nasza historia". Nasza, czyli całego okresu istnienia Wrocławia, czy nasza w rozumieniu pamięci Polaków we Wrocławiu? Tutaj nie ma miejsca na dwuznaczności, bo napadów nazistów i podpuszczonych przez nich „zwykłych" wrocławian polscy mieszkańcy miasta nie uznają za swoje winy. Dalej: Co oznacza określenie o datach, „o których wolelibyśmy zapomnieć"? Czy Polacy we Wrocławiu chcą zapomnieć o zbrodniach nazizmu? Bzdura!

Gdy już wybucha oburzenie na tak nonszalanckie i wieloznaczne stwierdzenia Sutryka, lewica zmienia front i fałszuje istotę sporu. „Gdybyście mieli na prawicy czyste sumienie – nie występowalibyście przeciw uczczeniu rocznicy »Kristallnacht«". A przecież protestów nie wywołuje czczenie ofiar antyżydowskiego pogromu sprzed 81 lat! Chodzi o zacieranie granicy w opowieści o tym, kto odpowiada za ten czyn. Wtedy lewicowcy przechodzą na kolejną linię obrony – noc kryształowa należy do dziejów Wrocławia i chcąc czuć się obywatelem tego miasta, trzeba przyjąć to do wiadomości. Jednak skoro tak, to dlaczego nie wspomnieć przy okazji o prześladowaniach wrocławskich Polaków w latach 1918–1939?

Jak się okazuje, o wiele łatwiej stosować psychologiczny szantaż – albo akceptujesz moralną winę jako teoretyczny wrocławianin za Kristallnacht, albo ujawniasz niechęć do czczenia ofiar pogromu Żydów. No, to prawica ma do obchodów podejrzliwość. No, to lewica triumfuje: „Patrzcie na prawicę, ona po prostu nie chce uczcić ofiar Kristallnacht". Wtedy wielu prawicowców zalewa krew i o dialogu nie ma mowy. I tak w kółko. ©℗

FOT. NETFLIX

WYGRANA BITWA W WALCE O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ

Netflix obiecał dodać do mapy w serialu „Iwan Groźny z Treblinki" (na zdjęciu) wyjaśnienia o tym, że „obozy zagłady i obozy koncentracyjne zostały zbudowane i były prowadzone przez niemiecki reżim nazistowski, który napadł na Polskę i okupował ją w latach 1939–1945". To reakcja na apel naszego MSZ oraz wysłany w poniedziałek list Mateusza Morawieckiego do szefa Netflixa Reeda Hastingsa, w którym premier podkreślał, że „mapa nie tylko jest nieprawdziwa, ale wprowadza widzów w błąd, sugerując im, że Polska była odpowiedzialna za założenie i prowadzenie tych obozów". – Mamy XXI w. i faktycznie relacje dyplomatyczne, jak się okazuje, mogą mieć wieloraki charakter, nie tylko między państwami, ale też między dużymi korporacjami – oznajmił rzecznik rządu Piotr Müller. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

EUROPEAN CONSERVATIVES AND REFORMISTS GROUP

prof. Ryszard

LEGUTKO

zaprasza na dyskusję

Od tolerancji do despotyzmu

Lewicowy marsz na Polskę

Beata **Szydło**

ks. prof. Piotr **Mazurkiewicz**

red. Michał **Karnowski**

red. Grzegorz **Górny**

red. Michał **Rachoń**

red. Jan **Pospieszalski**

22.11.2019

piątek, godz. 9:00-13:00

Aula Zgromadzenia
Księży Misjonarzy
Kraków, ul. Stradomska 4

eprasa.pl f5436f6b3a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Konfederacji z pomocą

Kiedy TVP z łatwych do domyślenia się powodów postanowiła istnienie siły politycznej o nazwie „Konfederacja" ukrywać przed widzami do czasu wyborów, pozwoliłem sobie na żart, że to przewrotny plan, by formację tę wprowadzić do Sejmu. Po pierwsze bowiem, dzięki wygrywanym z „Wiadomościami" procesom i sztuczkom zastosowanym przez nie przy wykonywaniu – bądź właśnie odmowie wykonania – wyroków, zyskała ona nimb męczeństwa. Po drugie, nie będąc w telewizji, nie mogli najbardziej znani konfederaci „uruchomić protokołu 1 proc.", czyli palnąć czegoś, co w ostatniej chwili odwiedzie wyborców od traktowania ich poważnie. Co się drzewiej kilkakrotnie zdarzało.

Mój żart, powiedzmy oględnie, nie spodobał się nikomu z zainteresowanych, a im który możniejszy, tym bardziej. W takim razie tym razem powiem na poważnie: to, jak zachowuje się PiS wobec Konfederacji w Sejmie, jest dla młodej formacji nieocenioną promocją. Niedopuszczenie jedynego koła poselskiego do prezydium wysokiej izby dałoby się obronić, gdyby nie to, że głosami PiS został do niego wybrany „stary komuch" (jak sam się z dumą nazywa) i bohater afery Rywina Włodzimierz Czarzasty.

Niedopuszczenie konfederatów do komisji zajmującej się kontaktami z UE czy komisji ds. rodziny to już czysta szykana. A wybranie na szefową tej drugiej komisji, aby tylko zablokować kandydata prawicowego, proaborcyjnej lewaczki to na dodatek niedający się usprawiedliwić żadną polityką skandal. Wręcz siarczysty policzek dla ponad miliona wyborców Konfederacji i dla co najmniej równie wielu tych, którzy pomimo rozczarowania kunktatorstwem PiS w kwestii pryncypiów mimo wszystko tym razem jeszcze na nie zagłosowali. W połączeniu z nader aroganckim uwaleniem przez Trybunał Konstytucyjny wniosku w sprawie aborcji eugenicznej jest to mocny sygnał dla „żelaznego elektoratu", że PiS – jak to zresztą wieszczyłem – kompletnie się „stuszczył", czyli stał bezideową partią władzy i czas poprzeć polityków bardziej ideowych.

Co najciekawsze, skądinąd wiem, że PiS nie chce wzmocnić Konfederacji, tylko po prostu żyje chciejstwem, iż partia ta zaraz zniknie, pokłóci się i rozsypie, i prawicowy elektorat nadal „nie będzie miał innego wyboru". Chyba jeszcze nigdy Komendant nie mylił się bardziej. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Święto demokracji

Niewielkie miasteczko w północnej Polsce, nieco ponad 10 tys. mieszkańców. I właśnie stamtąd przyjechała do Warszawy grupa ludzi, która zaprezentowała najpiękniejszy chyba transparent, jaki widziałem podczas demonstracji politycznych w ciągu ponad 20 lat dziennikarskiej pracy. „Warto być Polakiem" – napisali na nim twórcy. Proste i piękne. A pokazali go podczas Marszu Niepodległości, który przeszedł ulicami Warszawy. Święto Niepodległości okazało się być też świętem demokracji, bo marsz połączył ludzi o bardzo różnych poglądach i afiliacjach politycznych, dla których spoiwem jest szacunek dla ojczyzny.

Można powiedzieć, że Marsz Niepodległości okazał się triumfem demokracji podwójnym. W tym blisko 100-tysięcznym pochodzie wzięli udział przedstawiciele różnych pokoleń Polaków, którzy po latach wmawiania im przez środowiska obozu liberalno-lewicowego, że Polski powinni się wstydzić, nie boją się dziś wyrażać swojej dumy narodowej. W marszu przeszli ludzie, których przez całe lata tej „demokratycznej" III RP w imię politycznych awantur – jak robił to Donald Tusk – wyrzucano poza nawias społeczny: narodowcy i kibice. Ludzie, którzy – abstrahując od coraz rzadszych w tym środowisku zjawisk patologicznych – często oddolnie swoim zaangażowaniem budują społeczeństwo obywatelskie.

Po marszu zachodnie media pełne były rozpaczliwych krzyków o faszystach i brunatnej fali. Rodzin z dziećmi, emerytów, studentów, przedsiębiorców, którzy stanowili większość marszu, nie dostrzeżono. „Dlaczego takich zdjęć nie można zobaczyć w niemieckich mediach" – pisała ze zdziwieniem prof. Marion Brandt, wybitna germanistka pochodząca z Frankfurtu nad Odrą. I było to pytanie retoryczne. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

SERIA REPORTERSKA WYDAWNICTWA POZNAŃSKIEGO

RZECZYWISTOŚĆ | WCIĄGA BARDZIEJ NIŻ FIKCJA

NA FRONCIE WOJNY Z DŻIHADEM

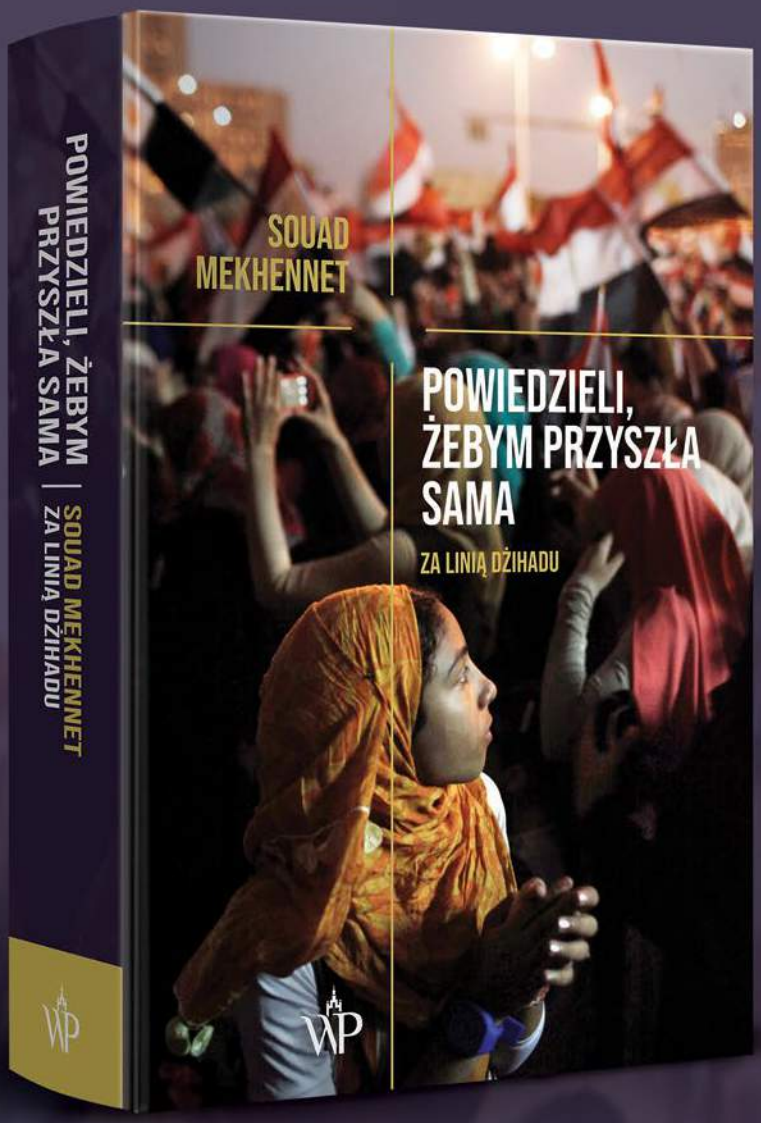

Mekhennet jak nikt inny opowiada o dżihadyzmie wyrosłym po ataku na World Trade Center. Jako Niemka z rodziny imigranckiej poznała, co oznacza wykluczenie i wyobcowanie. To między innymi one popchnęły niektórych muzułmanów w objęcia ekstremizmu. Mekhennet postawiła sobie za cel, by wyjaśnić, jak do tego doszło.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

PATRONI MEDIALNI:

Collegium Civitas CENTRUM BADAŃ NAD TERRORYZMEM | DUŻY FORMAT | ISLAMISTA

WP WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

eprasa.pl f5436f6b3a

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O amnezji

W Italii 30. rocznicę upadku muru berlińskiego najhuczniej obchodziła lewicowa Partia Demokratyczna, która wyewoluowała z Włoskiej Partii Komunistycznej. Ba! W wydanym z tej okazji manifeście lewicowcy breszyli o własnym udziale w zburzeniu muru. Na tle zdjęcia berlińczyków burzących mur napisali: „Możecie sobie budować mury, a my je i tak zburzymy”.

Delirium. Ostatnio podobne brednie słyszałem, gdy w Polsce opowiadano o zasługach gen. Jaruzelskiego w obaleniu komunizmu.

Chodzi o partię, która dobrowolnie przejęła ponurą schedę po WłPK. A ta przez lata opowiadała, że mur berliński to bariera chroniąca przed imperializmem. Ideologiczne zaślepienie, jak wynika z przeszmuglowanego na Zachód tzw. Archiwum Mitrochina, spowodowało, że jeszcze w 1984 r. kilkuset Włochów na wysokich stanowiskach w dyplomacji, a nawet we włoskim rządzie, też artystów i intelektualistów, przekazywało informacje KGB. Za darmo. Z przekonania. Tak włoska lewica burzyła mur.

Włoscy komuniści (w wyborach w 1987 r. blisko 30 proc. głosów) błyskawicznie przepoczwarzyli się w socjaldemokratów i zrewidowali serwilistyczne stosunki z ZSRS dopiero wtedy, gdy im na głowę spadł berliński mur. Przy czym w szeregach wyznawców i sympatyków komunizmu doszło wtedy do gwałtownych protestów. Przypominając o tym, dziennik „Libero” pisze: „Oni czuli się tak, jak czuliby się katolicy, gdyby nagle papież w niedzielę na placu św. Piotra ogłosił, że Pana Boga nie ma”.

W manifeście i zalewie artykułów w postępowej prasie autorzy, pisząc o murze, jak ognia unikali słowa „komuniści” i „komunizm”. Zgodnie z tą narracją mur wznieśli jacyś „oni”, poprzednie wcielenia Trumpa i Orbána, a myśmy go zburzyli. Oczywiście ani słowa o Solidarności, Reaganie czy JP2.

Gdy w 1937 r. Picasso w Paryżu wystawił „Guernicę” poświęconą miastu zniszczonemu przez bombowce Hitlera, podszedł do niego niemiecki konsul i wskazując na obraz, spytał: „Czy to wyście zrobili?”. Picasso: „Nie, to wyście zrobili”. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wesołej niepodległości

Niepodległość i kolejna rocznica jej odzyskania to chwila patriotycznej zadumy. Świętowania w poczuciu narodowej jedności i łączenia ponad podziałami. Żartowałem. Przecież nie od tego mamy Twittera. „Ja dla 11 listopada nie czuję żadnej emocji. To odległa data, sztucznie ustanowiona w roli święta, by niepodległość przypisać tylko Piłsudskiemu. Dla mnie świętem niepodległości i wolności jest 4 czerwca. Ten dzień tkwi we mnie jak promieniowanie tła z początków wszechświata” – napisał np. Waldemar Kuczyński.

Swoją wersję obchodów przedstawił również wicenaczelny „Wyborczej”. „Święto Niepodległości uczciłem śmieciobraniem. Królem polskiego śmiecia leśnego jest butelka, względnie puszka po piwie. Ale coraz bardziej cenionym przez rodaków gatunkiem podwarszawskich lasów są wódczane ćwiartki, a zwłaszcza małpki” – stwierdził Jarosław Kurski, opatrując zdjęcia śmieci następującymi hashtagami: #niepodległość, #Polska, #11listopada.

Niepodległość to również wspólna historia II Rzeczypospolitej. Jaka była? „Hitler i Stalin napadli na faszyzującą dyktaturę, gdzie prześladowani byli Żydzi i inne mniejszości narodowe, policja zabijała masowo demonstrujących, a liderzy opozycji siedzieli w więzieniach. Miłego świętowania” – życzył prof. Marek Migalski. „Hitler nie mógł patrzeć, jak się w Polsce Żydów prześladuje” – dodał do jego refleksji prof. Stanisław Żerko.

Na szczęście, gdy komuś nie leżał 11 listopada, były inne rocznice. „Są takie daty w naszej historii, o których wolelibyśmy zapomnieć. Ale na przekór temu musimy o nich pamiętać. Są takie noce, w rocznice których chcielibyśmy milczeć. Ale na przekór temu musimy zabrać głos. 81 lat temu mieszkańcy Breslau wystąpili przeciwko mieszkańcom Breslau” – przypomniał prezydent Wrocławia Jacek Sutryk. „Ale kto chce milczeć? Czy jest ktoś, kto nie potępia pogromu Żydów przez hitlerowski rząd w Niemczech, w Noc Kryształową z 9 na 10 listopada 1938? Może trzeba to wykrzyczeć w Berlinie, gdy jest Święto Zjednoczenia?” – zapytał Bogusław Sonik. Odpowiedzi jednak nie uzyskał. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

TOTALIZATOR
SPORTOWY

#GramyDlaKultury

TOTALIZATOR SPORTOWY MECENASEM KULTURY NARODOWEJ

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. MARCO BERTORELLO/AFP/EAST NEWS

ZATOPIONA WENECJA

– Wenecja została rzucona na kolana – ocenił burmistrz Luigi Brugnaro po tym, jak fala uderzająca w brzegi miasta sięgnęła w ubiegłym tygodniu aż 187 cm. I chociaż tzw. acqua alta, czyli wysoki przypływ wody, to typowe zjawisko dla Wenecji, to jednak tak katastrofalnej sytuacji nie było w tym mieście od ponad pół wieku. Od 1923 r., gdy zaczęto monitorować wysokość przypływów, tylko raz odnotowano wyższą falę: w 1966 r. osiągnęła ona wysokość 194 cm. Pod wodą znalazło się ok. 90 proc. Wenecji, w tym słynny plac św. Marka, który jest jednym z najniżej położonych obszarów w mieście. Woda z impetem wdarła się także do bazyliki św. Marka, która – jak wynika z kościelnych zapisów – została zalana szósty raz w ciągu 1200 lat (w tym czwarty raz w ciągu ostatnich 20 lat). W wyniku powodzi zginęły co najmniej dwie osoby. Wstępnie straty oszacowano na kilkaset milionów euro. Wielu turystów do położonych w mieście hoteli musiało wchodzić przez okna, bo otwarcie drzwi stało się niemożliwe. Zatonęły także trzy zacumowane tramwaje wodne, a kilka innych zostało uszkodzonych. Tragiczna w skutkach powódź przypomniała politykom o projekcie budowy wielkiego systemu zapór przeciwpowodziowych, którego realizacja trwa od 2003 r., ale w wyniku skandali i opóźnień nadal nie została ukończona. Premier Giuseppe Conte zapowiedział przyspieszenie prac. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

eprasa.pl f5436f6b3a

CELEBRYTA W PAŁACU

Wieść niesie, że Szymon Hołownia, ostatnio znany głównie z TVN, rozważa start w wyborach prezydenckich. Tak też media zinterpretowały jego ostatni wpis na Facebooku, w którym promował swoją najnowszą książkę. „Ta książka jest też wybiciem się do skoku w kolejną czterdziestkę (jak Bóg da). Obaj [z Marcinem Prokopem – przyp. red.] kończymy teraz w naszym życiu jakieś sprawy (ja superfajną, trwającą już 12 lat przygodę z »Mam talent!«, tegoroczna to moja ostatnia edycja) zaczynamy w naszym życiu nowe rzeczy, budujemy zupełnie nowe stragany. I ja, i on wiemy, że naszym córkom nie chcielibyśmy zostawić w spadku biblioteczki pełnej mądrych myśli. Ten świat trzeba zmieniać. Realnie zmieniać. Nie tylko dla siebie, przede wszystkim dla tych, których bardzo kochamy" – pisze Hołownia. Zanim pan Szymon zacznie zmieniać świat, niech zmieni doradców, którzy przekonują go, że start w wyborach to dobry pomysł.

A MOŻE NIE UDAJE?

Dawno niewidziany aktor Paweł Wilczak odwiedził program Kuby Wojewódzkiego. Nie wyglądał na zachwyconego, ale jako że jest w trakcie promocji najnowszego filmu, w którym gra główną rolę, więc chodzić po telewizjach musi. Jak donosi Pudelek, już na początku rozmowy Wilczak stwierdził, że Wojewódzki jest „niedouczony" i „stara się tak bardzo, że to jest uciążliwe". I tłumaczył, dlaczego przez lata nie chciał przychodzić do jego programu. – Udajesz głupszego, niż jesteś, a mnie to irytuje – powiedział. Jeśli udaje. A za to ręki uciąć byśmy sobie nie dali.

JESZCZE NAM ZAŚPIEWA

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Celebrytka Julia Wieniawa w wywiadzie dla „Tygodnika Solidarność" opowiedziała, że cały czas ma w planach nagranie własnej płyty, tylko na razie brakuje jej na to czasu. – Nagranie płyty to jest bardzo absorbująca rzecz, mocno przeciąża struny głosowe. Jeżeli na planie ciągle krzyczę, płaczę, to ciężko jest w międzyczasie nagrać płytę. Głos jest wtedy w gorszej formie. Musiałabym wrócić na zajęcia wokalne. Mam plan, żeby ta płyta się ukazała – mówi. – Przez różne zobowiązania zawodowe płyta musi poczekać. Zrobiłam cztery filmy, kilka seriali. Czas nie jest z gumy – przyznaje. Trzymamy kciuki, by Julia miała jak najmniej czasu. To leży w interesie nas wszystkich.

FOT. PAWEŁ GROMADA

JAK DZIECKO

Edyta Górniak w ramach nauki jazdy samochodem w nowym programie TVN postanowiła też opowiedzieć o swoim nieudanym małżeństwie. Widać, oglądalność przestała zadowalać stację. Edzia wyznała więc, że dzień przed ślubem wiedziała, że popełnia błąd. – Wiedziałam, że to małżeństwo to nie to, dzień przed ślubem... Niestety. Nawet poszłam do wróżki, bo myślałam, że to niemożliwe. Nie mówiąc, że mam wątpliwości, poprosiłam ją, żeby zobaczyła, czy jest może jakaś podpowiedź od mojej praprababci, może skontaktuje się ze mną przez karty. A wróżka mi powiedziała, żebym nie brała ślubu. Ani jutro, ani nigdy – opowiedziała gwiazda. Dodała jednak, że na wycofanie się było już za późno, bo „już tyle pieniędzy na to poszło". Potem było jeszcze bardziej dramatycznie, bo Edzia opowiadała, że tydzień przed ślubem dowiedziała się, że jej wtedy przyszły, dziś były mąż ją okradł. – Zostałam wykorzystana finansowo. Straciłam prawa do swojej firmy, zostałam odcięta od swojego konta – zwierzyła się Edzia. Na koniec oznajmiła, że wszystko to spotkało ją dlatego, że jest naiwna i wierzy, że ludzie z zasady są dobrzy. – Chociaż jestem kobietą po przejściach, mam serce dziecka – mówi. Słuchając wyznań Edzi, dochodzimy do wniosku, że umysł chyba też.

KOBIETA Z KLASĄ

Ola Kwaśniewska na Instagramie podzieliła się swoimi wspomnieniami na temat włosów. A konkretnie swoich własnych fryzur z przeszłości. Okazuje się, że nie zawsze jej mama Jolanta była zachwycona tym, jak czesze się córka. – Gdy patrzę na najmodniejszą aktualnie fryzurę męską, przypomina mi się, jak przed laty wziął mnie w obroty pewien znany warszawski fryzjer i tak ciął, i ciął, i był bardzo z siebie zadowolony. Aż zobaczyła mnie mama i rzekła: „Wyglądasz jak wiejskie dziecko chore na tyfus, które matka ostrzygła tępymi nożycami" – opowiedziała celebrytka. Bycie damą i ekspertką od jedzenia bezy łyżeczką to ciężka robota. Gdzieś przecież trzeba odreagować! ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w przestrzeni publicznej widać coraz wyraźniej niepokojące zjawisko dotyczące Winter Holidays. Otósh kolejny raz okazuje się, iż także w tym roku nie uda się odejść od tradycyjnej symboliki chrześcijańskiej na rzecz postępowego, świeckiego i neutralno-światopoglądowego okresu zimowych wakacji. W efekcie takiego wzmożenia ideologiczno-propagandowego w wielu korporacjach, urzędach i instytucjach będą odbywały się spotkania opłatkowe, w trakcie których zostaną odśpiewane kolędy i złożone życzenia „wszystkiego najlepszego". Co więcej – niebawem w wielu polskich miastach w przestrzeni publicznej staną choinki i aniołki, które jednoznacznie narzucają interpretację dotyczącą charakteru Winter Holidays. Wygląda więc na to, iż na poprawne, neutralne świeckowanie przyjdzie nam niestety jeszcze poczekać.

Ledwo niektóre polskie miasta wprowadziły odpowiednie regulacje antysmogowe, a od razu polskie antyekologiczne społeczeństwo postanowiło zanieczyścić powietrze.

Najpierw w ramach grobbingu z okazji Niektórych Świeckich (nasza propozycja neutralnej światopoglądowo nazwy) odpalili miliony zniczy. Potem, przy okazji fashystoffskiego Marszu Niepodległości, odpalili tysiące rac, które spowiły Warszawę „nacjonalistycznym smogiem" (copyright „Gazety Wyborczej"), który następnie rozprzestrzenił się na cały ten kraj.

Niedługo osobodzieci będą zaganiane na roraty, na które nosi się, uwaga, lampiony (nie pytajcie, skąd to wiemy, wspomnienia z dzieciństwa w małym ośrodku).

A potem już zacofane społeczeństwo tego kraju wymyśli sobie kolejne okazje, iżby nadymić i nasmrodzić.

Jesteśmy dumni z naszej opozycji, iż tuż pod bokiem krwawej kaczystowskiej dyktatury udało się jej obronić i utrzymać Senat. To epokowe wydarzenie we współczesnej historii tego kraju rzeczywiście wymagało odśpiewania hymnu państwowego. Zabrakło może tylko spontanicznych marszów ludności i dnia wolnego w szkołach i zakładach pracy, ale – no właśnie – żyjemy w dyktaturze, więc cieszmy się z tego, co udało się wypracować w niesprzyjających warunkach i pomimo ograniczonych środków. A kiedy już odsuniemy pis od władzy, to w podręcznikach do herstorii 12 listopada będzie wymieniany jako ta data, od której zaczęło się przywracanie tego kraju Europie i odzyskiwanie twarzy na arenie międzynarodowej. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie •
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie •
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień •
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe •
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
17.11 - 20.12.2019 r. - 03.01 - 23.02.2020 r.

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl f5436f6b3a

Ministrów już znamy, a co z wiceministrami? Są resorty, gdzie nic się nie zmieni, ale są i takie, w sprawie których trwają wciąż gorące koalicyjne negocjacje. Jednym z powodów – jak informują wiewiórki – są ambicje posłów PoGo, czyli Porozumienia Gowina. Tak się bowiem składa, że z 18 posłów PoGo aż 16 chciałoby zostać jakimś wiceministrem. Owszem, pozostałych dwóch zostało już ministrami.

Tymczasem Jerzy Kwieciński ministrem nie jest, o czym informowaliśmy już miesiąc temu, czemu ludzie małej wiary nie dawali właśnie tej, no, wiary. Kwieciński ma inne plany zawodowe i wychodzi z rządu na własne życzenie. Są ludzie, którzy wiedzą, jak korzystać z trzech życzeń.

Ministrem rodziny, pracy i polityki społecznej została natomiast Marlena Maląg, kandydat tyleż sympatyczny, co mało znany szerszym kręgom. Wyjaśniamy. Marlena dała się wcześniej poznać nie tylko jako spec od spraw rodziny i pomocy dla niepełnosprawnych, lecz także jako energiczny organizator i dyrygent w sytuacjach kryzysowych. Kiedy była wicewojewodą wielkopolskim, sprawdziła się najlepiej podczas słynnych wichur pustoszących Polskę. I tak się złożyło, że premier Mateusz dobrze to zapamiętał.

Mamy problem z nowym marszałkiem Senatu. Nie z powodu orędzia. Sprawa jest poważniejsza. Wszystko wskazuje bowiem na to, że są jedynie dwie osoby na świecie, które potwierdzają jego wersję wydarzeń: jakoby oferowano mu stanowisko ministra zdrowia w zamian za wsparcie PiS w izbie hejtu i glejtu, dawniej zwanej izbą zadumy i refleksji. Znamy obie te osoby. Pierwsza to Tomasz Grodzki, druga to Grodzki Tomasz.

Powyższe wyrazy zaniepokojenia postanowiliśmy zamieścić po długim i dogłębnym dochodzeniu. Wiecie, jesteśmy bardzo złymi ludźmi, ale mimo wszystko uważamy, że trzecią osobą w państwie nie powinien być człowiek – jakby to określić… – oszczędnie gospodarujący prawdą.

Od razu zastrzegamy, że androny plecione przez parlamentarzystów niższego szczebla już nas mniej martwią, bo lubimy śmiech szczery i głęboki. A takiego dostarczyły nam enuncjacje Pawła Kowala o tym, jak to PiS chciał w ramach kuszenia senackiego oddać opozycji Ministerstwo Sprawiedliwości. Poza tym jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że historycy oszczędnie gospodarują prawdą. Taki zawód.

Przy okazji: nie minęły nawet 24 godziny od wybrania przedstawiciela opozycji na marszałka Senatu, a już wydawca „Playboya" ogłosił, że wychodzi z Polski. Przypadek?

Wracając do oszczędnego gospodarowania prawdą. Mecenas Roman, zwany też Koniem, pisze trzecią część swojego magnum opus „Kronika dobrej zmiany". Mimo że dwie pierwsze części trylogii – łagodnie rzecz ujmując – nie okazały się bestsellerami i zalegają w magazynach, Roman nie ustaje w wysiłkach. Jeśli jednak chciałby ktoś kupić poprzednie dwa tomy, to informujemy, że obecnie chodzą w cenie pojedynczego papierowego wydania „Gazety Wyborczej". Z tego punktu widzenia – ciekawa inwestycja.

Wydawcą tego wiekopomnego dzieła (podobnie jak dwóch wcześniejszych) jest nieznane szerzej wydawnictwo. Na jego czele stoi niejaka Anna Aleksandra Kamińska. Prywatnie żona świeżo upieczonego senatora RP Kamińskiego Misia. Niektórzy ludzie (źli, oczywiście) podejrzewają, że to jedno z tych wydawnictw, któremu płaci autor, a nie wydawnictwo autorowi. Swoją drogą to skandal, że Agora, która wydaje Tuska, nie chciała wydać tak wspaniałego, przynajmniej w zamyśle, dzieła mec. Konia.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Najważniejszy polski prokurator, którym jest niewątpliwie Bogdan Święczkowski, jest od niedawna objęty ochroną Służby Ochrony Państwa. Na skutek gróźb pewnego bandyty ze Śląska. Ujawniamy ten fakt i dziwimy się zarazem: Dlaczego dopiero teraz? Wiedza, którą posiada, stanowi zagrożenie dla tylu ciemnych interesów, że ochronę powinien mieć od dawna. Inna sprawa, że prokurator zwany Godzillą jest mistrzem sztuk walki, a i bronią włada niezgorzej. Pewnie uważano, że sam sobie da radę w razie czego.

Niebawem do Senatu, znaczy izby hejtu i glejtu, ma trafić pierwszy wniosek o uchylenie immunitetu pewnemu senatorowi Platformy. Zarzuty były już gotowe w poprzedniej kadencji. Jednak w prokuraturze po cichu liczono, że ów polityk nie zdobędzie mandatu, ale zdobył. W dodatku Senat kontroluje chwilowo opozycja. Napisaliśmy – chwilowo? No cóż. Napisaliśmy.

Tymczasem w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Trwają przygotowania do walki o reelekcję, ale na razie są na wstępnym etapie. Zdawać by się mogło, że już powinien działać prężny sztab, ale jeszcze nie. Na razie rozmaite podmioty z otoczenia formułują swoje własne pomysły, które będą potem omawiane i scalane. Nie mamy wątpliwości, że wszystkie będą bardzo dobre.

11 listopada, na przyjęciu z okazji 101. rocznicy odzyskania niepodległości, w Arkadach Kubickiego (Zamek Królewski w Warszawie) prezydent Andrzej Sebastian pokazał, że w kampanii będzie twardy. Przemówienie było krótkie, za to cierpliwe pozowanie do zdjęć z chętnymi – bardzo długie. Wystarczyło też czasu na to, by odwiedzić stoliki z weteranami zaproszonymi licznie na uroczystość. Szacun.

Niektórzy goście nie potrafili się jednak godnie zachować. W pewnym momencie rozegrał się między dwójką z nich taki dialog: „Dokąd idziemy jeść?". „Na drugą stronę sali". „Bo tam mniejszy tłok?". „Nie, bo stamtąd nie widać

eprasa.pl f5436f6b3a

Suskiego". Niespecjalnie by nas to przejęło, gdyby nie to, że rozmawiali przedstawiciele spółek Skarbu Państwa.

À propos jedzenia – goście szczególnie chwalili gęsinę, do której podawano kaszę z grzybami. Były też świętomarcińskie rogale. Nam jednak najbardziej smakowały kiełbaski z kapustą oraz pierogi, gdyż jesteśmy prostymi ludźmi o plebejskich podniebieniach. Kiełbaski były cienkie jak żarty z Suskiego.

Kilka dni wcześniej w Zamku Królewskim odbyła się też impreza organizowana przez naszą szacowną redakcję, mianowicie Gala Strażnika Pamięci. Mało kto wie, że uroczystość miała charakter rodzinny. Na przykład jeden z ministrów pojawił się na niej z dwojgiem dzieci, które akurat, wracając z KPRM, musiał odebrać ze szkoły. Dzieciom się podobało. Ministrowi też.

Przy okazji w kuluarach wiele było dyskusji o polityce historycznej i o tym, co by jeszcze można w tej kwestii zrobić. Jeden z szacownych gości, także w stopniu ministra, ujawnił, że

pomysłodawcą otwarcia przez Instytut Pileckiego zagranicznych oddziałów (jeden już działa w Berlinie) był nie kto inny, ale sam Naczelnik Państwa Jarosław. Więc i my ujawniamy.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Tydzień temu ujawniliśmy, że PeŁo zamówiła wielkie badania pt. „Kto najlepszym kandydatem na kandydata na prezydenta". Platformerskie wiewiórki potwierdziły nam, że wyniki już trafiły do Grzegorza Skorpiona Schetyny. Interesujące jest to, że za bardzo nie chce się nimi podzielić. Nawet z mediami kibicującymi PeŁo. Czyżby Małgorzata wypadła nie najlepiej? A łyżka na to: niemożliwe!

À propos Małgorzat. Skoro pierwszy niewchodzący mandat z Warszawy przypadł Piotrowi Naimskiemu, centrala PiS wpadła na pomysł wprowadzenia go do Sejmu sposobem. Posłanka Małgorzata Gosiewska dostała propozycję zrzeczenia się mandatu. W zamian za to miałaby zostać ambasadorem w kraju słynącym z dobrego wina, czyli Gruzji. Odmówiła po namyśle, zadowalając się jedynie winem gruzińskim, które i tak będzie jej przysługiwać z puli reprezentacyjnej wicemarszałka Sejmu.

Smuteczek. Deklaracja Pawła Kukiza o powrocie na scenę muzyczną zbiegła się w czasie z wielkim sukcesem jego ruchu w ramach współpracy z Peezelem. Kukizowcy z ważnych stanowisk w ramach Koalicji Polskiej do obsadzenia na Wiejskiej dostali zero. Słownie zero. Co z nieukrywaną satysfakcją donieśli nam sami ludowcy. Którzy po latach praktyki w ogrywaniu koalicjantów z SLD czy PeŁo skonsumowali kukistów w rekordowym czasie, dającym podstawy do znalezienia się w Księdze rekordów Guinnessa. ©℗

REKLAMA

PRESTIGE MJM PREZENTUJE
22 sierpnia 2020
PGE NARODOWY, WARSZAWA
ANDREA
BOCELLI
THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR
BILETY:
PRESTIGEMJM.COM
www.andreabocelli.com
Od każdego biletu 4 zł na Fundację Andrei Bocellego

Prestige MJM · PGE NARODOWY · REGENT WARSAW HOTEL · Radio złoteprzeboje · wprost · PANI · Gala · VIVA! · Party · URODA · onet · HELIOS · pap · VIXON · Clear Channel · PRESS SERVICE

eprasa.pl f5436f6b3a

Wojna o język

Łukasz Warzecha

Lewica atakuje język polski, bo chce wtłaczać swoją wizję świata. Języka nie da się na szczęście sztucznie kształtować, dlatego ideolodzy polegną

Najpierw Magdalena Biejat z Razem napisała na Twitterze, że będzie „gościnią" w TVP. Po pewnym czasie jednak się poprawiła, pisząc: „Dziękuję wszystkim za zwrócenie mi uwagi, że posłużyłam się niewłaściwą formą. Oczywiście powinnam była napisać, że będę gością programu TVP". Te językowe łamańce, uprawiane przez lewicę, mogą wyglądać jak kabaret absurdu, ale mają głębsze znaczenie. Jak w liście do posłów napisał Robert Biedroń: „Lewica walczy o żeńskie końcówki. Czy są ważne? Tak, bo zmiana zaczyna się od języka!". Pytanie brzmi: Jaka to zmiana, o którą chodzi lewicy?

Sam Biedroń wprost obsesyjnie pilnuje, żeby zawsze używać podwójnych form, męskich i żeńskich. Swego czasu bezlitosny redaktor naczelny „Do Rzeczy" zlecił mi tekst na temat książki „Nowy rozdział" Biedronia, co zmusiło mnie do jej przeczytania. Będę mu to (naczelnemu, nie Biedroniowi) długo pamiętał, bo ta lektura, będąca w gruncie rzeczy bardzo rozepchaną ulotką wyborczą, okazała się niesamowicie męcząca właśnie przez obsesyjne pakowanie do każdego zdania wyrazów w rodzajach męskim i żeńskim.

To dzisiaj na lewicy standard, przy czym – uwaga! – ważna jest również kolejność. Jako że tradycyjne gesty szacunku wobec płci pięknej są uznawane za wyraz szowinistycznej męskiej wyższości, może nawet pogardy dla kobiet, nie należy na początku wymieniać formy żeńskiej. Inna sprawa, że reguła ta nie jest bezwzględnie przestrzegana. Być może nie wypracowano tu jeszcze oficjalnej zasady poprawności politycznej. Lektura lewicowych portali czy tekstów każe uznać, że najpoprawniej politycznie jest stosować płodozmian: raz na pierwszym miejscu stawiać formę męską, a raz żeńską.

Lewica kontestuje natomiast konsekwentnie określanie rzeczownikiem rodzaju męskiego jakiejkolwiek grupy złożonej z mężczyzn i kobiet (oraz – być może – jeszcze innych orientacji seksualnych, które zdaniem lewicy istnieją) czy w liczbie pojedynczej, czy mnogiej. Jest to językowo całkowicie nienaturalne i przeczy jednej z podstawowych zasad żywego języka: ekonomii. Żywy język charakteryzuje się bowiem tym, że jego użytkownicy chcą mówić krócej, a nie dłużej. Wymienianie przy każdej okazji rzeczowników w obu rodzajach (w tym tworzonych sztucznie) to krok w przeciwną stronę. Chyba że nowym kierunkiem jest ten, wyznaczony przez lewicową sejmową awangardę z Razem. Umieszczone na Twitterze zdjęcie parlamentarnej reprezentacji tej partii zostało podpisane: „Wszystko załatwione, podpisane, przyklepane. Razem ma sześć parlamentarzystek!". Tyle że w tej grupie są Adrian Zandberg i Maciej Konieczny. Pytani o to przedstawiciele Razem tłumaczyli, że forma żeńska została wybrana, ponieważ większość grupy stanowią panie. Jest to jakiś trop, ale też poważne techniczne utrudnienie. Wyobraźmy so-

eprasa.pl f5436f6b3a

Lewica, proponując postępowy język, sięga po archaizmy, po słowa, które z użycia zostały wyparte FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

bie grupę osób, złożoną z 499 mężczyzn i 501 kobiet, której liczbowego składu nie znamy. Ileż trzeba by się naliczyć, zanim wiedziałoby się, jakiej końcówki użyć dla określenia wszystkich…

IDEOLOGICZNA AGENDA JĘZYKOWA

Lewica twierdzi na razie, że nie chce wprowadzania żadnego językowego przymusu. W radiowej poczekalni spotkałem jakiś czas temu poseł Lewicy Annę Marię Żukowską, która poprzedniego dnia broniła na Twitterze słowa „gościni". Zapytałem, czy była właśnie w studiu gościem czy gościnią. Pani poseł odrzekła, że sama nazwałaby siebie „gościnią" (o formie „gościa", mającej przynajmniej jakieś historyczne zakorzenienie, pani poseł chyba nie słyszała), ale nie ma problemu, jeśli ktoś takich form nie używa.

Jednak pani poseł chyba nie była ze mną całkowicie szczera, ponieważ w tym samym mniej więcej czasie wraz z 19 innymi kobietami posłami elektami podpisała list do szefowej Kancelarii Sejmu treści następującej: „My niżej podpisane posłanki-elektki na Sejm RP, wybrane z list Komitetu Wyborczego Sojuszu Lewicy Demokratycznej, zwracamy się z prośbą o uwzględnienie naszej płci w nazewnictwie zarówno w dokumentach będących w obiegu Sejmu RP, jak i we wszelkiego rodzaju przedmiotach przeznaczonych do naszego użytku. Szczególnie zależy nam na takich przedmiotach jak: karty do głosowania czy tabliczki, które wskazują nasze miejsce na sali plenarnej. Pragniemy, aby sformułowanie »posłanka« było tym, które na wspomnianych dokumentach się pojawi".

Nie ma więc już mowy o dowolności – jest żądanie, żeby podporządkować oficjalny język Sejmu ideologicznej agendzie językowej. Problem w tym, że posłanki nie zapoznały się nie tylko z regulaminem Sejmu, lecz także nawet z konstytucją. Ta bowiem mówi wyraźnie w swoim artykule 96: „Sejm składa się z 460 posłów". I dalej, konsekwentnie, stosowana jest męska forma na określenia posłów płci obojga. Z kolei regulamin Sejmu w artykule 2 mówi: „Posłowie na pierwszym posiedzeniu Sejmu składają ślubowanie według roty ustalonej w Konstytucji". Dalej jest podobnie jak w konstytucji – wyłącznie męska forma. Nie bardzo zatem istnieje podstawa, aby przychylać się do wniosku pań posłów. Oficjalnie bowiem ich funkcja to właśnie „poseł", nie „posłanka".

Gdyby sięgnąć do form historycznych i dawno z języka wypartych, mielibyśmy większy wybór. W tym roku ukazała się książka Olgi Wiechnik „Posełki" o ośmiu pierwszych Polkach w Sejmie po uzyskaniu przez nie praw wyborczych w 1918 r. Autorka nadmienia, że oprócz stosowanej wówczas formy „posełki" właśnie używano też określeń „posełkinie" oraz „poślice". To ostatnie określenie mogłoby być jednak złośliwie przerabiane.

List w sprawie żeńskich form przeczy twierdzeniu, że nikt tu nikomu niczego nie narzuca. To jest właśnie próba narzucenia określonego języka w organie władzy ustawodawczej – i to przy zerowej podstawie prawnej dla takiego działania. Jednak nie jest to pierwsza próba narzucenia w Sejmie feministycznego języka. Pięć lat temu podobną podjęła ówczesna poseł Wanda Nowicka, kierując do Kancelarii Sejmu pismo, w którym domagała się umieszczenia żeńskich form na stronach parlamentu. Nie wiadomo, czy Nowicka sprawdziła wówczas – pomijając inne względy – która z pań sobie tego życzy. Bo przecież nie każda chce być nazywana „filolożką", „filozofką" czy „polityczką" – a takie przykłady podawała Nowicka.

PRZESTARZAŁA NOWOCZESNOŚĆ

Dlaczego pani poseł Biejat we wspomnianym na początku tweecie zmieniła „gościnię" na kompletnie już kuriozalną „gościę"? Sięgnęła bowiem po często przywoływaną przez lewicę argumentację i do swojego drugiego tweeta wstawiła link do hasła ze słownika

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na prezentację książki
w opracowaniu i pod redakcją naukową Romana W. Rybickiego, Bartosza Nowożyckiego

20 listopada (środa) godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

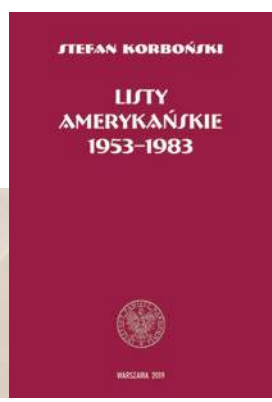

Udział wezmą:

ROMAN RYBICKI – autor opracowania, wydawca listów

BARTOSZ NOWOŻYCKI – autor opracowania, wydawca listów

prof. WOJCIECH ROSZKOWSKI – Instytut Studiów Politycznych PAN

dr MATEUSZ SZPYTMA – Instytut Pamięci Narodowej

Moderacja: **dr TOMASZ ŁABUSZEWSKI**

Organizatorzy: Instytut Pamięci Narodowej, Przystanek Historia

Patronat medialny: TVP Historia, Do Rzeczy, Dzieje.pl, Biuletyn IPN

eprasa.pl f5436f6b3a

języka polskiego Witolda Doroszewskiego. Istotnie, czytamy tam: „Gościa – daw. forma żeńska od gość: Zeskoczywszy z konia pod gankiem, wesoło powitał matkę i jej wielomówną gościę". Tym właśnie słownikiem Doroszewskiego lewica często wspiera swą walkę o język. Powołujący się na niego zapominają jednak wspomnieć, że nie mówimy o słowniku prezentującym współczesną polszczyznę i jej płynny rozwój aż do dziś, ale o dziele archiwalnym. Był to bowiem pierwszy słownik języka polskiego po II wojnie światowej, doprowadzony przez wybitnego językoznawcę w kolejnych wydaniach do roku 1968. Słownik opisywał nie tylko ówczesną, lecz także historyczną polszczyznę – i taki przecież jest charakter hasła, na które powołała się Biejat. Widnieje tam skrót „daw." – od „dawniej", a więc słowo „gościa" już w momencie wydania słownika było archaizmem.

Tutaj dochodzimy do pierwszego paradoksu językowej krucjaty lewicy: prowadząc walkę o językowy postęp, powołuje się ona na niegdyś istniejące w języku polskim formy, takie jak właśnie „gościa" czy „ministerka". W tym ostatnim przypadku zresztą błędnie, bo słownik wyjaśnia, że jest to „żona ministra", a nie minister płci żeńskiej. Innymi słowy – mamy tu uzasadnianie postępu poprzez sztuczne ożywianie archaizmów. Postępowa lewica szuka usprawiedliwienia swych poczynań w głębokiej przeszłości, która w naturalny sposób przeszła do językowego archiwum.

Tak jak w przypadku kwestii ekonomii języka, tak i tutaj mamy działanie przeciwko jego naturalnym mechanizmom. Nie jest prawdą – jak twierdzą lewicowcy – że bogactwo feminatywów zniszczyli komuniści w PRL, co jest już zresztą w ogóle piramidalnie kuriozalnym zarzutem w ustach lewicy. Dziwacznie dziś brzmiące żeńskie formy powstawały na fali emancypacyjnej, wraz z ofensywą sufrażystek, u końca XIX i w pierwszych dwóch, trzech dziesięcioleciach XX w. – po czym zanikały w całkowicie naturalny sposób. Owszem, komuna ich unikała, ale gdyby był to nacisk niezgodny z naturalną tendencją językową – nie miałby szans powodzenia.

Zresztą w II RP formy męskie w większości określały także kobiety. Słynna polska komedia muzyczna z 1937 r. z Tolą Mankiewiczówną w roli głównej, z udziałem Aleksandra Żabczyńskiego, Mieczysławy Ćwiklińskiej i Józefa Orwida, nosiła tytuł „Pani minister tańczy", zaś piosenka z tego filmu ze słowami Jerzego Jurandota nazywała się „Reformy pani minister", nie „ministerki" czy „ministry". Tego typu łamańce językowe wywołałyby wówczas jedynie pukanie się w czoło.

Żeby było śmieszniej, główna bohaterka filmu – minister ochrony moralności publicznej w fikcyjnym kraju – nieco przypomina współczesne feministki. „Robi reformy pani minister, przygotowała ich całą listę, Hasło ich główne: »Frontem do dam«. Front ten już bokiem wyłazi nam!" – śpiewa pod oknem ministerstwa tekst Jurandota uliczny bard.

Odwoływanie się do dawnej polszczyzny przez lewicę to zabieg czysto koniunkturalny. O ile żeńskie formy zniknęły z polszczyzny spontanicznie, o tyle dziś feminatywy wprowadzane są na siłę, przez małą grupkę zaangażowanych działaczy, publicystów i polityków. Przypomina to rysunek Andrzeja Mleczki z czasów PRL, na którym krakowski rysownik ukazał typową partyjną salę obrad. Na mównicy stoi działacz pod krawatem i zwraca się do zebranych: „Z dniem dzisiejszym wprowadza się następujące przysłowia i porzekadła ludowe…".

SZTUCZNY PROCES PEŁEN POMYŁEK

W swojej walce o żeńskie formy i końcówki lewicy nie jest łatwo. Jako że mamy do czynienia z całkowicie sztucznym procesem, co chwila zdarzają się niekonsekwencje i pomyłki. Oto na Twitterze pani europoseł Spurek pod datą 3 września czytamy: „Duży plus dla PO. Małgorzata Kidawa-Błońska kandydatką na premiera. Po pierwsze kobieta. Po drugie jedna z najbardziej kompetentnych w Polsce polityczek". Dostrzegają państwo coś dziwnego? No właśnie, z jednej strony „polityczka", ale z drugiej – „kandydatka na premiera". A przecież wszystkie lewicowe media, z „Gazetą Wyborczą" włącznie, od dawna lansują neologizm „premiera", powinno zatem być „kandydatką na premierę". Z tym że każdy, kto ma jako taką świadomość językową, wie, że w języku polskim słowo „premiera" nie oznacza szefa rządu płci żeńskiej, ale pierwsze przedstawienie sztuki, wyświetlenie filmu, prezentację nowej książki. Tak jak „krytyczka" nie oznacza krytyka płci żeńskiej, tylko drobną krytykę.

Sama „Wyborcza" zresztą też ma problemy. W tekście na Gazeta.pl czytamy o kłopotach idolki klimatystów Grety Thunberg, która nie wie, jak dostać się z powrotem do Europy z USA, dokąd w ramach klimatystycznego show popłynęła jachtem. Z pomocą przychodzi hiszpańska… No właśnie – kto? „Apel [Thunberg o pomoc – przyp. red.] nie przeszedł bez echa, ponieważ z pomocą pospieszyła Teresa Ribera, hiszpańska ministerka ds. ekologii". Ale jak to? Do tej pory gazeta i portal z Czerskiej używały sformułowania „ministra". A tu nagle „ministerka". Przypomnijmy, co o tym słowie mówi wspomniany słownik Doroszewskiego: „Ministerka daw. żona

eprasa.pl f5436f6b3a

ministra (albo jedna z doradczyń królowej)". Zatem nawet z punktu widzenia dawnej polszczyzny użyta przez portal forma jest bez sensu.

Form tworzonych sztucznie i wbrew językowemu uzusowi jest wiele. To dziwolągi, takie jak „naukowczyni", „filolożka", „techniczka". Wszystkich przebiło jednak Greenpeace Polska, jakiś czas temu umieszczając na swoim profilu twitterowym zdjęcie grupy osób nad morskim brzegiem, podpisane: „W Międzyzdrojach trwa odprawa nurkiń i nurków przed akcją sprzątania dna Bałtyku". Mianownik od formy „nurkiń" brzmiałby zapewne „nurkini", gdyby takie słowo w języku polskim istniało – ale nie istnieje. Gdy tweet został powszechnie w sieci wyśmiany, Greenpeace wyjaśniło: „Zależy nam na podkreśleniu, że w akcji biorą udział także kobiety. Gdybyśmy napisali »nurków«, ktoś mógłby pomyśleć, że to grupa samych mężczyzn".

Kto jednak mógłby tak pomyśleć? Nikt traktujący język polski normalnie, bo dla każdej takiej osoby jest jasne, że wiele słów swoim znaczeniem obejmuje przedstawicieli obojga płci. Nie jest to oczywiste jedynie dla tych, którzy język traktują jako narzędzie ideologii. Tutaj dochodzimy do drugiego paradoksu walki o feminatywy. Ideologiczna ofensywa lewicy jest przecież skierowana na dowodzenie, że płcie nie są kwestią absolutną, a przypisywanie kobietom i mężczyznom jakichś cech z płcią ściśle związanych, jest naganne. Z tego punktu widzenia logiczne wydawałoby się raczej zwalczanie żeńskich końcówek, a nie ich natarczywe promowanie.

SCHEMAT GRAMSCIEGO

Okazuje się jednak, że lewica rozumuje inaczej. Jak napisał Biedroń – zmiana zaczyna się od języka. To sięgnięcie do leżącej u podstawy wielu lewicowych projektów społecznych teorii hegemonii kulturowej włoskiego komunistycznego filozofa Antonia Gramsciego (zmarł w 1937 r.). Język ma być motorem zmiany świadomości. W prosty sposób wyłożyła to w „Wysokich Obcasach" posłanka PO Monika Rosa: „Feminatywy są potrzebne dlatego, że otwierają możliwość udziału kobiet w różnych dziedzinach życia. Kiedy mówimy: »żołnierz«, myślimy o mężczyźnie, ale kiedy mówimy: »żołnierka«, uświadamiamy sobie, że kobieta także może wykonywać ten zawód. Tak samo jest z »marszałkinią« czy »ministrą«".

To oczywiście całkowicie fałszywe podejście. Przede wszystkim dlatego, że u jego podstaw leży błędne przekonanie, powtarzane przez lewicę jak mantra, że różne zawody czy dziedziny życia są dla kobiet niedostępne, bo pilnują ich przed nimi wstrętni męscy szowiniści – nie zaś dlatego, że kobiety ze względu na cechy nieodłącznie powiązane z ich płcią się do nich po prostu nie nadają. Armia to świetny przykład. Służy w niej wiele kobiet, ale przecież jasne jest, że nie sprawdzą się w każdej roli. Tam, gdzie potrzebne są wyjątkowa odporność fizyczna i siła, większość z nich po prostu nie daje rady. Są oczywiście wyjątki – nawet w elitarnej amerykańskiej marines służą kobiety, ale tylko te, które przejdą bez taryfy ulgowej cały cykl szkolenia na takich samych zasadach co mężczyźni. Udaje się to nielicznym. I jest to jak najbardziej naturalne. Gdyby Marine Corps uległo poprawności politycznej i zaczęło w swoje szeregi przyjmować „żołnierki" na zasadzie parytetu płci – zamiast pozostawać postrachem wrogów USA, stałoby się szybko pośmiewiskiem.

Niedawno karierę w Internecie zrobiło nagranie salutu armatniego, najprawdopodobniej w Hiszpanii (sądząc po głosach zza kadru i mundurach). Przy przygotowanej do strzału armacie stoi dwoje żołnierzy: kobieta po prawej, mężczyzna po lewej stronie. Gdy nadchodzi moment oddania strzału, kobieta, której zapewne w ramach równouprawnienia powierzono ważniejszą rolę, szarpie za sznur spustowy – ale bezskutecznie. Ma po prostu za mało siły. Te żenujące próby trwają dobrych kilkadziesiąt sekund. Wreszcie sznur przejmuje mężczyzna i oddaje strzał za pierwszym pociągnięciem.

Jeszcze dobitniej o ideologicznych celach walki na „froncie języka" (jak ująłby to pewien Wielki Językoznawca) mówi w tekście w „WO" wspomniana już poseł Razem Magdalena Biejat: „Nasz język wpływa na rzeczywistość. Język nienawiści może prowadzić do realnych przestępstw, a język włączający może nam uświadamiać fakt, że świat jest złożony, a podział między tradycyjne role męskie i kobiece już nie jest aktualny". Innymi słowy – pozornie niewinne szaleństwo lewicy, związane z usilnym promowaniem sztucznie tworzonych żeńskich form, jest w istocie sposobem na przebudowywanie świadomości na lewicową modłę.

Czy to się uda? Kiedy w latach 40. władzę w Polsce brutalnie przejęli komuniści, często powtarzanym zdaniem było, że „czas panów się skończył". Mieli być tylko towarzysze i obywatele (takim zwrotem w swoich wystąpieniach posługiwał się jeszcze w latach 80. gen. Jaruzelski). Nie udało się. Zwrot „pan", „pani" przetrwał, bo języka nie da się przekształcać odgórnymi zaleceniami i nakazami. Dlatego i tym razem lewica polegnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na prezentację książki Jerzego Kirszaka

19 listopada 2019 godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

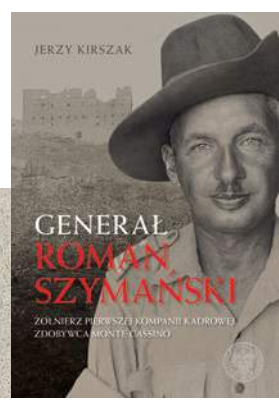

Udział wezmą:

dr hab. JERZY KIRSZAK – Instytut Pamięci Narodowej

płk dr hab. JULIUSZ TYM – prof. Akademii Sztuki Wojennej

Moderacja: dr JĘDRZEJ LIPSKI

Organizatorzy:

Patronat medialny:

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. JAKUB PORZYCKI/AGENCJA GAZETA

Z Barbarą Nowak, małopolską kurator oświaty
rozmawia Łukasz Zboralski

To obalanie cywilizacji

ŁUKASZ ZBORALSKI: Czy obraziłoby panią, gdybym o pani powiedział „nauczyciel"?

BARBARA NOWAK: Nie, absolutnie. Przecież nauczyciel to piękny zawód.

A jak podobają się pani określenia używane dziś w części mediów, takie jak „ministra" czy „premiera"?

Wychowana zostałam na literaturze klasycznej, więc w tej kwestii mam konserwatywne poglądy i dlatego to absolutnie mi się nie podoba. Trąci to dla mnie zdecydowanie jakąś sztucznością czy czasem wręcz śmiesznością. Ilekroć słyszę, że są takie pomysły, by na siłę stosować te żeńskie końcówki – choćby dopominanie się obecnie przez kobiety w parlamencie o podpisy „posłanka" – to zawsze mnie to zadziwia. Od lat słyszę o równouprawnieniu, więc wydawałoby się logiczne, że chodzi o wypracowanie jakiejś uniwersalnej końcówki, a tymczasem mamy odwrotną

eprasa.pl f5436f6b3a

sytuację i panie domagają się, żeby stosować zawsze końcówki żeńskie, nawet gdy brzmi to niepoważnie, jak choćby ostatnio dyskutowana forma „gościnia" zamiast „gość" w programie telewizyjnym.

Co mnie bardzo zastanawia, gdy słucham o walce o żeńskie końcówki wyrazów, to to, że przecież w naszym parlamencie są i lewica, i rozbudowana koalicja PO, a to są grupy, które walczą o to, by w naszej rzeczywistości zafunkcjonowała ideologia gender. A ona, jak pamiętamy, uwzględnia co najmniej 56 płci, a ile orientacji, to trudno się nawet doliczyć. Pytanie więc, jak za chwilę w takiej rzeczywistości wymyślonej przez lewicę i Koalicję Obywatelską będziemy się do siebie odzywać? Czasu nam nie wystarczy na wywody merytoryczne, gdy będziemy musieli szukać odpowiednich końcówek dla tych co najmniej 56 płci. Uważam tę sprawę za absurdalną, wydumaną, niepotrzebną i ośmieszającą dyskurs społeczny.

Czyli uważa pani, że to lewicowa próba zaprzęgnięcia języka w promowanie określonej wizji świata?

Dokładnie tak – to jest zawłaszczanie kolejnego skrawka naszej rzeczywistości. Od dawna mamy przecież do czynienia z sytuacją, że pojęciom nadaje się zupełnie inne znaczenie. Na przykład karykaturalne znaczenia próbuje się nadać słowom takim jak „rodzina" czy „tolerancja". Jeśli zaczynamy w ten sposób funkcjonować, że kierujemy dyskurs nie w kierunku rzeczy istotnych, ale gdzieś na poboczne wątki, to zaczynamy odchodzić od tego, co jest ważne. Wydaje mi się, że to jest celowe działanie. Po to, żeby to, co istotne, przestało mieć w publicznej debacie znaczenie.

Gdybyśmy częściej używali żeńskich końcówek, np. w określeniach dotyczących zawodów, to byłoby gorsze? Dlaczego?

Nie mówię, że gorsze. Mówię o odchodzeniu od wypracowanego przez wieki modelu. Wygląda na to, że rozmywamy istotne dla nas sprawy, by wszystko, co funkcjonowało w naszych umysłach jako coś normalnego, przestało obowiązywać. I jak się temu przyjrzeć dokładnie, widać, że takimi drobnymi krokami zmierza to do rewolucji cywilizacyjnej, do tego, by obalić cywilizację łacińską i wprowadzić nową – tę podyktowaną ideologią gender.

Z drugiej strony mogę przecież do pani powiedzieć „nauczycielka" i nie będzie to dziwne. Wydaje się, że i słowo „posłanka" nie jest obecnie kontrowersyjne...

Są pewne słowa, takie jak pan przytoczył – nauczycielka czy lekarka – które jednak mają już oparcie w naszej tradycji. To coś, co funkcjonuje od dawna. A to, co się w tej chwili dzieje, to jest masowy atak. Wszystko nagle zmieniamy i wszystko ma być politycznie poprawne. To dowód na to, że nie chodzi o dbałość o to, by ktoś nie poczuł się urażony, tylko raczej chodzi o wywrócenie funkcjonującego porządku. Chodzi o to, by zburzyć to, do czego jesteśmy przekonani i przyzwyczajeni. Żeby to, co uważamy za normę, zmienić dzięki wprowadzaniu rewolucyjnych zmian. A to wszystko po to, by przygotować nas do kolejnych ustępstw. Uważam, że jest to pewien przedpokój do tego, by zafunkcjonowała rewolucja wprowadzająca ideologię gender. Mamy na to wiele przykładów. Manipulacja przy języku, przy kolejnych pojęciach, i to dla nas podstawowych – rodzina, tolerancja, miłość – jest po to, by pewna stałość zachwiała się w swoich fundamentach. I to jest przygotowanie do dalszych działań. Zawsze tak jest, że po przekroczeniu jakiejś granicy kolejne jest nam łatwiej pokonać. Czyli np. to, z czym mamy do czynienia przy pomysłach na seksualizację dzieci – jeśli złamie się raz intymność dziecka, to będzie dużo łatwiej potem je deprawować. To widzimy na ulicach, przy Paradach Równości. Jest to logiczny ciąg zdarzeń, który ma prowadzić do zburzenia naszej cywilizacji. I prowadzić do takiego stanu, gdzie nie ma już zasad, gdzie prawa natury są pogwałcone i gdzie zaczyna funkcjonować porządek sztuczny.

Zwolennicy zmian w języku argumentują, że emancypantki też używały nowych określeń, a one wywalczyły przecież prawa wyborcze dla kobiet. Dowodzą więc, że zmiana języka może być wykorzystana w słusznym celu.

Ja bym to trochę inaczej powiedziała. Jestem historykiem i jeśli dobrze pamiętam, w 1918 r. kobiety w Polsce uzyskały prawa wyborcze, ale to nie była kwestia tego, że emancypantki wywalczyły to wbrew wszystkim. Te prawa wyborcze Polki otrzymały przy pełnym wsparciu mężczyzn, z pełnym ich zapałem, dla podkreślenia roli kobiet w odzyskaniu niepodległości Polski. Czyli wszystko to, o czym pan wspomniał, to był bardzo długi proces, ale jednak taki, który nie gwałcił praw natury, który długo się wykuwał, ale nie robił nikomu krzywdy – nie wprowadzał żadnych dziwactw, nie burzył fundamentów kultury, nie niszczył kodu kulturowego. To wszystko miało swój sens i zupełnie właściwy porządek. Nie powodowało koszmarnego zamieszania czy wręcz rewolucji. Natomiast to, co w tej chwili dzieje się w Polsce, ten nagły atak, bardzo zmasowany, z różnych stron, powoduje to, że ludzie mają prawo czuć się zagrożeni. To, co do tej pory dla mnie było normalne, oczywiste, zgodne ze zdrowym rozsądkiem, podawane jest obecnie w wątpliwość, burzone. Osobiście czuję się atakowana treściami, które dla mnie są zupełnie niewłaściwe. Jest to dla mnie jedno wielkie oszustwo.

Czy nagła próba narzucenia czegoś w języku w ogóle ma szansę się udać?

Mam nadzieję, że nie. Przy tym nie jest to nagła próba. Przecież to, do czego wracam, wspominając o deformacji najważniejszych pojęć, na których bazują ideolodzy gender, to wszystko dzieje się od dawna. Te fundamenty, na których zbudowana została cywilizacja europejska, są już podgryzane. Mnie więc ta próba zmiany języka nie dziwi.

Jak nauczyciel języka polskiego powinien dziś w szkole tłumaczyć takie rzeczy uczniom? Bo z neologizmami związanymi z feminatywami dzieci stykają się przecież w dyskursie publicznym. Co im o tym mówić, gdy zapytają?

Trudno mi powiedzieć, jak dokładnie powinien rzecz przedstawiać nauczyciel języka polskiego, bo tego nie wiem. Ze swojego punktu widzenia mogę powiedzieć, jak ucząc historii, przez lata podchodziłam do rozmów z uczniami. Rozmawiałam o wykładni według klasycznego podejścia, a równocześnie informowałam ich, że takie i takie sytuacje mają miejsce, że są określone próby podejmowania rewolucyjnych zmian. Mówiłam im też, jak ja do tego podchodzę, zostawiając uczniom jednak możliwość własnej oceny sytuacji. Nie uważam za stosowne, by im mówić, że mają myśleć tak jak nauczyciel i niczego innego nie przyjmować. To jest kwestia pewnej uczciwości nauczycieli, którzy pokazują rzeczywistość, równocześnie przekazując swój stosunek do niej, ale zaznaczając, że to ich osobiste zdanie, i tłumacząc, dlaczego takie zdanie mają. Nauczyciel powinien być mistrzem, autorytetem wskazującym drogę, wyjaśniającym swój punkt widzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Dobra zmiana bez zmian

Wojciech Wybranowski

Skład nowego rządu wzmacnia pozycję premiera Mateusza Morawieckiego, ale też może pomóc prezydentowi Andrzejowi Dudzie w walce o reelekcję

Jeśli miałbym jednym zdaniem podsumować cztery lata rządów PiS, Zjednoczonej Prawicy, to powiedziałbym tak: nie ma wolności bez godności – mówił w ubiegłym tygodniu w Sejmie premier Mateusz Morawiecki, podając odchodzący gabinet do dymisji. – Nie ma wolności bez godności i nie ma wolności bez wiarygodności, bo to właśnie dotrzymywanie słowa, wiarygodność przełożyły się na to, że dzisiaj godniejsze jest życie polskich rodzin, praca, płaca, można tak też powiedzieć, stan finansów publicznych, nasza polityka historyczna, nasza polityka międzynarodowa – dodawał.

Prawdopodobnie na początku tego tygodnia oficjalnie rozpoczną już pracę w swoich resortach ministrowie drugiego rządu Morawieckiego.

KILKA ŁAKOMYCH KĄSKÓW

„Nie odbierajcie telefonu, jeśli zadzwoni nieznany numer. Trwają poszukiwania kandydata na ministra finansów" – ironizowali dziennikarze w mediach społecznościowych kilka dni przed zaprezentowaniem składu nowego rządu. Resort finansów był jednym z tych, o które toczyła się polityczna rozgrywka między grupą Morawieckiego wspartego przez ludzi dawnego „zakonu PC" a wzmocnionymi zwiększonymi stanami posiadania liderami – koalicyjnych wobec PiS – Solidarnej Polski i Porozumienia Jarosława Gowina.

Jak mówią nieoficjalnie nasze źródła w PiS, Morawieckiemu zależało na utrzymaniu wpływów w resortach gospodarczych, zwłaszcza w sytuacji przewidywanego przez część analityków spowolnienia gospodarczego.

Ostatecznie szefem Ministerstwa Finansów został zaufany człowiek obecnego szefa rządu Tadeusz Kościński, z pochodzenia londyńczyk (jego ojciec przeszedł szlak bojowy z armią Andersa), absolwent Uniwersytetu Goldsmitha w Londynie, bankowiec. Z Morawieckim znają się jeszcze z Wielkopolskiego Banku Kredytowego, a później Banku Zachodniego WBK. Kościński pracował wcześniej m.in. w Ministerstwie Rozwoju, a następnie w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii oraz Ministerstwie Finansów. Znajomi mówią o nim, że umie się wyluzować – jeździł m.in. na jeden z festiwali rockowych, a także, że interesuje się historią polskich Kresów.

– Nie należy do najbliższych znajomych Morawieckiego, ale obaj panowie znajdują wspólny język. Premier ma do niego zaufanie. W kwestii finansów Kościński jest technokratą świetnie radzącym sobie ze słupkami i z bilansami – mówi nam jeden z polityków PiS.

W nowym rządzie pojawiło się też kilka nowych resortów. Jednym z nich jest Ministerstwo Nadzoru Właścicielskiego, które przejmie część zadań departamentów nadzoru właścicielskiego nad spółkami Skarbu Państwa z poszczególnych ministerstw. Jak mówił premier Mateusz Morawiecki, chodzi o to, by wykorzystać potencjał spółek Skarbu Państwa, jeśli doszłoby do spowolnienia gospodarczego. Na czele resortu stanie Jacek Sasin, do tej pory wicepremier. Sasin uważany jest

eprasa.pl f5436f6b3a

za człowieka dawnego „zakonu PC", czyli ludzi od lat związanych z Kaczyńskim.

Kolejnym resortem, który pojawi się w związku z ukonstytuowaniem nowego rządu, będzie Ministerstwo Zarządzania Funduszami (do tej pory Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju). Na jego czele stanie Małgorzata Jarosińska-Jedynak, wcześniej podsekretarz stanu w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju, uważana za człowieka dotychczasowego szefa MIiR Jerzego Kwiecińskiego.

BAŁAGAN W SPORCIE

Przepychanki koalicjantów PiS dotyczyły m.in. miejsc w Ministerstwie Energii, które ostatecznie zostanie zlikwidowane (jego kompetencje przejmie m.in. Ministerstwo Nadzoru Właścicielskiego), a także w resorcie sportu. – W pewnym momencie pojawiła się informacja, że resort zostanie przyznany jednemu z senatorów opozycji – mówi nam jeden z ziobrystów. – Niestety, plan spalił na panewce. Trwają negocjacje, kto go dostanie. Nie jest wykluczone, że jeśli ludzie Gowina dostaną tam ministra, to my kilku „wicków".

Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie wiadomo było, kto zostanie nowym ministrem sportu. Na giełdzie pojawiło się kilka nazwisk, wśród nich znanych sportowców, m.in. pływaczki Otylii Jędrzejczak czy lekkoatletki Moniki Pyrek. W kuluarach mówiło się też o Jacku Osuchu, byłym wiceministrze sportu.

– Na Boga, co to za pomysły, by brać zawodowych sportowców do ministerstwa w Polsce, które z racji quasi-mafijnych powiązań i układów w związkach sportowych najbardziej wymaga nowej krwi, oczyszczania, lustracji, restrukturyzacji i usprawnienia działania. Tu trzeba menedżera – mówi nam proszący o anonimowość były działacz jednego ze związków sportowych, który w poprzedniej kadencji próbował reformować Polski Związek Kolarski. Gdy zadarł ze starymi działaczami, został przez nich zmuszony do rezygnacji. – Przecież widać, że część byłych zawodników ma kłopoty z zarządzaniem związkami – dodaje nasz rozmówca.

Jak to wygląda, wskazywały chociażby przygotowania polskiej kadry kolarskiej do startu w mistrzostwach Europy. Bałagan w związku, który spowodowały byłe władze PZKol., i dziwny marazm po stronie prominentnych urzędników departamentu sportu wyczynowego w Ministerstwie Sportu nieomal doprowadziły do tego, że Polska nie wzięłaby w nich udziału. Dopiero gdy grupa nowych działaczy związku zaalarmowała o sprawie szefa kancelarii premiera – Michała Dworczyka, a ten samego szefa rządu i ówczesnego ministra sportu Witolda Bańkę, udało się biurokratyczny opór przełamać. Zagrożona była też organizacja ubiegłorocznych Mistrzostw Świata w Kolarstwie Torowym w Pruszkowie.

Do czasu powołania nowego ministra sportu funkcję tę ma pełnić premier Mateusz Morawiecki. Według nieoficjalnych informacji nowy szef resortu sportu zostanie wskazany w najbliższych dniach.

– Są dwie kandydatury, które premier w tej chwili rozważa, i w najbliższych dniach zdecyduje, która z tych osób tę funkcję będzie pełnić – mówił w piątek w rozmowie z Polskim Radiem rzecznik rządu minister Piotr Müller. Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" toczyły się rozmowy z potencjalnymi kandydatami na szefa resortu.

Wiadomo już natomiast, że na fotelu minister pracy i polityki społecznej Bożenę Borys-Szopę zastąpi była wicewojewoda wielkopolska Marlena Maląg.

RESORTY DZIELONE

Ministerstwo Środowiska zostało podzielone na część obejmującą m.in. lasy państwowe, łowiectwo, parki narodowe oraz edukację w zakresie ochrony środowiska. Tym resortem kierować będzie Michał Woś. Natomiast kwestiami klimatycznymi zajmować się będzie Ministerstwo ds. Klimatycznych kierowane przez Michała Kurtykę.

Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych wyłoniony zostanie miniresort odpowiedzialny za politykę europejską. Ta część zostanie przekazana pod kontrolę kancelarii premiera, a zajmować się nią będzie dotychczasowy sekretarz stanu ds. europejskich w MSZ Konrad Szymański, który zostanie awansowany do funkcji ministra członka Rady Ministrów. To spory awans polityka z Poznania, który przez ostatnie lata borykał się z etykietką „człowieka Libickich", co nie do końca budziło zaufanie na Nowogrodzkiej. Szefem MSZ pozostanie natomiast nadal prof. Jacek Czaputowicz, choć – jak twierdzi nasze źródło – w kręgach wpływowych polityków PiS pojawiły się zastrzeżenia, że jest zbyt bierny i zbyt słabo reaguje na bieżące wydarzenia polityczne.

Zmiany dotkną też samą kancelarię premiera. Za wzmocnione kompetencje legislacyjne w ramach rządu odpowiadać ma minister Michał Dworczyk, także szef kancelarii premiera, oraz Łukasz Schreiber, który ma objąć tekę szefa komitetu stałego Rady Ministrów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład nowej Rady Ministrów

- **premier** – Mateusz Morawiecki
- **wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego** – Jarosław Gowin
- **wicepremier, minister nadzoru właścicielskiego** (nazwa tego resortu może ulec zmianie) – Jacek Sasin
- **wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego** – Piotr Gliński
- **minister zarządzania funduszami** – Małgorzata Jarosińska-Jedynak
- **minister spraw zagranicznych** – Jacek Czaputowicz
- **minister zdrowia** – Łukasz Szumowski
- **minister spraw wewnętrznych i administracji** – Mariusz Kamiński
- **minister obrony narodowej** – Mariusz Błaszczak
- **minister infrastruktury** – Andrzej Adamczyk
- **minister finansów** – Tadeusz Kościński
- **minister środowiska** – Michał Woś
- **minister ds. klimatycznych** – Michał Kurtyka
- **minister sprawiedliwości** – Zbigniew Ziobro
- **minister rodziny, pracy i polityki społecznej** – Marlena Maląg
- **minister rolnictwa** – Jan Krzysztof Ardanowski
- **minister transportu morskiego i żeglugi śródlądowej** – Marek Gróbarczyk
- **minister rozwoju** – Jadwiga Emilewicz
- **minister cyfryzacji** – Marek Zagórski
- **minister edukacji narodowej** – Dariusz Piontkowski
- **szef kancelarii premiera** – Michał Dworczyk

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

Polacy mają dość polaryzacji

Z Janem Marią Jackowskim, senatorem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Za nami pierwsze posiedzenie nowego parlamentu. Sądząc po tym, jak swoje prace rozpoczął Senat, myśli pan, że będzie to izba zadumy czy „zadymy"? Miejsce pogłębionej refleksji nad stanowieniem prawa czy „piemont" antypisowskiej opozycji?

JAN MARIA JACKOWSKI: Przede wszystkim będzie to poligon doświadczalny dla strategii politycznych opozycji. O ile, rzecz jasna, uda się naszym przeciwnikom utrzymać swoją kruchą większość. Z nadzieją patrzę na deklarację marszałka Grodzkiego, który zapewnił, że oprócz twardej parlamentarnej debaty związanej ze swej natury z polityczną walką, czeka nas przede wszystkim ciężka, merytoryczna praca. Liczę na nową jakość.

Nie ukrywał pan swojego sceptycyzmu wobec prób przeciągnięcia na stronę PiS senatorów opozycji. Dlaczego?

Jestem nie tylko politykiem, lecz także analitykiem politycznym, autorem kilkunastu książek z zakresu najnowszej historii Polski. Patrząc zarówno z perspektywy historyka, jak i uczestnika życia politycznego, nie miałem żadnych wątpliwości, że ewentualne przejście senatorów opozycji do PiS w obecnej sytuacji politycznej w Polsce jest niezwykle mało realne. Widać przecież wyraźnie, jak nieprzejednana była postawa naszych przeciwników. Niepotrzebnie o tych potencjalnych transferach dywagowano publicznie, nie mając żadnej pewności, że do nich dojdzie. To była polityka operetkowa. W pierwszym akcie śpiewaliśmy, że choć sytuacja jest trudna, to jednak wygramy bitwę. W drugim, niestety, bitwę tę przegraliśmy. Trzeci akt to już dalszy ciąg dramatu. Jestem zwolennikiem polityki realnej i profesjonalnej. Jeśli planuje się jakieś bardzo trudne do wykonania przedsięwzięcie, to się o tych planach nie informuje opinii publicznej, tylko się próbuje te plany wprowadzić w życie i dopiero wtedy dyskutuje się o tym publicznie.

Dlaczego senatorowie niezależni wybrali na razie sojusz z opozycją?

Należałoby bliżej przyjrzeć się ich „niezależności". Dwóch z nich to byli bardzo ważni politycy Platformy – Krzysztof Kwiatkowski i Stanisław Gawłowski. Trudno byłoby zakładać, że staną po stronie PiS. Zresztą obaj mają postawione zarzuty prokuratorskie.

Równowaga sił w Senacie jest bardzo krucha. Czy więc wybór Tomasza Grodzkiego na marszałka to nie jest aby pyrrusowe zwycięstwo opozycji? Czy może ma ono jedynie symboliczny, ewentualnie psychologiczny wymiar?

Nastroje w obozie Zjednoczonej Prawicy byłyby dziś o wiele lepsze, gdyby wcześniej nie łudzono się nadzieją, że uda się wybrać Stanisława Karczewskiego ponownie na fotel marszałka. Oczywiście, były pewne przesłanki ku temu, że opozycji nie uda się zmobilizować przeciwko nam, porozumieć ponad podziałami. Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiadał przecież, że jeśli Platforma myśli, iż przeforsuje „swojego" marszałka, to się zawiedzie. Kandydatura Tomasza Grodzkiego została wysunięta niemalże w ostatniej chwili. A jednak opozycja zwarła szeregi. Czy na trwałe? Na to pytanie trudno w tej chwili odpowiedzieć. Wiele zależy od obecności na posiedzeniach. Pierwszego dnia obrad mieliśmy stuprocentową frekwencję, co zdarza się niezmiernie rzadko.

Może napięta sytuacja w Senacie pozytywnie wpłynie chociażby właśnie na frekwencję.

eprasa.pl f5436f6b3a

Senatorowie będą poważniej podchodzić do swoich obowiązków.

Zgadzam się. Z pewnością będzie większa mobilizacja po obu stronach sporu. Ponadto sytuacja w Senacie wymusi sprawniejszą legislację. Niestety w poprzednich kadencjach izba wyższa sprowadzana była do instytucji „czwartego czytania". Wiadomo, że w Sejmie ustawa przechodzi przez trzy czytania, zaś Senat, zamiast nanosić skutecznie merytoryczne poprawki, przepycha ustawę dalej. Żeby była jasność – to nie tylko domena ostatniej kadencji. Tak było od samego początku parlamentaryzmu w III RP. Dzisiaj jednak po raz pierwszy w historii mamy do czynienia z sytuacją, w której większość sejmowa nie ma pokrycia w większości senackiej. Wszyscy – zarówno PiS, jak i opozycja – uczymy się funkcjonowania w tych nowych warunkach.

Na ile jednorodny jest blok antypisowski w Senacie?

Myślę, że jeśli będą głosowane ustawy dotyczące wartości, to pojawią się głębokie różnice w szeregach opozycji. Na przykład znany z konserwatywnych przekonań Jan Filip Libicki z pewnością nie poprze w tym zakresie projektów forsowanych przez lewicę. To jest szansa dla PiS, aby w konkretnych sprawach uzyskiwać większość.

Z pewnością jednak jest coś, co niezależnie od poglądów może powstrzymywać senatorów opozycji przed jakąkolwiek współpracą z PiS. Mogą się mianowicie obawiać podobnego ostracyzmu, z jakim spotkał się radny Kałuża, przez lewicowo-liberalne media konsekwentnie piętnowany jako personifikacja „zdrady".

Tym bardziej że, z całym szacunkiem dla Sejmiku Śląskiego, stawka w Senacie jest o wiele wyższa. Każdy z nas, senatorów, żyje w konkretnym środowisku, wśród swoich wyborców, którzy na bieżąco oceniają jego działalność i zachowanie. Dlatego też trudno się dziwić obawom przed napiętnowaniem, które w podobnych sytuacjach dotyka nie tylko polityka, lecz także często również jego rodzinę, przyjaciół i znajomych.

Opinie co do tego, czy eksperyment z Kidawą-Błońską jako „nową, lepszą twarzą Platformy" wypalił, są podzielone. A czy taką nową jakość w partii Schetyny może uosabiać Tomasz Grodzki?

Jego przemówienie, wygłoszone tuż po wyborze na marszałka, było niezwykle precyzyjne, stonowane. Gdyby właśnie tak wyglądało zachowanie polityków Platformy w Senacie, mielibyśmy w końcu, nawet jeśli ostrą, to jednak przy tym również odpowiedzialną, merytoryczną opozycję, która zamiast urządzać polityczne zadymy, będzie proponować konkretne, mniej lub bardziej rozsądne rozwiązania. Jeżeli tak się stanie, to rzeczywiście byłoby to ogromne wyzwanie dla obozu rządzącego, gdyż potrzebna byłaby zmiana taktyki: inaczej należy postępować z nową, łagodniejszą i bardziej merytoryczną opozycją niż z dotychczasową „opozycją totalną". Spotykając się z wyborcami, często słyszę od nich apele o treści „dobrze by było, gdybyście potrafili ze sobą rozmawiać".

Wierzy pan w tę nową twarz, nową jakość opozycji?

Myślę, że Tomasz Grodzki zdaje sobie sprawę, przed jak ważną misją stanął, jak wielkie brzemię odpowiedzialności za jakość debaty publicznej na nim ciąży. Nie jest to zawodowy polityk, nie jest to działacz partyjny z pierwszej linii frontu, i to pozwala przypuszczać, że będzie starał się nie zaogniać konfliktów politycznych, upatrując w tym szansę.

Powiedział pan, że Senat będzie dla opozycji poligonem doświadczalnym. Zapewne więc nie będzie tylko miło i przyjemnie.

Oczywiście, opozycja będzie starała się hamować proces legislacyjny. To wyzwanie dla rządu i sejmowej większości – trzeba będzie jak najlepiej przygotowywać projekty ustaw, aby ustrzec się błędów legislacyjnych i niedoróbek, jakie zdarzały się w przeszłości. Tylko w ten sposób można utrudnić opozycji hamowanie procesu stanowienia prawa w Senacie. W Sejmie też nie będzie sytuacja tak pewna, jakby się mogło wydawać. Pamiętajmy, że premier i ministrowie, a z sekretarzami stanu to kilkadziesiąt osób, również zasiadają w ławach poselskich – także w ich przypadku, przy minimalnej większości, będzie potrzebna żelazna dyscyplina frekwencyjna, a to przy pracy rządowej i wyjazdach służbowych nie jest takie łatwe.

Tomasz Grodzki wyraził nadzieję, że „wzięcie Senatu" będzie miało wpływ na wybory prezydenckie...

Trudno przewidywać, czy tak rzeczywiście będzie, ponieważ na razie nie znamy kandydata PO. Wszystko zależy od tego, czy do walki o fotel prezydencki wystartuje antypisowski „fighter", czy ktoś bardziej koncyliacyjny, centrowy...

Ktoś taki jak Kidawa-Błońska czy może właśnie Tomasz Grodzki?

Na razie nic nam na temat personaliów nie wiadomo. Z pewnością jednak Andrzejowi Dudzie trudniej byłoby stanąć w szranki z kimś, kto przedstawia siebie jako polityka ponad podziałami.

Koncyliacyjne, centrowe, ponad podziałami... Właśnie tymi określeniami komentowano orędzie prezydenta Andrzeja Dudy, wygłoszone podczas inauguracyjnego posiedzenia Sejmu. Rolę „złego policjanta" zdaniem niektórych odegrał marszałek senior Antoni Macierewicz. Czy rzeczywiście, jak stwierdził Grzegorz Schetyna, było widać, że jeden z przemawiających kampanię wyborczą już zakończył, drugi zaś – dopiero zaczyna?

Nie zaskoczyło mnie wystąpienie, konsekwentnego w swoich wyrazistych poglądach, Antoniego Macierewicza. Polityczny dorobek marszałka seniora, legitymującego się piękną opozycyjną kartą z czasów opozycji demokratycznej w PRL, jest niekwestionowany.

A nie zaskoczyło pana, że mówiąc o katastrofie smoleńskiej, nie wskazał jednoznacznie jej przyczyn?

Antoni Macierewicz, niezależnie od ostrych tez, które zazwyczaj stawia, tym razem przedstawił szeroką panoramę problemów socjologicznych, tak naprawdę definiując oś sporów kulturowych i cywilizacyjnych. Również koncyliacyjny ton prezydenta Dudy nie mógł nikogo dziwić. Trzeba przecież pamiętać, że 43 proc., zdobyte przez PiS w wyborach parlamentarnych, nie wystarczą do zdobycia fotela głowy państwa. Wnioski nasuwają się same.

Jednak gest podania ręki przedstawicielom wszystkich klubów parlamentarnych to już jednak ponadprogramowa koncyliacyjność.

To było pokazanie nowej jakości w polskiej polityce. Proszę zwrócić uwagę, że również opozycja zachowała się przyzwoicie, nie głosując przeciwko marszałek Witek, za co pochwalił ją sam prezes Jarosław Kaczyński, wyrażając nadzieję, że kończy się „totalność" walki z rządem. Widać, że klimat polityczny się zmienia. Wszystkie badania socjologiczne pokazują, że dalsza polaryzacja nie jest czymś, czego życzyłaby sobie większość obywateli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

Przesłanie starego mistrza

Piotr Semka

Przemówienie Kornela Morawieckiego z inauguracji Sejmu w 2015 r. zawiesiło wysoko poprzeczkę przed kolejnymi marszałkami seniorami. Przed tym trudniejszym zadaniem stanął Antoni Macierewicz z chwilą mianowania go na tę funkcję przez prezydenta Andrzeja Dudę

Ten wybór był wyrazistym gestem chęci wygaszenia dawnych waśni między głową państwa a byłym szefem MON. Był jednak także uznaniem opozycyjnej karty założyciela KOR, działacza Solidarności i jednego z najbardziej wyrazistych polityków prawicy po 1989 r.

Posłowie Platformy i Lewicy wysłali w tej sprawie protest do prezydenta, co już stanowiło precedens w obyczajach sejmowych. Jednak Andrzej Duda z pełną świadomością podjął decyzję o uhonorowaniu jednego z nestorów obozu PiS i jej nie zmienił.

Dla Antoniego Macierewicza była to pierwsza od chwili opuszczenia MON okazja do wysunięcia się na pierwszy plan w polityce PiS. Jak z niej skorzystał?

ILE KOSZTUJE WOLNOŚĆ?

Macierewicz w swoim przemówieniu zaczął od pytania o wagę niepodległości – „warunku niezbędnego do realizowana wszelkich wartości narodowych". W tym kontekście nawiązał do stanu wojennego, którego „zbrodnia" – jak wskazał – „wciąż nie została ukarana".

– Nie wyciągnęliśmy konsekwencji wobec odpowiedzialnych. A stan wojenny to nie tylko setki zabitych, w tym księży zamordowanych podczas rozmów Okrągłego Stołu. To także tysiące więzionych, wyrzuconych z pracy, skazanych na emigrację, to przede wszystkim przygotowanie długofalowej grabieży narodu polskiego i niszczenia jego gospodarki – mówił Macierewicz.

I kontynuował: „Chociaż w poprzedniej kadencji Sejmu przeprowadzono fundamentalne, niesłychanie istotne zmiany w sprawach społecznych, historycznych i gospodarczych, to odpowiedzialność za ostateczne uporanie się z ciemną spuścizną komunizmu przypada na nas".

Antoni Macierewicz jako marszałek senior otwiera pierwsze posiedzenie Sejmu IX kadencji FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Dla Macierewicza dużą wartością była wysoka frekwencja, odnotowana w ostatnich wyborach parlamentarnych (ponad 60 proc.). Wskazał, że taki wynik to „fenomen, który ma olbrzymie znaczenie dla przyszłości Polski". – Chociaż ten Sejm jest bardzo zróżnicowany, to absolutna większość wyborców wsparła te ugrupowania, które jednoznacznie odwoływały się do wartości narodowych, katolickich – wskazał.

– Ukształtowanie naszych instytucji państwowych zgodnie z tymi wartościami to nasze największe zadanie, które stoi przed obecnym Sejmem. Polacy mają prawo oczekiwać, że ich wola zostanie uszanowana – dodał. Macierewicz nie omieszkał podkreślić, że obóz Zjednoczonej Prawicy, na który głosy oddało ponad 8 mln obywateli, osiągnął największe poparcie w historii. Dlatego – jak mówił – to właśnie na nich spoczywa największa odpowiedzialność w budowanie tego „narodowego" i „katolickiego" państwa.

Jako genezę dobrej zmiany Macierewicz wskazał „zasady polityki niepodległościowej rozpoczęte jeszcze przez rząd świętej pamięci Jana Olszewskiego, a kontynuowane przez rządy Prawa i Sprawiedliwości".

eprasa.pl f5436f6b3a

Pragenezą tego zwrotu w nastrojach według Macierewicza było „odrodzenie narodowe po roku 2010". Były szef MON zdefiniował je jako „wielką falę powrotu patriotyzmu, świadomości narodowej i polskich obowiązków – żywą zwłaszcza wśród młodzieży, która najgłębiej przeżyła dramat katastrofy smoleńskiej". I dodał, że bez względu na opinie dotyczące przyczyn tej katastrofy, „uświadomiła ona, jak kruche były dotychczasowe przemiany, jak ważne jest silne państwo polskie, a jak wielkie jest stale ciążące nad nami zagrożenie zewnętrzne". Końcowa teza mowy była wezwaniem: „Musimy zbudować silne państwo narodowe z jasną hierarchią wartości odróżniającą patriotyzm od zdrady, dobro od zła, cywilizację życia od cywilizacji śmierci" – apelował do posłów i posłanek.

Bez kompleksów Macierewicz nawiązał też do Konstytucji RP. Podkreślił, że jest to najważniejszy akt prawny w naszym kraju, który należy szanować. W tym momencie nawet posłowie opozycji zaczęli bić brawo i skandować hasło: „Konstytucja! Konstytucja!". Macierewicz zaskoczył opozycję, cytując art. 18 ustawy zasadniczej, głoszący, że „małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". Kolejny kluczowy zapis to, zdaniem Macierewicza, art. 38 mówiący o tym, że „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia". – Życie ludzkie jest nienaruszalne, a Rzeczpospolita zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia, co w sposób oczywisty oznacza ochronę życia od poczęcia do naturalnej śmierci – oznajmił Macierewicz. – Jestem przekonany, że wszyscy posłowie, bez względu na opcje polityczne, zgodzą się działać w oparciu o te właśnie zasady – podsumował.

PO CO RZĄDZIMY?

Mowa Macierewicza była wyraźnym podsumowaniem i przypomnieniem idei, z którymi PiS szedł do władzy w 2015 r. Ta powtórka nabrała istotnej wartości w sytuacji, gdy rządząca partia od dwóch lat podkreślała częściej hasło „państwa dobrobytu" i akcentowała swój program świadczeń socjalnych. Macierewicz zdawał się przestrzegać swoją partię, że za bardzo stała się partią ciepłej wody w kranie. Że za mało pamięta, w imię jakich haseł podjęła się reformowania państwa.

Przemówienie Antoniego Macierewicza poprzedziła mowa prezydenta Andrzeja Dudy, który wyraźnie akcentował potrzebę zgody narodowej.

Czy oba przemówienia były elementem jakiejś umowy czy też stanowiły polemikę? Najprawdopodobniej obaj politycy podzielili się rolami. Andrzej Duda wykorzystał inaugurację Sejmu do rozpoczęcia kampanii prezydenckiej. Z kolei Macierewicz wygłosił manifest swojego pokolenia – ludzi, którzy walczyli z komunizmem – a teraz przypomina o wadze tego specjalnego momentu, gdy jedna prawicowa partia ma szanse rządzić kolejną kadencję.

Jarosław Kaczyński oklaskiwał obie mowy po równo.

Jeśli mowa Macierewicza, jak chcieli niektórzy, miała być ukłonem dla Konfederacji i zachętą do współpracy, to raczej nie spełniła swego zadania. Poseł konfederatów, Konrad Berkowicz, zareagował na Twitterze tak: „Przemówienie marszałka seniora @Macierewicz_A to strzelisty przykład politycznej hipokryzji. Marszałek mówił dobitnie o wartościach, którym w swoich działaniach wraz z całym rządem zaprzeczał przez ostatnie cztery lata".

Godzinę potem Konfederacja, jako jedyne ugrupowanie opozycji, głosowała przeciw kandydaturze Elżbiety Witek na stanowisko marszałka Sejmu RP.

NA MIĘKKO CZY NA TWARDO?

Mowy Andrzeja Dudy i Antoniego Macierewicza ponowiły pytania o linię PiS. Andrzej Duda będzie tu w największym stopniu w centrum uwagi. To żadna nowina – każda kampania prezydencka skupia się na jednej osobie. Jednak sam PiS musi zastanowić się nad przyszłą linią.

Od pewnego czasu w dyskusjach wewnątrz partii pojawiać się na nowo zaczęło słowo „chadecja". Przykładowo Paweł Szefernaker mówił w niedawnym wywiadzie, że „potrzebne jest silne środowisko chadeckie, takie, które może w Polsce rządzić nie tylko dwie kadencje, ale i dłużej. Taką partią jest PiS. Musimy dziś zrobić wszystko, aby naszą partię poszerzyć, aby przekonać jak najwięcej ludzi do siebie". Zachęta wyboru drogi do centrum? Tyle że niczego nie ma za darmo. W dzisiejszej Europie bycie chadecją oznacza akceptację zmian obyczajowych.

Jednak perswazja, by PiS łagodził język i zweryfikował agendę zmian, wywierana jest także przez takie środowiska jak np. Klub Jagielloński. Piotr Kaszczyszyn, jeden z liderów KJ, pisze: „Wystąpienia Andrzeja Dudy i Antoniego Macierewicza jak w pigułce pokazały fundamentalne napięcie tożsamościowe występujące wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Przemówienia prezydenta i marszałka seniora to dwie symboliczne twarze obozu »dobrej zmiany«, dwie alternatywne wizje polskości i polskiej wspólnoty politycznej. Dla dobra naszej ojczyzny lepiej, aby wygrała opowieść Andrzeja Dudy".

Wbrew pozorom dyskusja na ten temat nie toczy się w PiS zbyt szeroko. Zazwyczaj skalę ideowości dyktuje prezes Jarosław Kaczyński, to zwalnia od zabierania stanowiska czołowych polityków partii. W samym rządzie przeważają raczej fachowcy od reform niż tożsamościowcy. Zbigniew Ziobro i Mariusz Kamiński, utożsamiani z tymi drugimi, wypowiadają się rzadko. Tak naprawdę tylko Patryk Jaki podnosi jeszcze hasła ofensywnych zmian. Reszta przyzwyczaiła się do sytuacji, w której licencje na ustalanie kursu zmian ma jedynie Nowogrodzka.

Na tym tle Antoni Macierewicz, wygłaszając swoje przemówienie, potwierdził swoją rolę w partii. Po pierwsze, jako wiceprezes PiS jest już w polskiej polityce jedną z ostatnich pierwszoplanowych postaci walki z komunizmem. Wraz z Piotrem Naimskim należy do ostatniej dwójki żyjących osób, które założyły w 1976 r. Komitet Obrony Robotników. Po drugie, jak się zdaje, Macierewicz porzucił już ambicje obejmowania funkcji rządowych. Po trzecie wreszcie, kontynuuje swoją misję szefa komisji MON do zbadania przyczyn katastrofy w Smoleńsku. Pytany o jej losy podkreśla, że komisja dalej pracuje i na jej czele wciąż stoją prof. Kazimierz Nowaczyk i Wiesław Binienda. Macierewicz zaznacza, że podjął decyzję niepublikowania cząstkowych informacji o wynikach pracy komisji, ale wciąż prowadzona jest weryfikacja wniosków i ekspertyz komisji przy współpracy ze specjalistami z USA. Pełny raport ma być przedstawiony przed 10. rocznicą tragedii w kwietniu 2020 r.

Wagę sejmowej mowy Macierewicza zapewne wzmocni czas. Jego słowa były upomnieniem tych polityków PiS, którzy marnują niekiedy czas i energię w wewnętrznych sporach. A dar większości sejmowej dla jednej partii prawicy wymaga realizacji programu reform. Jeśli nie teraz, to kiedy? – zdawał się pytać Macierewicz. Akurat on ze swoim życiorysem miał prawo pytać o to polityków partii, która uzyskała większość w Sejmie. Pytanie, jak politycy PiS zechcą ten dar wykorzystać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

Rafał A. Ziemkiewicz

Uliczne walki „w obronie demokracji”, kreujące „męczenników” opozycji, zmieniają się w farsę. Oto krótki przegląd gwiazd lewicowo-liberalnego oporu

Szczurek merda

Wygłupy kilku działaczy – jak sami się nazwali – „lotnej brygady opozycji” pod pomnikiem Ofiar Katastrofy Smoleńskiej i Grobem Nieznanego Żołnierza zniesmaczyły nawet niektórych polityków PO. Przeciwko naruszaniu przez przebierańców z kartonową makietą czołgu powagi miejsca i ośmieszaniu żołnierzy warty honorowej zaprotestował Tomasz Siemoniak, być może „z urzędu”, jako były szef MON i kandydat Koalicji Obywatelskiej do ponownego objęcia tego stanowiska. Niesmak wyraził też, i to w słowach dość stanowczych, były szef MSWiA Bartłomiej Sienkiewicz, a nawet, o dziwo, jedna z dziennikarek „Gazety Wyborczej” Żaneta Gotowalska, która po obaleniu (nawiasem mówiąc, w części przez te same osoby) gdańskiego pomnika prałata Jankowskiego zasłynęła zapowiedzią: „Teraz czas na te wszystkie pomniki Jana Pawła II”.

Szybko jednak przywołano ich do porządku. W obronie „happeningu” wystąpiła Małgorzata Kidawa-Błońska, przymierzana przez swoją partię do prezydentury. „Nic złego nie zrobili” – oznajmiła i oskarżyła Polaków w ogóle, a oburzonych tą sprawą w szczególności, o brak poczucia humoru. To oraz fakt, że z potępieniem ekscesu wystąpili tak znienawidzeni „PiS-owcy” jak Joachim Brudziński czy Mariusz Błaszczak, natychmiast ośmieliło szyderców – Roman Giertych zamieścił w sieci kpiarski list, w duchu Jerzego Urbana, wyszydzający pojęcie „godności munduru”, dziennikarz „Newsweeka” Marcin Meller zrównał zaś „lotną brygadę” z happeningem NSZ UW w latach 80., jakby nie było żadnej różnicy między ówczesnym wykpiwaniem Studium Wojskowego LWP a pajacowaniem pod Grobem Nieznanego Żołnierza. A inna dziennikarka tego tygodnika, Renata Kim, zaprosiła lidera grupy Arkadiusza Szczurka do swojego programu w Onecie i przeprowadziła z nim wywiad z pełną powagą, a nawet oznakami czci dla jego „niezłomnej” postawy.

Nic nowego, obserwowaliśmy to już nieraz przy kolejnych przekroczeniach ze strony ulicznych grupek, drobiących się od czterech lat na coraz mniejsze organizacje pod coraz dziwniejszymi nazwami („lotna brygada” objawiła się dwa tygodnie temu, atakując pod jego prywatnym adresem Jarosława Kaczyńskiego; wcześniej jej uczestnicy pojawiali się pod szyldami Obywateli RP, Obywateli Solidarnych w Akcji, Wolnych i Równych etc.). Gdy np. w początkach roku agresywna pikieta zaatakowała wychodzącą z siedziby TAI Magdalenę Ogórek, tak samo pojawiło się najpierw kilku odstępców od partyjnej linii, potępiających tę napaść – ale zaraz potem Donald Tusk przywołał ich do porządku wezwaniem, by nie ulegać „panice moralnej”, i sprawcy tego ataku stali się bohaterami męczennikami walki z PiS (jeden z nich położył się bowiem pod koła samochodu dziennikarki, skąd został „brutalnie” wyciągnięty przez policjantów).

Mechanizm działa od wielu lat, stale tak samo – od chwili, kiedy PO uwierzyła w skuteczność „opozycji ulicznej”. Komitet Obrony Demokracji Mateusza Kijowskiego, potem Obywatele RP Pawła Kasprzaka, a potem kolejne grupy „zadymiarzy” miały wyprowadzić na ulicę tłumy, które, w atmosferze budowanej przez liberalno-lewicowe media grozy „wyrzuceniem nas z Unii”, a co najmniej obcięcia jej funduszy, miały rosnąć i radykalizować się tak, żeby – jak zapowiedział Wałęsa – w końcu „PiS-owcy z okien skakali”.

Radykalizm ulicznych protestów okazał się działać odwrotnie. Marsze liczące pierwotnie po kilkanaście tysięcy ludzi stopniały do tysięcy, potem do setek – aż w końcu na ulicy pozostały garstki radykałów, licytujących się w coraz dziwniejszych pomysłach na sprowokowanie oburzenia zwolenników władzy.

eprasa.pl f5436f6b3a

Arkadiusz Szczurek i Leszek Piątkowski na czele „happeningu” zorganizowanego w 115. miesięcznicę katastrofy smoleńskiej, Warszawa, 10 listopada 2019 r.
FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

psem

Co najdziwniejsze, kompletne fiasko strategii opartej na nieustających pikietach, marszach, zakłócaniu państwowych i patriotycznych uroczystości oraz innych ulicznych ekscesach pokazał już sejmowy „ciamajdan” na przełomie lat 2016 i 2017. Już wtedy stało się jasne, że opozycja „uliczna” szkodzi tej politycznej – a i promującym ją mediom wcale nie zwiększa zasięgów. Mimo wszystko ani politycy opozycji, ani popierające ich media i autorytety nie zdobyły się nigdy na jasne i wyraźne odcięcie od ulicznych awantur. Dlaczego? Jest to zagadką na miarę tej, dlaczego Grzegorz Schetyna, mogąc definitywnie zmarginalizować lewicę, wolał na koszt i na szkodę PO wyciągnąć postkomunistów z grobu, w którym złożyli ich przed laty wyborcy.

Coraz dalej idące prowokacje uliczne nie tylko nie spotkały się ze zdecydowanym potępieniem, ale przeciwnie – kto wymyślił najbardziej spektakularne naruszenie porządku publicznego, stawał się najusilniej promowanym „męczennikiem sprawy”. Klementyna Suchanow zyskała w mediach obozu magdalenkowego taki status wraz z nierozerwalnie związaną z nim sławą, kiedy została „brutalnie rzucona na ziemię” po tym, jak wraz z dr. Suszkiem obrzuciła samochód prezydenta jajami (warto dodać, że w większości krajów zachodnich zostałaby najprawdopodobniej zastrzelona, a dopiero potem sprawdzano by, czym próbowała w prezydenta rzucić). Wykreowana tak działaczka brylowała przez pewien czas, zapowiadając, że „ktoś w końcu rzuci granatem”, ale mimo kolejnych bohaterskich „aktów oporu” – jak wymalowanie wulgarnego słowa na ścianie Sejmu – jej gwiazda szybko zbladła. Rozbłysła sława innej męczennicy, Elżbiety Podleśnej, która z grupką innych kobiet rzuciła się pod nogi uczestnikom Marszu Niepodległości.

Liberalno-lewicowe media zachwycały się szczegółami tej akcji, której uczestniczki m.in. porozumiewały się przez łączniczki w obawie, że telefony czy e-maile mogłaby przejąć PiS-owska władza, niwecząc efekt zaskoczenia. Przez dwa dni po akcji Podleśna paradowała nawet w kołnierzu ortopedycznym. Potem zainicjowała codzienne pikiety pod TVP, ale gdy media i nią, i tymi pikietami się znudziły, podbiła stawkę, unikając tym samym losu Suchanow – urządziła profanację wizerunku Matki Bożej przez dorobienie jej tęczowej aureoli i naklejenie na przenośną ubikację. Po czym wielokrotnie epatowała opowieścią o tym, jak brutalnie ją zrewidowano na posterunku policji, nakazując zdjęcie butów i biustonosza.

Wkrótce potem jednak palmę pierwszeństwa przejął właśnie Arkadiusz Szczurek, wdzierając się na pomnik smoleński podczas składania pod nim kwiatów przez działaczy PiS. W ten sposób zapełnił lukę po Pawle Kasprzaku – inicjator atakowania obchodów smoleńskich dość nieoczekiwanie oznajmił bowiem, że nie będzie już tego robił, i skupił się na walce z „faszyzmem”. Jednak 11 listopada jego „blokada” Marszu Niepodległości na warszawskim „rondzie de palma”, choć jak zwykle wyniesiona przez policję, zdecydowanie przegrała rywalizację o medialny rozgłos z kartonowym czołgiem Szczurka – nie pomogło nawet położenie się na ziemi w ramach tej pierwszej takiej gwiazdy „ruchu oporu” jak Joanna Scheuring-Wielgus. Łaska lewicowo-liberalnego salonu okazuje się zmienna.

Nie tylko salonu. Przypomnijmy, że uwierzywszy w swą popularność, Kasprzak rzucił w ostatnich wyborach wyzwanie PO, kandydując w samym sercu warszawskiego „lemingradu” przeciwko Kazimierzowi Ujazdowskiemu, byłemu politykowi PiS, uważanemu za konserwatystę, a więc – w języku Kasprzaka – „faszystę”, niepasującego do obozu „obrońców demokracji”. Poniósł w tym starciu druzgocącą klęskę. Okazało się, że nawet elektorat bardzo niechętny PiS w znikomym stopniu akceptuje przesłanie i metody działania założyciela Obywateli RP.

Kasprzak nie wyciągnął z tej klęski żadnych wniosków – podczas Marszu Niepodległości można było zobaczyć, jak – zawsze ten sam, z błyskiem szaleństwa w oczach – krzyczy na policjantów, że krajem rządzą przestępcy i oni mają obowiązek odmówić im wykonywania rozkazów. Nie to jednak dziwi, ale fakt, że żadnych wniosków z wyborczego wyniku Kasprzaka nie wyciągnęła Koalicja Obywatelska.

Dodać trzeba, że oprócz mediów sprawcy ulicznych ekscesów mają jeszcze jednego potężnego sojusznika: sędziów. Mimo oczywistego łamania prawa nie zdarzyło się dotąd, by którykolwiek został skutecznie ukarany bodaj symbolicznym mandatem. Ci sami sędziowie, którzy orzekają najsurowsze wyroki na uczestników marszów narodowców czy blokad pochodów LGBT, masowo umarzają postępowania przeciwko „obrońcom konstytucji”, orzekając „znikomą szkodliwość” czy nawet wręcz, że „walcząc z faszyzmem”, realizują oni interes społeczny.

Totalna bezkarność zmienia wszelkie „męczeńskie” działania ulicznych opozycjonistów w świetną zabawę, coraz bardziej ochoczo rywalizują oni więc na „kto urządzi głośniejszą drakę”. W tej rywalizacji dawno już zupełnie zginął jeden drobiazg: że wszystkie te działania nie mają za grosz sensu. Że pajacowanie pod domem Kaczyńskiego z makietą miecza wbitego w głowę i kolejna fala biadoleń, że zostało się wyniesionym przez policję, jeśli kogoś do czegoś przekonuje – to tylko do tego, iż opozycję zdominowały ostatnie oszołomy i dla PiS po prostu nie ma żadnej poważnej alternatywy.

Ze Szczurkiem, z Podleśną, Kasprzakiem i innymi od dawna już jest tak, jak w znanym powiedzonku o ogonie merdającym psem. To oni, dzięki stałej obecności w mediach, określają przekaz opozycji – nie politycy. Zwłaszcza mająca najwięcej do stracenia PO staje się coraz bardziej zakładnikiem ich wygłupów. Co najdziwniejsze, wydaje jej się to – jak dowodzą wzięcie na listy Klaudii Jachiry czy cytowany komentarz kandydatki do prezydentury – zupełnie nie przeszkadzać. W kategoriach racjonalnej polityki nie da się tego objaśnić. Jedynym wyjaśnieniem jest odbierająca rozum nienawiść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

Z ks. abp. Markiem Jędraszewskim, metropolitą krakowskim
rozmawiają Paweł Lisicki, Maciej Szymanowski i Wojciech Wybranowski

Europa ciągle potrzebuje chrześcijańskiego ducha

„DO RZECZY": Jak ksiądz arcybiskup ocenia, czy dzisiaj w Polsce, w Unii Europejskiej znaleźliśmy się w sytuacji „non possumus", jeżeli chodzi o prawa obywatelskie, prawa katolików do wyrażania własnych opinii? Czy głośne, przez niektórych krytykowane, słowa arcybiskupa rzeczywiście musiały paść?

KS. ABP MAREK JĘDRASZEWSKI: Jestem przekonany, że był to już ostatni moment, aby owo „non possumus" głośno powiedzieć. Nie wiem, czy na Zachodzie próbowano je tak jednoznacznie wyrazić. Wydaje się, że raczej uwierzono w demokrację od strony czysto funkcjonalnej – tak jakby mechanizm demokratycznych wyborów był wartością samą w sobie, kreującą inne wartości. Natomiast trzeba, moim zdaniem, mieć bardzo mocno na uwadze to, co Jan Paweł II napisał w encyklice „Centesimus annus", opublikowanej w 1991 r., w stulecie – jak na to wskazuje już sam tytuł tego dokumentu – pierwszej encykliki społecznej Kościoła „Rerum novarum", ogłoszonej przez Leona XIII. Otóż w 46. numerze „Centesimus annus" Ojciec Święty stwierdził, iż „historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm". Dobrze pamiętam dyskusje, które miały miejsce w polskiej prasie miesiąc później, w czerwcu tego samego 1991 r., kiedy papież przyjechał z kolejną pielgrzymką do Polski, odbywając ją „szlakiem Dekalogu". W niektórych mediach pisano wtedy: Jak on śmie coś takiego nam mówić? On się przecież nie zna na demokracji, był dobry do walki z komuną, ale on nas demokracji uczyć nie będzie. A tymczasem podczas tej pielgrzymki Jan Paweł II odnosił się do fundamentalnych zagadnień: kim jesteśmy jako ludzie, jak powinna wyglądać nasza cywilizacja i kultura właśnie wtedy, gdy mamy wreszcie jako Polacy możność po przeszło 50. latach od wybuchu II wojny światowej kształtować nasz byt narodowy i państwowy. Z wielką mocą podkreślał, że ten byt trzeba budować na zasadach Dekalogu. Środowiska lewicowe i liberalne poczuły się szczególnie dotknięte słowami Papieża, które popłynęły na całą Polskę z Kielc, gdzie wprost krzyczał, przestrzegając przed fikcją wolności w związku z aborcją przedstawianą przez te środowiska jako przejaw wolności. [„Poza prawdą wolność nie jest wolnością. Jest pozorem, jest zniewoleniem. (…) Może dlatego mówię tak, jak mówię, ponieważ to jest moja matka, ta ziemia. To jest moja matka, ta Ojczyzna" – przyp. red.]. Byłem w tym czasie w Krakowie, odbywało się tam moje kolokwium habilitacyjne i nie mogłem zrozumieć, jak niektórzy tamtejsi księża mówili: „Jakim prawem on krzyczał?". Już wtedy – nie tylko w kręgach wprost liberalnych, lecz także w innych – narracja o wyższości procedur demokratycznych była silniejsza od trwania przy pewnych wartościach jako fundamencie autentycznej demokracji.

> **Uwierzono w demokrację od strony czysto funkcjonalnej – tak jakby mechanizm demokratycznych wyborów był wartością samą w sobie, kreującą inne wartości**

Czy najmłodsze pokolenie jest w jakiś sposób szczególnym adresatem przesłania księdza arcybiskupa dotyczącego praw podstawowych?

To jest przesłanie skierowane do wszystkich, i starszych, i młodszych. Tyle że młodzi są jeszcze nie do końca skażeni różnymi narracjami, jest w nich pewna czystość myślenia, jakaś wrażliwość na prawdę, na dobro i piękno – i jeżeli spotkają się oni z orędziem jasnym, wymagającym, ale z drugiej strony pokazującym dobre perspektywy życia, to oni je przyjmują.

Mamy do czynienia w Europie ze zwycięstwem pozytywizmu prawniczego. Czyli tak naprawdę decyduje wola prawodawcy. Jeżeli prawodawca – czyli większość – decyduje „tak", to jest „tak", a jak „nie", to „nie". A przecież mamy doświadczenia II wojny światowej, w której totalitaryzmy nazistowski i komunistyczny, przekraczając wszystkie granice, opierały się na kulcie woli prawodawcy. „Państwo to ja" – mówili i Hitler, i Stalin. Skąd zwycięstwo tego radykalnego pozytywizmu prawniczego, który uważa, że wszystko, co człowiek ustanawia, jest słuszne?

Przez jakiś czas po II wojnie światowej ten pozytywizm został zakwestionowany, ale trwało to bardzo krótko i tylko połowicznie. Połowicznie – ponieważ na procesie norymberskim, podczas którego powrócono do koncepcji prawa naturalnego, potępiono jedynie hitlerowski nazizm, ale żadnego słowa krytyki i osądu nie skierowano wobec jeszcze bardziej zbrodniczego totalitarnego systemu, którym był komunizm. Pozytywizm prawny, o którym pan redaktor wspomniał, pojawił się w drugiej połowie XIX w. W moim przekonaniu jest on pewną konsekwencją zakwestionowania obiektywnych wartości, do którego doszło już w tamtym czasie. Natomiast gdybyśmy szukali jakiejś cezury czasowej, wskazującej na to, kiedy po procesie norymberskim zarzucono prawo naturalne i powrócono do pozytywizmu prawnego, to wskazałbym na rok 1968.

eprasa.pl f5436f6b3a

Twórcami rewolucji ’68 byli trzej panowie na „M”: Marks, Mao Tse-tung i Marcuse. Poprzez teorię bazy i nadbudowy, a zatem poprzez proste uzależnienie sposobu myślenia ludzi od warunków społeczno-ekonomicznych, Marks zakwestionował obiektywny charakter wszelkich wartości. Natomiast Mao Tse-tung w 1966 r. przeprowadził tzw. rewolucję kulturalną, która polegała na totalnej negacji całej wielkiej i wspaniałej dotychczasowej historii Chin. Usiłował zbudować wraz z hunwejbinami z czerwoną książeczką w rękach, która jakoby zawierała w sobie odpowiedź na wszystkie ludzkie i społeczne sprawy, całą cywilizację na nowo. Z kolei Herbert Marcuse w swojej książce „Eros i cywilizacja”, opublikowanej w 1955 r., podważał wszelkie ograniczenia moralne odnoszące się do życia seksualnego człowieka. Jednym z symbolicznych przejawów tego, że coś w 1968 r. radykalnie pękło, było hasło zrewoltowanej młodzieży studiującej na paryskiej Sorbonie: „Ni Dieu ni maître. Dieu c’est moi”, czyli: „Ani Boga, ani mistrza. Bogiem jestem ja”...

Albo napis: „Zabrania się zabraniać!”...

„Il est interdit d’interdire!” – tak właśnie po francusku brzmiało to słynne hasło. W swej istocie stanowiło ono podważenie samego Dekalogu, ponieważ on, poza trzecim i czwartym przykazaniem, został sformułowany negatywnie, to znaczy właśnie w postaci zakazów. Tymczasem rewolucja ’68 w imię absolutnej wolności człowieka zakwestionowała dziedzictwo judeo-chrześcijańskie, które było budowane na przykazaniach Dekalogu, począwszy od pierwszego przykazania: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”, i które stało się fundamentem całej kultury zachodniej. Nie dziwmy się zatem, że odrzucając ten fundament, rewolucja ’68 zwróciła się do świata typowo pogańskiego. Marcuse np. odrzucając szóste przykazanie w książce „Eros i cywilizacja”, wprowadził postaci Orfeusza i Narcyza, wzięte z mitologii greckiej, jako archetypy zachowań człowieka w sferze seksualności. Orfeusza ukazywał jako symbol jednej wielkiej pochwały hedonizmu i używania, natomiast Narcyz był dla niego archetypem człowieka zapatrzonego jedynie w siebie, we własne ego. Festiwal Woodstock, który odbył się rok później, w sierpniu 1969 r., pod hasłem: „Peace, Love and Happiness”, czyli „Pokój, miłość i szczęście”, miał być w zamysłach jego organizatorów urzeczywistnieniem tych archetypów „w realu”. Tymczasem właśnie rzeczywistość Woodstocku była prawdziwie porażająca: wspaniałe ponoć dzieci kwiaty stały się kilkusettysięcznym tłumem młodych ludzi, tarzających się w błocie, wpół nagich, znajdujących się pod wpływem alkoholu i narkotyków, przy niezwykle silnych dźwiękach muzyki rockowej.

Zgodzi się ksiądz arcybiskup z twierdzeniem, że losy Jánosa Esterházyego są symbolem losów Polaków, Węgrów, całej Europy Środkowej w XX w.?

To trudne pytanie, ale w jakiejś mierze odpowiedzią na nie jest to, że wiosną tego roku rozpoczął się w Krakowie jego proces beatyfikacyjny na etapie pierwszym, czyli diecezjalnym. Do tego wydarzenia mogło dojść, ponieważ swoją zgodę co do niego, swoje nihil obstat, wyraziła na moją prośbę Stolica Apostolska. Od tego momentu János Esterházy może cieszyć się tytułem Sługi Bożego. Teraz trzeba dalej postępować zgodnie z przepisami Kodeksu prawa kanonicznego. Jeśli wynik procesu na poziomie diecezjalnym zakończy się pozytywnie, to wtedy wszystkie dokumenty procesowe zostaną przekazane do Watykanu. Tam dalsze procedury będą się odbywać w Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, zwanej niekiedy Kongregacją ds. Świętych. Jeżeli one również zakończą się pomyślnie, a Pan Bóg obdarzy nas cudem spowodowanym za przyczyną Sługi Bożego Jánosa Esterházyego, to zostanie on ogłoszony błogosławionym Kościoła katolickiego. Przed nami zatem jeszcze długa droga, a stąd i wiele czasu, który może się okazać dla nas wszystkich czasem błogosławionym,

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl f543

bo – miejmy nadzieję – stanie się on okazją, aby narody Europy Środkowo-Wschodniej rozpoznały w nim i uznały swego patrona. Wtedy w jakiejś mierze stanie się zatem również to, o czym mówił pan redaktor: w wymiarze duchowym János Esterházy stanie się „symbolem losów Polaków, Węgrów, całej Europy Środkowej w XX w.".

Coś jednak księdza arcybiskupa ujęło w tej postaci...

Rzeczywiście, ta postać mnie dogłębnie ujęła. Historia tego człowieka jest naprawdę pewnym obrazem dziejów tej części Europy: Polski, Węgier, Słowacji, Czech. Człowiek, który wyrastał z belle époque, a na pewno z tej epoki wyrastali jego rodzice: matka, Elżbieta Tarnowska, córka hr. Stanisława Tarnowskiego, i ojciec wywodzący się ze starej siedmiogrodzkiej arystokracji. Nagle, nieoczekiwanie niemal dla wszystkich, choć konflikt europejski narastał już od wielu lat, w sierpniu 1914 r. wybuchła wielka wojna – tak nazywano wtedy I wojnę światową. Bezpowrotnie skończył się pewien świat, zaczął się nowy. W jakiejś mierze obrazem tej epoki jest bitwa łódzka. Wiedzą panowie, co to była za bitwa?

Nie...

Ja też nie wiedziałem dopóty, dopóki przed kilku laty nie znalazłem się w Łodzi. To była najbardziej krwawa bitwa w dziejach ludzkości, nawet bardziej krwawa niż ta pod Verdun. Pod Verdun ginęło, jak podają statystyki, ok. 3 tys. żołnierzy dziennie, a pod Łodzią ok. 10 tys. Była to bitwa, która miała miejsce od połowy listopada do początków grudnia 1914 r. między armią rosyjską a armią niemiecką. Niestety, zginęło w niej również bardzo wielu Polaków walczących po obu stronach: w Korpusie „Posen" po stronie niemieckiej, a po stronie rosyjskiej w dywizjach syberyjskich, do których, a zwłaszcza do 24. Pułku Syberyjskiego, wcielono na siłę polskich chłopców z Mazowsza i innych terenów. Bitwa nie została rozstrzygnięta, ale użyto w niej po raz pierwszy broni pancernej, zastosowano w niej również po raz pierwszy, na kilka lat przed Ypres – o czym mało się mówi – gazy bojowe. W ciągu miesiąca zginęło ok. 280 tys. ludzi. Sama Łódź jako miasto wiele nie ucierpiała, ale stała się wielkim lazaretem dla jednej i drugiej strony wojennych zmagań. Straszna rzeź, która w jakiejś mierze stała się zapowiedzią tego, co miało mieć miejsce podczas II wojny światowej.

I wojna światowa przyczyniła się jednak do odzyskania niepodległości przez Polskę.

Dla nas, Polaków, I wojna zakończyła się niezwykle szczęśliwie, bo w jej wyniku odzyskaliśmy niepodległość, jednakże dla naszych zaborców – dla Rosji, cesarskich Niemiec i Austro-Węgier – stała się ogromną klęską. Była także klęską dla samych Węgier, które na mocy pokoju w Trianon terytorialnie zostały bardzo okrojone. Między innymi straciły one tzw. Górne Węgry, które stały się częścią Czechosłowacji. W nowej politycznej sytuacji János Esterházy, mieszkając na terenie tego państwa, stał się rzecznikiem jego węgierskiej mniejszości. Kiedy wybuchła II wojna światowa, Esterházy z polityka reprezentującego węgierską mniejszość narodową stał się człowiekiem, który zrozumiał, że w obliczu konfrontacji z obydwoma systemami totalitarnymi – bolszewickim i nazistowskim – nadszedł czas walki o Chrystusowy krzyż, o Europę budowaną na tradycjach chrześcijańskich. Temu właśnie celowi poświęcił całe swoje dalsze życie, do 1945 r. pomagając wszystkim, którzy tej pomocy oczekiwali: nie tylko Węgrom, lecz także Polakom, Żydom, Czechom, Słowakom. Między innymi w 1939 r., po klęsce wrześniowej, przewiózł swoim samochodem gen. Sosnkowskiego do Budapesztu, umożliwiając mu dalszą podróż do Francji. Po wojnie został aresztowany przez czeskich komunistów, następnie zesłany do radzieckich łagrów, a w Czechosłowacji skazany na śmierć. Cudem uniknął wykonania tego wyroku, bo w ostatnim niemal momencie wstawił się za nim pewien członek ówczesnego czechosłowackiego rządu, z pochodzenia Żyd, którego Esterházy uratował podczas wojny. Wyrok śmierci zamieniono na dożywocie. Ostatnie lata jego życia to przerzucanie go z więzienia do więzienia, do coraz gorszych warunków więziennej egzystencji, którą przeżywał w duchu głębokiej wiary w Chrystusa, pomagając współwięźniom, umacniając ich, dając im nadzieję, choć sam bardzo cierpiał, niesamowicie wyczerpany, pozbawiony najbardziej podstawowej pomocy lekarskiej. Na koniec prosił Pana Boga, aby mógł umrzeć po otrzymaniu sakramentalnego rozgrzeszenia. I tak też się stało – umarł na rękach współwięźnia, którym był greckokatolicki biskup.

> **Każdy drugi człowiek, zwłaszcza współwięzień, był dla Jánosa Esterházyego kimś, kogo trzeba było ratować w imię Chrystusowego krzyża**

Widział ludzi w potrzebie...

Każdy drugi człowiek, zwłaszcza współwięzień, był dla niego kimś, kogo trzeba było ratować w imię Chrystusowego krzyża – zwłaszcza przed tak łatwym w systemie radzieckich łagrów, a potem w czechosłowackich więzieniach upadkiem moralnym. Teraz, gdy jest UE, tworzona głównie na zasadach ekonomicznych, gdzie dominuje brutalna gra interesów, okazuje się, że jest ktoś, kto swoim pochodzeniem, swoją historią i swoimi dokonaniami połączył narody: polski, węgierski, czeski i słowacki, będąc do samego końca wierny zasadom chrześcijańskiej wiary. Historia Jánosa Esterházyego pokazuje, że Europa ciągle potrzebuje chrześcijańskiego ducha, dzięki któremu potrafi wyjść zwycięsko z wszelkich niebezpieczeństw – dzisiaj głównie neomarksistowskich – usiłujących ją pozbawić jej własnej szlachetnej tradycji i tożsamości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

Arcybiskup Marek Jędraszewski jest laureatem Międzynarodowej Nagrody „Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM" przyznawanej przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy".

eprasa.pl f5436f6b3a

95 lat BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Pielęgnujemy regionalne historie

Pod samym centrum Zabrza ciągnie się niezwykła trasa, którą łodziami transportowano węgiel z kopalni Królowa Luiza. Na drugim końcu Polski, w Gdyni, tysiące naszych rodaków wyruszało w najważniejsze podróże swojego życia. Co łączy te miejsca? To wymiary historii lokalnych, które pomógł zachować Bank Gospodarstwa Krajowego.

BGK od lat wspiera miejsca kultywujące historie regionalne, m.in. wspierając instytucje dbające o zachowanie historii miejsc i ludzi. Tak też powstała podziemna trasa Sztolni Królowej Luizy w Zabrzu i Muzeum Emigracji w Gdyni.

Ulica Polska, Gdynia

Wyjątkowym miejscem na muzealnej mapie Trójmiasta jest adres ul. Polska 1. To tutaj, na terenie gdyńskiego portu znajdziemy Muzeum Emigracji. To stąd niegdyś wyruszały w podróż legendarne transatlantyki „Piłsudski" czy „Batory". Dziś działa tu multimedialne i jedyne w kraju miejsce, które ukazuje historię emigracji z ziem polskich. Rewitalizacja zabytkowego budynku Dworca Morskiego, w tym odtworzenie frontu budynku w stanie z 1933 roku, przywróciła mu walory historyczne.

Muzeum to przekrojowa opowieść o przeszłości i teraźniejszości ludzi, którzy wyruszali w świat i tych, którzy pozostawali na miejscu. To historie o charakterystycznych dla nas cechach - odwadze i uporze.

Ulica Wolności, Zabrze

Tym, czym morze jest dla Gdyni, dla Śląska od XVIII wieku był węgiel. Dziś, gdy węgla wydobywa się coraz mniej, opowieść o tożsamości regionu jest szczególnie ważna. Kim jest hajer? Jak powstaje węgiel? Jak pod ziemią wytyczano strony świata? Odpowiedzi na te pytania znajdziemy na otwartej w 2018 r. przy Muzeum Górnictwa w Zabrzu podziemnej trasie kopalni Królowa Luiza przy ulicy Wolności. Zwiedzający mają dostęp do 2,5 km podziemnej trasy, z której ponad kilometr to trasa wodna, przebiegająca pod ścisłym centrum miasta. To podziemne porty, mijanki, odgłosy kapiącej wody oraz panujące w całych podziemiach wyjątkowe światło.

Pamięć o historii pomaga lepiej zrozumieć miejsce, w którym żyjemy. BGK od lat wspiera miejsca kultywujące lokalne historie.

Powstawanie takich miejsc jest możliwe, m.in. dzięki pożyczkom unijnym udzielanym przez BGK. Pamięć o historii regionalnej pomaga lepiej zrozumieć miejsce, w którym żyjemy oraz samych siebie. Przypomina także, jak potrzebni jesteśmy sobie nawzajem.

Radosław Milczarski

eprasa.pl f5436f6b3a

Celebrycki baby boom

FOT. MIS/IMAGO SPORT/FORUM

Agnieszka Niewińska

Anna i Robert Lewandowscy nie ujawnili wizerunku dwuletniej córki. Podobnie będzie pewnie z drugim dzieckiem. Nie brakuje jednak znanych twarzy, które zamieszczają zdjęcia nawet z porodówek

Po tym, jak Robert Lewandowski po zdobytej bramce wykonał zwiastującą powiększenie się rodziny piłkarską „cieszynkę", posypały się gratulacje. Lewandowskim winszowały żony i partnerki innych piłkarzy, postaci show-biznesu, a nawet premier Mateusz Morawiecki. – Jesteśmy w czwartym miesiącu i cieszymy się, że nasza rodzina się powiększa – komentował piłkarz.

Lewandowscy, którzy wychowują już córkę Klarę, radosną nowiną podzielili się, zanim jeszcze drugiej ciąży dopatrzyły się tabloidy. – W przypadku pary o tak dużej popularności trudno zachować ciążę w tajemnicy. Paparazzi prędzej czy później zrobiliby zdjęcia i ruszyłyby spekulacje, czy Anna Lewandowska spodziewa się kolejnego dziecka – mówi Katarzyna Chołdzyńska z agencji PR Projekt. I dodaje, że sportowe małżeństwo ma swoją medialną strategię. – Sami zdecydowali, kiedy i jak poinformują o tym, że ich rodzina się powiększy, dzięki temu zamiast na robieniu zdjęć z ukrycia i rozważaniach o tym, czy ciąża jest już faktem, media skupiły się raczej na tym, jak bardzo para jest przywiązana do wartości rodzinnych – wyjaśnia.

Informacje o tym, że Lewandowskich już niebawem będzie czworo, przebiły popularnością doniesienia o ciążach, narodzinach i pierwszych krokach pociech innych znanych osób. A tych ostatnio przybywa. Można nawet odnieść wrażenie, że wśród celebrytów mamy do czynienia z baby boomem. Internet zalewają kolejne ich zdjęcia sprzed gabinetów ginekologicznych, porodówek i dziecięcych pokoi.

KRUPA NA PORODÓWCE

Zdjęciem partnerki w ciąży pochwalił się niedawno aktor Borys Szyc. Portale zamieściły zdjęcia Jagody Judzińskiej, uczestniczki programu „Top Model", z nowo narodzoną córką. Natalia Siwiec od dwóch lat bombarduje sieć zdjęciami córki. Na okładce najnowszego wydania magazynu „Viva!" wystąpiła z kolei olimpijka Otylia Jędrzejczak. Do tej pory dzieliła się w sieci pojedynczymi zdjęciami swoich maluchów. Teraz, kiedy promuje autobiografię w „Vivie!", wystąpiła z dwuletnią Marceliną i urodzonym we wrześniu Grzegorzem.

Znana z programu „Top Model" Joanna Krupa niemal nadawała z porodówki. W sieci zamieściła zdjęcia z urodzoną 2 listopada córką Ashą Leigh Presley Nunes. Zrobiono je, kiedy jeszcze leżała w szpitalnym łóżku po porodzie. Nie zabrakło nawet zdjęcia nagiej córeczki z dopiero co odciętą pępowiną.

„Wybaczcie, ale nie mogę się powstrzymać przed zamieszczeniem zdjęć mojej małej" – podpisała zdjęcie Krupa. Wcześniej nie mogła się powstrzymać przed publikacją zdjęć w ciąży. Widzieliśmy, jak ciążowy brzuch kremuje specyfikiem konkretnej marki, zażywa suplementy, czeka na wizytę u ginekologa.

Na okładce tygodnika „Wprost" pokazała się nago. – Najwyraźniej chciała być jak Demi Moore, która wystąpiła w podobnej sesji dla „Vanity Fair" w 1991 r. Tyle że wówczas Moore przełamywała tabu wokół ciąży. Dzisiaj taki krok to już raczej chęć zwrócenia na siebie uwagi – ocenia Chołdzyńska. I dodaje, że Krupa, która traci na popularności, będzie teraz chciała się pokazać w nowej roli społecznej. – Jako odpowiedzialna i zatroskana o wychowanie dziecka matka. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczęła wydawać poradniki dla rodziców. W Polsce prekursorką tego typu działań była aktorka Kasia Cichopek, która po urodzeniu dziecka wydała poradnik „Sexy mama", opowiadała w wywiadach o diecie i ćwiczeniach po ciąży.

eprasa.pl f5436f6b3a

Agnieszka Kaczorowska, tancerka i aktorka znana z roli Bożenki w serialu „Klan", do porad dla mam wzięła się, jeszcze będąc w ciąży. Założyła kanał z wywiadami o macierzyństwie – o sesjach w ciąży, modzie dla ciężarnych, suplementach. Swoim macierzyństwem chętnie dzieli się już od pierwszych dni. Kaczorowska i jej mąż zamieścili w sieci zdjęcia ze szpitalnej sali. Dwa tygodnie po narodzinach wywiadu TVN udzielili z dzieckiem w wózku. Nie byle jakim. Wybrali model, którym dzieci wozili Victoria Beckham, księżna Kate i jej siostra Pipa oraz Gwyneth Paltrow. Na profilu Kaczorowskiej pełno jest zdjęć z dzieckiem, a przy okazji zachęt do wypróbowania kosmetyków dla maluchów czy kremów pod niewyspane oczy mam.

– Joanna Brodzik i Paweł Wilczak długo nie zgadzali się na publikowanie wizerunku dzieci. Swoją prywatność chroni Małgorzata Kożuchowska. O życiu prywatnym Piotra Fronczewskiego nie wiemy prawie nic. Szukanie sposobu na podtrzymanie popularności to domena gwiazd, które bledną. Coraz częściej zdarza się, że osoby publiczne, chcąc utrzymać się na fali własnej popularności, chętnie odsłaniają kulisy życia prywatnego, aby wzbudzić większe zainteresowanie sobą, a niekiedy nawet skrajne emocje. Zbyt często jednak przekraczane są granice, przekroczeniem ich są choćby pokazanie wizerunku dziecka, a już z pewnością nagość – mówi Bartosz Czupryk, specjalista w dziedzinie wizerunku.

NA ZAWSZE W SIECI

Chołdzyńska zwraca uwagę, że eksponowanie ciąży, a potem własnego dziecka w mediach pozwala kształtować wizerunek osoby publicznej. – Wizerunek wokalistki Agnieszki Chylińskiej, postrzeganej jako ostra rockmenka, zmienił się po tym, jak została mamą i wydała serię książeczek dla dzieci. Ojcostwo z pewnością zmieni wizerunek Borysa Szyca, który miał opinię szalonego imprezowicza, a dziś twierdzi, że ten etap ma już za sobą. Kiedy wyjdzie na pierwszy spacer z wózkiem, zobaczymy w nim mężczyznę, który dojrzał, jest odpowiedzialny – podkreśla Chołdzyńska.

Czupryk nie ma wątpliwości, że pokazywanie się z dziećmi ociepla wizerunek osób publicznych. Zaznacza jednak, że istotny jest kontekst takiego obrazu, np. wskazanie na przywiązanie do wartości takich jak rodzina, miłość, okazywania sobie wsparcia, stabilizacja i szacunek. – Zupełnie czym innym jest afiszowanie się np. rodzicielstwem, po to, by kosztem swojego dziecka reklamować konkretne produkty. Wówczas to dziecko staje się produktem, przez który gwiazda osiąga swój cel. A to już brzmi jak uprzedmiotowienie osoby. Dla mnie takie działanie jest nie do przyjęcia – podkreśla.

Zwraca także uwagę, że w sieci nic nie ginie, a właściciele portali społecznościowych zastrzegają sobie możliwość korzystania ze zdjęć użytkowników. – Państwo Lewandowscy, publikując zdjęcia rodzinne, wybierają te, na których ich córki nie da się zidentyfikować. Dla osób tak rozpoznawalnych, marek samych w sobie, upublicznianie wizerunku dziecka jest zbyteczne, ba, może być nawet niebezpieczne. Ponadto w przyszłości samo dziecko mogłoby mieć o to pretensję do rodziców. Dzieci mogą zostać skrzywdzone przez złe ambicje własnych opiekunów. Przecież za kilka lat takie zdjęcia mogą być obiektem drwin i żartów, co na psychice młodego człowieka może odcisnąć się w znaczący sposób. Nie poddawajmy się trendom przesadnie naruszającym naszą prywatność i bezpieczeństwo – radzi Bartosz Czupryk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

JAN I MAŁGORZATA ŻARYN „ROK 1939. OD BEZTROSKI DO TRAGEDII"

~~350~~ ZŁ 138,00 ZŁ OSZCZĘDNOŚĆ 218 ZŁ

ZAMÓW JUŻ TERAZ: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

eprasa.pl f5436f6b3a

Arka ludożerców

[W 200. ROCZNICĘ WYSTAWIENIA SŁAWNEGO MALUNKU O LEGENDARNEJ KATASTROFIE]

Théodore Géricault, „Tratwa «Meduzy»" (1819)

Michel Laclotte (dyrektor Luwru):
„Udało się Géricaultowi stworzyć «Tratwą Meduzy» jedną z najbardziej przejmujących wizji ludzkiego cierpienia" (1993)

eprasa.pl f5436f6b3a

Waldemar Łysiak

Wielkie katastrofy morskie zdarzają się w każdym stuleciu, i w każdym jedna urasta do rangi czołowej, symbolicznej, pozostając potem długo na kartach historii i na skrzydłach legendy jako emblemat grozy niesionej przez fale i otchłanie oceanu lub morza. Bieżące stulecie XXI jest jeszcze zbyt młode, by typować — zaczekajmy osiem dekad, zobaczymy co się wydarzy (czyli: co utonie). Dla wieku minionego dwie dekady temu — wieku XX — godłem katastrofy okrętu stało się zatonięcie *„niezatapialnego”* transatlantyku „Titanic” (1912), którego koszmar mnóstwo razy obrazowano piórami, pędzlami i kamerami filmowymi. Natomiast dla stulecia poprzedniego — dla XIX wieku — takim koszmarem numer 1 była katastrofa fregaty „Meduza”. I to koszmarem straszliwszym aniżeli tragedia „Titanika”, bo nie wolnym od makabry kanibalizmu.

Każdy kto twierdzi, że nigdy nie dopuściłby się ludożerstwa, bredzi tak samo jak każdy kto zapewnia, iż do *„śpiewania”* nie zmusiłby go żaden rodzaj tortur. Inaczej mówiąc: kanibalizm nie jest przywilejem tylko prymitywnych czy egzotycznych ludów, bądź rzadkich tak ukierunkowanych psychopatów, których zboczenie kojarzy się nam z filmowym wizerunkiem doktora Lectera (**„Milczenie owiec”**), a zawodowym dowcipnisiom z powiedzonkiem: *„Tylko kanibal nie gardzi człowiekiem”*. Każdy straszliwy głód automatycznie powoduje kanibalizm, bo na głód nie ma mocnych — mówią o tym ze szczegółami rozliczne kroniki tego padołu. Spójrzmy co pisze Jan Długosz o roku 1319: *„Głód, który przez dwa lata poprzednie srodze Królestwu Polskiemu doskwierał, tego roku wzmógł się z większą jeszcze srogością i do takiej ostateczności ludzi przywiódł, że — strach powiedzieć — rodzice dzieci, a dzieci rodziców zabijały i zjadały. Wielu, przy wymorzonych i słabych żołądkach dorwawszy się zbyt chciwie do takiego jadła, padało i umierało”*. Dokładnie ten sam problem (które dziecko zabić do konsumpcji — córeczkę czy synka?) mieli Rosjanie z oblężonego przez Niemców Leningradu — 900–dniowe oblężenie (od września roku 1941) wykończyło tam głodem prawie półtora miliona ludzi, czemu winien był nie tylko Hitler, lecz i Stalin (mógł dostarczać prowiant via jezioro Ładoga, lecz zaniechał tego, bo trawił go *„kompleks antypetersburski”*).

W *„naszych czasach”* (tych po II Wojnie Światowej) ludożerstwo zniknęło, stało się bardzo okazjonalne, przypominały je wyłącznie duże tragedie zbiorowe, jak katastrofa urugwajskiego samolotu (1972), którego ocaleni pasażerowie przez kilkadziesiąt dni wegetowali pośród śnieżnych Andów, jedząc trupy. W XIX wieku zdarzało się to częściej — zwłaszcza dryfujące statki, tratwy i łodzie były wówczas świadkami kanibalizmu. Taką tratwę Jules Verne opisał powieścią **„Le chancellor”**, której nie wznawiano, bo treść nie była wskazana dla młodzieży. Zaś najgłośniejszą taką tratwę — tratwę wszech czasów — odmalował równo 200 lat temu genialny Romantyk, i odtąd Luwr nawiedzały regularnie tłumy, by ujrzeć wstrząsające malowidło (często zwane *„malunkiem stulecia”* i tylko **„Giocondzie”** ustępujące popularnością wewnątrz Luwru). Do tej uwiecznionej mistrzowskim pędzlem tragedii doszło tuż po upadku I Cesarstwa:

TRAGEDIA U BRZEGÓW AFRYKI

Gdy upadł Napoleon, trzeba było ponownie rozkawałkować parę kontynentów. Nowy traktat francusko–brytyjski dał Francji Senegal. 17 czerwca 1816 z Aix wypłynęła nieduża eskadra (flagowa fregata „Meduza”, transportowiec „Loara”, brygantyna „Argus” i korweta „Echo”) wioząca francuską ekipę (od gubernatora po korpusik urzędniczo–wojskowy) mającą administrować Senegalem. Silne wiatry i ciemności rozproszyły eskadrę przed osiągnięciem afrykańskich wód. 2 lipca, wskutek skandalicznych błędów kapitana, „Meduza” uderzyła o mieliznę blisko brzegów Mauretanii i zaczęła tonąć. Tonęła kilka dni, zdążono więc ewakuować elitę urzędniczą i oficerską (wraz z rodzinami) na łodziach ratunkowych, a dla reszty pasażerów i załogi wybudowano gigantyczną tratwę (20 × 7 m) przy użyciu belek, desek i lin tonącego okrętu. Tratwa dostała maszt i żagiel; jej ważnym zadaniem miał być transport prowiantu dla wszystkich 400 rozbitków, lecz wepchnęło się na nią aż 149 ludzi, przez co nie zmieszczono wystarczającej ilości zaopatrzenia. Brak wiatrów sprawił, iż łodzie musiały holować tratwę. Szybko jednak kierujący łodziami ucięli cumy i odpłynęli, zostawiając tratwę na łasce losu. Zaczęło się kilkunastodniowe dryfowanie. Zaczął się koszmar.

Dramatowi tratwy ze statku „Meduza” poświęcono już ogromną liczbę książek tudzież niezliczone eseje i artykuły, a brakuje tylko filmu — rzecz dziwna, zwłaszcza w dobie, gdy *„horrory”* cieszą się wielką popularnością. Kilkunastodniowa oceaniczna błąkanina owej tratwy była bowiem *„horrorem”* par excellence, zawierającym wszelkie składniki ludzkiego piekła, i to stężone do makabrycznej potęgi. Straszliwe bitwy–rzezie między pijanymi marynarzami a pijanymi żołnierzami Batalionu Afrykańskiego (głównie kryminalistami z Hiszpanii i Włoch), rozbijanie siekierami łbów, masowe egzekucje chorych, rannych i najsłabszych (dla zaoszczędzenia wina, które było jedynym napojem), sztyletowanie i duszenie, wreszcie ogólny kanibalizm, gdyż prowiant skończył się rychło. Gdy zaczynano ów „rejs”, tratwa wskutek przeciążenia płynęła prawie metr pod wodą, lecz szybko pustoszejąc — szybko wypłynęła nad fale i cały czas była zlana ludzką juchą. Jednocześnie każdego dnia fale coraz bardziej ją druzgotały, a rozluźnione belki miażdżyły pechowców, dostarczając nowego pokarmu szczęśliwcom. Czternastego dnia tej makabry „Argus” odnalazł tratwę. Spośród 149 jej pasażerów przeżyło 15 (z czego 5 wkrótce wyzionęło ducha). Kapitan „Argusa” notował w swoim raporcie: *„Większość została zamordowana, zmyta przez morze, wykończona przez obłęd lub głód. Ci, których uratowałem, od dawna żywili się mięsem ludzkim. Kiedy znalazłem ich — liny stanowiące więź masztu pełne były suszących się kawałków tego mięsa...”*.

Informacje prasowe o dramacie tratwy ze statku „Meduza” wprawiły całą Francję w szok. Koszmar rozbitków stanowił długotrwały *„temat dnia”*, zwłaszcza że dwóch uczestników tragedii, inżynier okrętowy Corréard i chirurg Savigny, opublikowało pełną iście Dantejskich scen broszurę wspomnieniową (notabene, Corréard po kres życia maniakalnie żarł cytryny, jakby chciał zabić słodkawy smak ludzkiego mięsa). Tego samego roku (1817) broszurę przetłumaczono na niemiecki i angielski, by cała Europa mogła pasjonować się detalami nieszczęścia. Tymczasem Francję pasjonowała już burza polityczna, gdyż opozycja zarzuciła władzom, że doprowadziły do tragedii

eprasa.pl f5436f6b3a

mianując kapitanem „Meduzy" człowieka, który od 25 lat nie służył w marynarce, nie zdołał więc nawet ustalić pozycji statku! Ta prawda miała szersze tło. Po abdykacji Napoleona reżim Burboński zrobił ogólnokrajową czystkę, usuwając Bonapartystów ze wszelkich stołków, co równało się zastępowaniu wielu fachowców dyletantami, ale *„swoimi"*. Właśnie dzięki temu hrabia Hugues Duroy de Chaumareys, kompletny nieudacznik, ale długoletni rojalistyczny emigrant, został kapitanem „Meduzy". Jak pisze Angelo Solmi w pracy **„Tragiczne wody"** (1980): *„Nastąpił triumf niekompetencji. Beznadziejni ignoranci objęli ster, podejrzani osobnicy stali się doradcami głupawych szefów, ministrowie dawali nonsensowne instrukcje, a dyletanci trzymali się ich à la lettre (...) Odpowiedzialny za tragedię kapitan pozował na ofiarę Bonapartystów, licząc, że możni protektorzy nie dadzą go ukarać"*. Został ukarany przez sąd więzieniem, co jednak nie załagodziło namiętności. Wkrótce obraz wielkiego malarza, Théodore'a Géricaulta, namiętności te wzmógł.

DANDYS ZATRACENIEC PRZY SZTALUGACH

Jean–Louis–André–Théodore Géricault (1791–1824) to jeden z dwóch największych (obok Eugeniusza Delacroix) malarskich mistrzów francuskiego Romantyzmu. Prócz tego (czy może raczej: obok tego), że był świetnym

Géricault wg rysunku A. Colina z pierwszej ćwierci XIX w.

Théodore Géricault, „Autoportret w pracowni" (1818)

artystą — był też wybornym kawalerzystą (kochał rumaki), zaciekłym hazardzistą–utracjuszem (regularnie przegrywał swą stałą rentę familijną), cudownym bawidamkiem–amantem (zmieniał kobiety jak rękawiczki) i pojedynkowiczem–sportowcem ciągle wyzywającym śmierć. Wszyscy, którzy go znali, mówili później, iż żył tak, jakby szukał śmierci. Spłonął więc niczym meteor, popełniając swoiste samobójstwo takim rodzajem życia (dożył ledwie *„wieku Chrystusowego"*, wykończony przez skutki urazów i choroby wenerycznej). Opłakiwało go wielu, gdyż lubiło go wielu. Ernest Chesnau: *„Géricault miał duszę wyniosłą i skłonną do melancholii, serce szlachetne, charakter rycerski i przepojony energią, temperament buntownika i pewien szczególny dar: czarodziejski urok, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Wszyscy, którzy raz zbliżyli się do niego, popadali na zawsze w uwielbienie"* (1861).

Jako malarz miał Géricault rękę bardzo nowoczesną, równie rozwichrzoną co do kobiet, lekceważącą staranne *„wylizywanie"* malowidła typowe dla panującej u schyłku I Cesarstwa *„szkoły Davida"*, czyli dla Neoklasycyzmu. Już jego debiutanckie dzieła, prace *„żołniersko–napoleońskie"* (**„Szaser"** 1812, **„Kirasjer"** 1813/14), wzbudziły silną niechęć Klasycystów, gdyż były zbyt dynamiczne i miały technikę zbyt *„niechlujną"*, a dzieła późniejsze, zwłaszcza przedśmiertne (jak choćby **„Konie zaprzęgowe"** 1821/22, czy **„Wariatka"** 1822/23), pełne impastów, szorstkich plam i szerokich zamaszystych smug, były tak awangardowe, że budziły wprost furię tradycjonalistycznych strażników *„dobrego smaku"*. Obrywał od krytyków cięgi nie mniejsze niż Delacroix, co odstraszało klientów. Stąd kiedy umierał większość jego malowideł, nie znajdując nabywców, zawalała pracownię, a to wyrwało mu z ust na łożu śmierci konstatację bardzo autokrytyczną: *„ — Gdybym namalował chociaż parę dobrych obrazów... Ale ja nie zrobiłem nic, zupełnie nic. Nie dałem niczego!"*. Współczesna historiografia sztuki wyraża przeciwny pogląd, głosząc, że stworzył kilka świetnych, współsymbolicznych dla francuskiego Romantyzmu (wraz z dziełami Delacroix) malunków, plus jedno powalające arcydzieło, sztandar epoki romantycznej i dzisiejszą dumę Francji: **„Tratwę «Meduzy»"**. Zaczął ją malować A.D. 1817/18.

MALOWANIE UMIERAJĄCYCH

Ze schyłkiem roku 1817 Géricault wrócił nad Sekwanę z Włoch (gdzie bawił u tajemniczej kochanki) i bezzwłocznie zainteresował się katastrofą „Meduzy", bo — pomijając fakt, iż była sławna — *„temat śmierci jest mu zawsze bliski; malując ów temat czuje radość"* (Gustave Planche). Postanowił wymalować wielkie dzieło. Odszukał Corréarda i Savigny'ego, jak również cieślę „Meduzy" (jednego spośród ocalonych pasażerów tratwy), a ten mu zrobił nieduży model tratwy, pedantycznie rekonstruując detale i umieszczając na deseczkach woskowe figury

Théodore Géricault, „Szarżujący huzar" (1812)

eprasa.pl f5436f6b3a

Théodore Géricault, szkic rysunkowy do „Tratwy «Meduzy»" (1818)

rozbitków. Géricault zawiózł ten model do Hawru, aby obserwować jak tratewka reaguje pod wpływem fal (równocześnie studiował refleksy dziennego światła na falach). Wiosną 1818 zaczął robić szkice, bardziej tematyczne niż kompozycyjne — wykonał ich kilkanaście, od rysunków ołówkiem i piórkiem do studiów olejnych, szukał bowiem właściwego epizodu. Zrazu myślał o buncie żołnierzy przeciw marynarzom, później o scenie kanibalizmu, wreszcie wybrał moment, gdy rozbitkowie zauważają na widnokręgu maszty „Argusa".

W tym samym czasie szukał modeli — upiornych i demonicznych. Jednym został Teodor Lebrun, trzeciorzędny malarz, lecz dla Géricaulta pierwszorzędny model, gdyż akurat chorował ciężko i miał twarz umarlaka. Lebrun później wspominał: *„Moja trupia gęba tak napawała strachem oberżystów, że nie mogłem wynająć izby w żadnej gospodzie, a dzieci widząc mnie pierzchały, bo sądziły, iż widzą chodzącego nieboszczyka (...) Géricault, ujrzawszy mnie, chwycił moje ramiona i krzyknął: « — Oh, drogi przyjacielu, jakiś ty piękny!», i zaczął nalegać, bym mu pozował do* ***«Meduzy»****..."* (1836). Pozować zgodził się również młody Delacroix, ale ten był przystojny i zupełnie zdrowy, więc Géricault nie ukaże jego oblicza, tylko zgięte wpół ciało u dołu środkowej partii malowidła, z gołymi plecami i z lewym ramieniem na dużej, swobodnej już belce. Dał też portrety Corréarda i Savigny'ego (Corréard wyciągniętą ręką wskazuje „Argusa" Savigny'emu, który stoi przy maszcie). Pyszne plecy Murzyna, co wspiął się na beczkę i macha czerwono–białą szmatą — to plecy głośnego wówczas modela, Josepha. Do **„Tratwy «Meduzy»"** pozowało kilku renomowanych modeli (Gerfand, Fichon, Dubosc, Lamoureux, Picotta, *„piękny Dalmatte"* oraz *„słynny Cadamour"* tudzież wspomniany cieśla „Meduzy").

Dzięki „Meduzie" chciał Géricault dać koncert naturalizmu/weryzmu. Jako że dotychczasowa pracownia przy rue des Martyrs była niezbyt duża, a płótno miało być ogromne — wynajął wielką pracownię przy Faubourg du Roule, nie bez premedytacji tuż obok szpitala Beaujon. Już wcześniej, robiąc studia dla **„Tratwy"**, malował ucięte głowy, zwane **„Głowami skazańców"**, chociaż prawdopodobnie nie są to łby zgilotynowanych. Teraz będzie miał lepsze źródło — umówieni pielęgniarze i lekarze dostarczają mu kończyny nieboszczyków, które on

„Głowy skazańców" szkicowane dla „Tratwy «Meduzy»" (~1818)

drobiazgowo szkicuje całymi dniami, wskutek czego pracownia staje się trupiarnią i cuchnie tak mocno, że przyjaciele i modele wytrzymują wewnątrz bardzo krótko. Sam też chadza do szpitala (gdzie nabawi się żółtaczki), by rysować zwłoki umarłych i agonie umierających, oraz by wybierać amputowane szczątki, które zasilą **„Tratwę"** bogactwem arcyrealizmu.

Kochał studiowanie i malowanie trupów, co nie może dziwić u człowieka, któremu Pierre Courthion poświęci esej zatytułowany: **„Géricault czyli opętanie śmiercią"**. Przypomina mi się tu apostrofa Johna Ruskina do malarza: *„Gdy człowiek zdycha u twych stóp, twoją rzeczą nie jest iść mu z pomocą, lecz zauważyć kolor jego warg"*. Géricault miał to we krwi, jak każdy rasowy mistrz pędzla. Swego czasu Claude Monet przyłapał siebie, że też to robi: *„Pewnego dnia, będąc obok łoża umierającej, którą bardzo kochałem, złapałem się na tym, że mój wzrok skrupulatnie wychwytuje i analizuje gradacje chromów, jakimi śmierć malowała gasnącą twarz. Tony niebieskie, błękitne, szare, żółtawe, zielonkawe... Oto do czego doszedłem! (...) Mój organizm automatycznie reagował zawodową rutyną, wbrew mojej woli!"*. Zawodową rutyną Géricaulta było szkicowanie konających bez psychicznego dyskomfortu.

SALON PARYSKI 1819

Gdy minął czas szkiców (wiosna–lato 1818), przyszedł czas realizacji wielkiego płótna (od jesieni 1818). Dla Teodora był to start obrzędu twórczego rangi demiurgicznej — czas świętej mszy, któ-

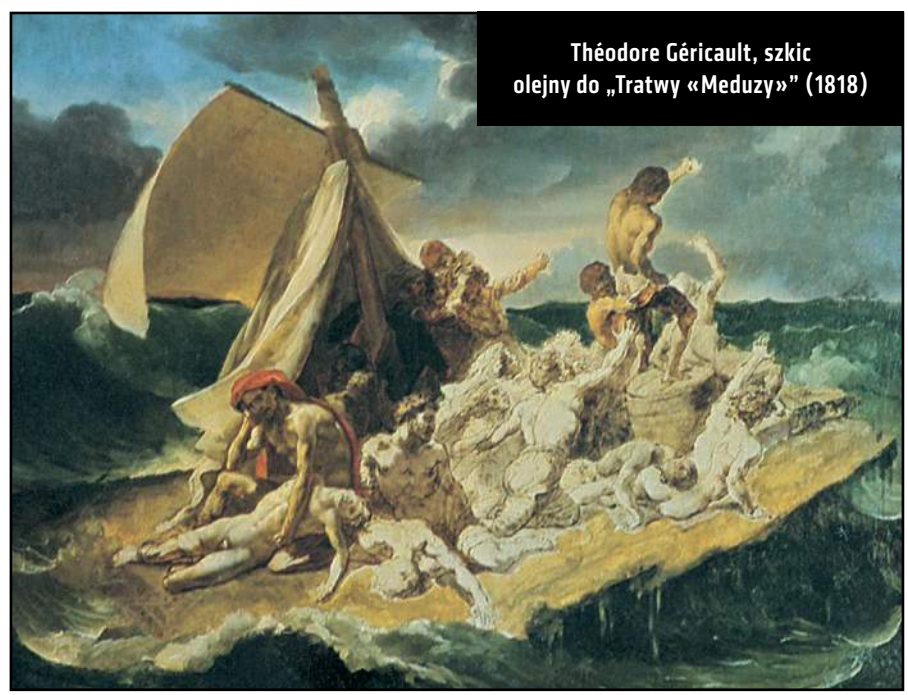

Théodore Géricault, szkic olejny do „Tratwy «Meduzy»" (1818)

eprasa.pl f5436f6b3a

rej nie wolno zakłócać. Ponieważ życie towarzyskie również miał we krwi, zmusił się do ascezy i do niezbędnego eremityzmu, goląc *„na pałę”* swoje cudowne blond włosy, które od lat pielęgnował i układał za pomocą papilotów. By ku wyjściu nie pchnął go głód — kazał sobie przynosić do pracowni wszystkie posiłki. Malował jak natchniony 7–8 miesięcy, obcując tylko z nielicznymi przyjaciółmi, tudzież z modelami — żywymi i martwymi. Rękę miał pewną, bezzwłocznie trzaskał formy i walory szybko schnącymi olejami, kładąc plamy, smugi i pacnięcia z taką trafnością, iż rzadko trzeba było coś korygować.

Kreowanie (nader forsowne; każdego dnia, gdy świeciło słońce, malował od świtu aż po zmierzch) zakończyło się w lipcu 1819 roku. Wielkie płótno zostało przeniesione do foyer Théâtre Italien zwanego *„Teatrem Favarta”*, gdzie tego roku selekcjonowano prace dla Salonu. Tam Géricault zauważył — dzięki nowemu oświetleniu i otoczeniu — wady kompozycyjne. Drażniła go zwłaszcza pustka dolnej części prawej flanki (prawy dolny narożnik). Bezzwłocznie więc zainstalował się ze sztalugami i farbami we foyer teatru, poprosił kumpla (Martigny'ego), by ten mu pozował, i ciężko przez kilka dni harując stworzył kapitalną — wstrząsającą i patetyczną — figurę trupa zwisającego z tratwy, a okrytego białą draperią

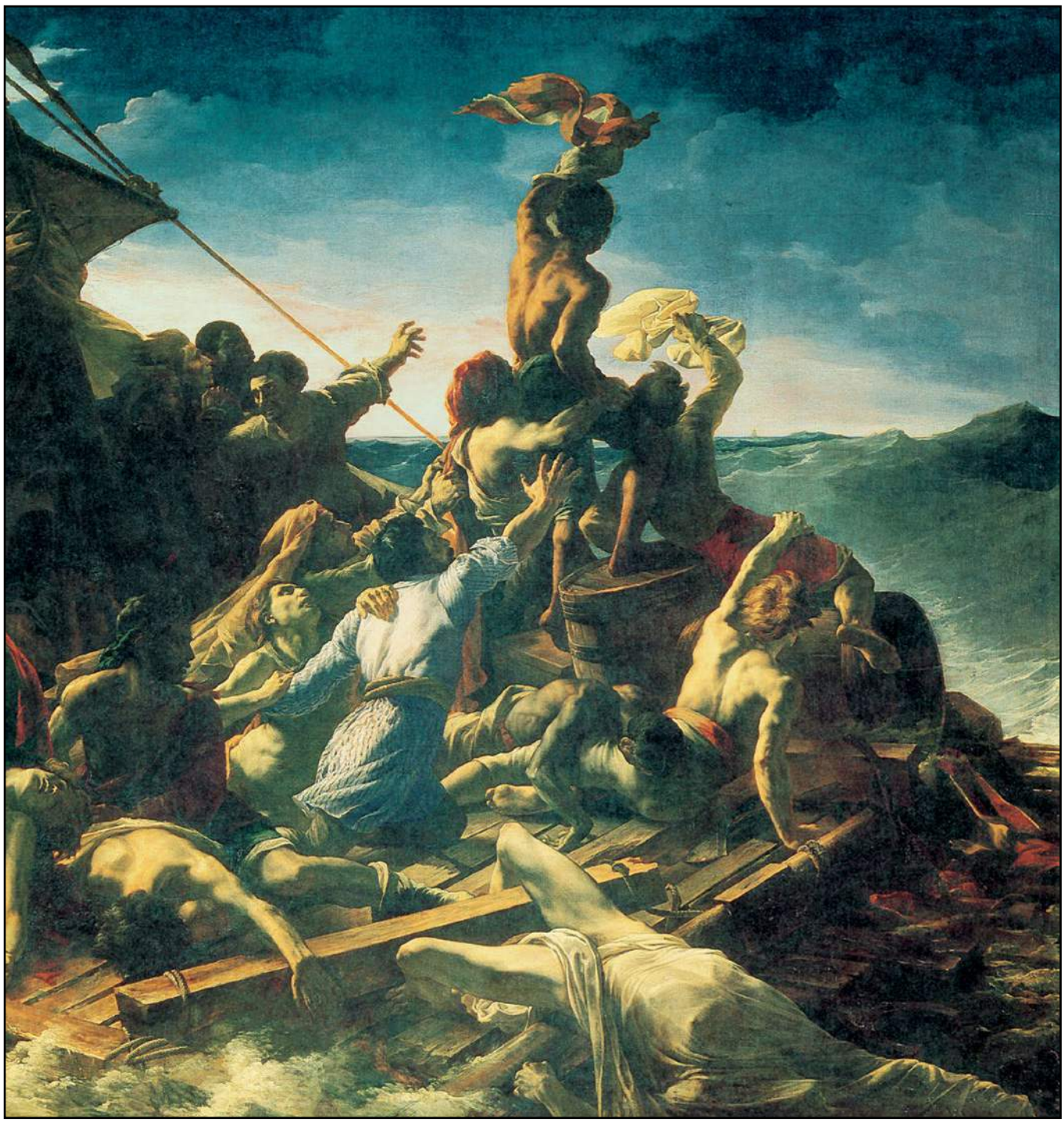

eprasa.pl f5436f6b3a

nieboszczyków. Dla równowagi dał też skrajną figurę na lewej dolnej flance, czym zwiększył liczbę „pasażerów" do dwudziestu. Teraz można już było wieszać giganta w komnatach Salonu. Zawieszono nisko, lecz gdy Géricault to ujrzał, wściekł się, żądając, by podniesiono wysoko. Życzenie artysty zostało spełnione, obraz wywindowano nad drzwi długiej galerii, co było błędem fatalnym dla percepcji dzieła. Lewitujący hen pod sufitem obraz zginął wśród mnóstwa innych wiszących wokół, „zmalał", stracił swoją moc („ — *Moje figury wyglądały jak karzełki"* — westchnie później winowajca). Po dwóch miesiącach przyjaciel Géricaulta, Pierre–Joseph Dedreux–Dorcy, uzyska (dzięki paru interwencjom) opuszczenie płótna (wymiary: 491 × 716) bliżej parkietu.

Cóż zobaczyli goście Salonu 1819? Przede wszystkim nie zobaczyli ścisłego reportażu. Géricault, mimo iż przed malowaniem wykonał solidną pracę dokumentacyjną, zmniejszył tratwę (ta, którą odmalował, nie zmieściłaby nawet 30 ludzi, a cóż dopiero 149!). Uczynił to, żeby spotęgować efekt dramatyczny. Dla tego samego celu zachmurzył niebo (chociaż rozbitkowie dryfowali pod czystym niebem bez jednego obłoku) i nie umieścił na maszcie bocianiego gniazda. Ten ostatni problem był szczególnie ważny. Twórca wybrał bowiem moment, kiedy rozbitkowie dostrzegają żagle „Argusa" majaczące za linią horyzontu. W istocie dostrzegli je z bocianiego gniazda, lecz Géricault wolał, by machali z beczki na uniesionym skraju tratwy. Dzięki temu wykreował zapierający dech dynamizm ujęcia — rzucana przez fale tratwa tworzy kołyszącą się scenę teatralną, która zmusza kłębowisko żywych jeszcze aktorów do gwałtownego ruchu ku górze, a kulminacją tej wspinaczki jest wyciągnięta ręka Murzyna. Tylko dwie dodane postacie u dołu, jak również grupa ojciec–syn będąca „Pietą" obrazu, nie uczestniczą w tym pędzie do góry.

Krytyka zmiażdżyła **„Tratwę"**. Powszechnie wytykano przesadny patos, sentymentalizm i melodramatyzm ujęcia, zbyt brutalny realizm, chaos kompozycyjny, kiepskawy koloryt i nawet błędy anatomiczne oraz rysunkowe, czyli wszystko. Dziś nie podzielamy tych opinii. Zamiast melodramatyzmu widzimy scenę o wymiarach tragedii antycznej lub Szekspirowskiej, chromatyzm, luminizm i prosektoryjny realizm uznajemy za adekwatne czyli nienaganne, technikę pędzla również oceniamy wysoko, szczególnie zaś podziwiamy ekspresję, kompozycję, modelunek, światłocień, mistrzowskie skróty anatomiczne i dynamiczną równowagę mas.

KONOTACJE POLITYCZNE

Salon trwał (od sierpnia) przez cztery miesiące, ekspozycyjne apogeum wypadało w połowie listopada (stąd drukujemy esej o tym teraz, gdy mija 200 lat). *„Płótno"* Géricaulta z trudem dotrwało do końca wystawy. Ówczesny autorytet, guru krytyków, Auguste–Hilarion de Kératry, żądał usunięcia **„Tratwy"** z Salonu; ówcześni jurorzy (Akademia Sztuk Pięknych) przyznali główne nagrody Salonu twórcom poślednich dzieł, Géricaultowi dając ledwie drugorzędny złoty medal; wreszcie ówczesna publiczność, nazbyt mocno wdrożona do Neoklasycyzmu, przyjęła **„Tratwę"** nie tyle wrogo, ile chłodno. Mówię o przyjęciu estetycznym. Polityczne było gorętsze.

Już dwa lata wcześniej broszura Corréarda i Savigny'ego zdetonowała

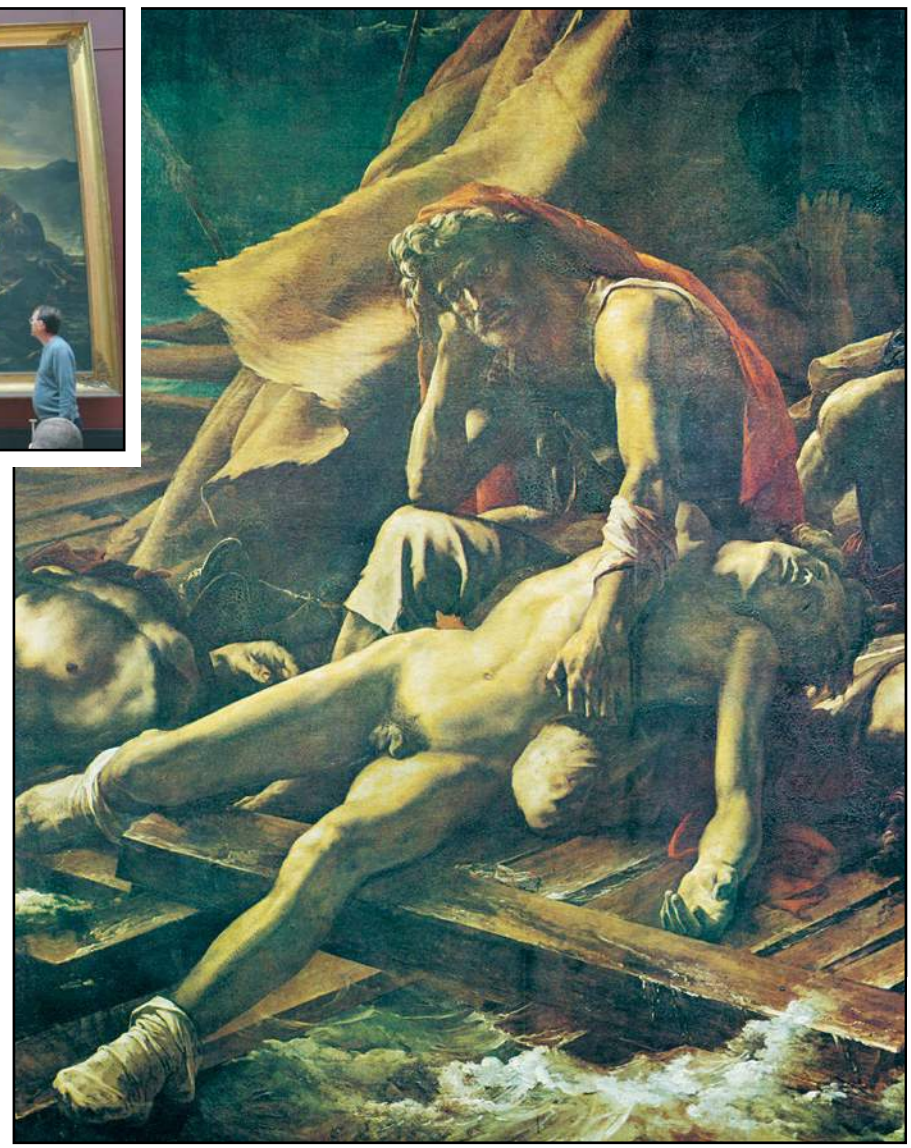

eprasa.pl f5436f6b3a

wściekłość władz, gdyż podkręciła antyrządowy rumor spowodowany tragedią „Meduzy". Praca Géricaulta odgrzewała te napięcia, nic więc dziwnego, że szefostwo Salonu nie godziło się, by tytuł zawierał nazwę statku. Płótno zostało wystawione jako **„Scena katastrofy morskiej"** (**„Scène de naufrage"**), jednak cały Paryż wiedział, iż chodzi o tratwę z „Meduzy". Szeptano, że praca jest wymierzona w Ministerstwo Marynarki, a później głośno mówiono, że jest antyrządowa; Burbońscy *„ultrasi"* krzyczeli, iż jest to nieomal zamach na reżim Ludwika XVIII.

Gdy Salon zamknięto, generalny dyrektor muzeów francuskich, hrabia de Forbin–Janson, nabył dzieło dla Luwru, ale po paru miesiącach Géricault dowiedział się, iż płótno zostało zrolowane i umieszczone na strychu razem z kopiami fabrykowanymi przez młodych protegowanych ministerstwa! Odebrał więc swoją własność (szczęśliwie nie była jeszcze zapłacona), a gdy wkrótce wyjechał do Anglii, kazał tam przywieźć **„Tratwę"** i wystawił. Triumf ekspozycji przeszedł wszelkie oczekiwania. W londyńskim Egyptian Hall, między 12 czerwca a 31 grudnia 1820, podziwiało malunek 40 tysięcy widzów, zaś w Dublinie, między 5 lutego a 31 marca 1821, również stały kolejki. Dało to Géricaultowi pierwszy solidny profesjonalny dochód (prawie 20 tys. franków). Po śmierci Teodora, gdy urządzono wyprzedaż jego dzieł (1824), **„Tratwę"** kupił najwierniejszy przyjaciel, Dedreux–Dorcy, płacąc 6 tys. franków, a później za tę samą sumę oddał Instytutowi Funduszów Królewskich (choć wcześniej miał świetne propozycje z zagranicy), ponieważ chciał, by rzecz trafiła do Luwru.

Dedreux–Dorcy'ego kuszono z zagranicy, bo wskutek entuzjazmu Brytyjczyków **„Tratwa"** zyskała wielki europejski rozgłos. Powszechnie interpretowano ją jako manifest liberalizmu przeciwko absolutystycznej tyranii Burbonów, a szerzej: jako tragedię postNapoleońskiej Europy tonącej w despotyzmie Świętego Przymierza. Niektóre szkice do **„Tratwy «Meduzy»"** ukazywały nadzieję wybawienia, czyli brygantynę „Argus", całkiem „pełnowymiarowo" (rysunek statku z masztami, rejami, linami i żaglami), wszakże wersja finalna dawała tylko mignięcie za horyzontem żagielka małego niczym główka szpilki, a więc nadzieję bardzo mizerną. Lecz jednak nadzieję. Gdy wkrótce potem Niemiec Caspar David Friedrich stworzył płótno **„Wrak statku «Nadzieja»"** — scenę miażdżenia statku przez arktyczne lody — znowu odczytywano to politycznie, jako pesymistyczną ripostę dla dzieła Géricaulta. Ileż trudu zada sobie później (zwłaszcza w NRD) wszelki totalitaryzm, by przekonać publiczność, że tytuł **„Wrak statku «Nadzieja»"** utrwalił się wskutek pomyłki, a właściwe tytuły to: **„Arktyczna katastrofa"** lub **„Morze lodowe"**.

mal. Caspar David Friedrich (1824)

KULT OBRAZU

Krzepnący Romantyzm uczynił **„Tratwę «Meduzy»"** projekcją dla wielu Europejczyków kultową, i niejeden malarz pragnął pędzlami do niej nawiązywać. Symptomatyczny jest tu casus Eugeniusza Delacroix. Anno Domini 1824 Delacroix notuje w swoim **„Dzienniku"**: *„«Tratwa Meduzy» tak wzniosła! Cudowne ręce, cudowne głowy. Nie umiem wyrazić podziwu, jaki budzi we mnie (...) Chciałbym zrobić szkic obrazu Géricaulta, śpieszmy jednak malować własny!"*. I namalował. Namalował kilka katastroficzno–morskich obrazów, m.in. **„Łódź opuszczonych rozbitków"** i **„Katastrofę morską Don Juana"**.

W dobie Romantyzmu zachwyty tyczące metafory przeważały nad hołdami dla estetyki (głośny francuski historyk, Jules Michelet: *„Tratwa Géricaulta to Francja, a rozbitkowie to społeczeństwo francuskie wypatrujące ratunku"*, 1846). Później wzmagać się będą brawa innego rodzaju.

Francuska komiksowa parafraza „Tratwy «Meduzy»"

Henry Lachèvre: *„Mistrzowskie płótno, na którym każde pociągnięcie pędzla to ślad lwiego pazura"* (1870). Wacław Husarski: *„Tym czynem dokonany został zasadniczy przewrót w sztuce współczesnej"* (1924).

Podczas majestatycznych obchodów 200–lecia Rewolucji Francuskiej w Paryżu (1989) głównym wydarzeniem artystycznym uświetniającym tę fetę był wielki spektakl Baletu Maurice'a Béjarta. Jako akord finałowy widowiska Béjart dał *„tableau vivant"* (*„żywy obraz"*) imitujący **„Tratwę «Meduzy»"** Géricaulta, co krytycy uznali za *„fenomenalne i uniwersalne przesłanie"*. Znaczenie przesłania prasa wyjaśniała tak: *„Żadna rewolucja nie spełniła swych obietnic, wszystkie rozczarowały, ludzkość jest rozbitkiem na tratwie, płynąc ku nieznanemu, ale wciąż z nadzieją na lepszy świat"*.

Wciąż, od tylu wieków. *„Condition humaine"* (dola człowiecza), ukazana tak genialnie przez Géricaulta, nie zmienia się mimo laserów, depilatorów, wibratorów, samolotów, bajpasów i pigułki viagra. Romantyczny wybuch malarza i historyka sztuki, Eugeniusza Fromentina: *„Cóż to za wstrętne łajdaki nami rządzą!"* (1845) — wszędzie dzisiaj jest aktualny, tak jak wczoraj tudzież jutro. Gdyby chociaż rządzeni byli aniołami, lecz nie są — większość to banda złodziei, krętaczy, lizusów i łotrów. Globalna tratwa dryfująca przez Boży Kosmos nieodmiennie pozostaje arką kanibali. ©℗

Grobowiec Géricaulta z płaskorzeźbową „Tratwą «Meduzy»" (paryski cmentarz Père Lachaise)

eprasa.pl f5436f6b3a

W poznańskiej dzielnicy Naramowice powstają dwa projekty HM Inwest – Harmonia+ oraz Horyzont Naramowice

Poznański horyzont HM Inwest

Poznań na mieszkaniowej mapie Polski jawi się jako miasto, które ma bardzo dużo do zaoferowania. Zarówno mieszkańcom, jak i firmom deweloperskim. Nie tylko tym, które na wielkopolskim rynku mają już uznaną pozycję, lecz także tym, które działają na nim od niedawna. Jedną z takich firm jest spółka HM Inwest SA, która po sukcesach i ugruntowaniu swojej pozycji w Warszawie, a następnie po udanym wejściu na rynek krakowski, z mocnym akcentem zameldowała się właśnie w Poznaniu.

– Już ponad 23 lata istniejemy na rynku warszawskim. Nadszedł czas na poszerzenie działalności. Poszukujemy nowych wyzwań, nowych terenów inwestycyjnych, na których moglibyśmy budować. Wybraliśmy Poznań, bo to niezwykle chłonny i dynamicznie rozwijający się rynek. Chcieliśmy przenieść tu nasze doświadczenie i zaimplementować naszą jakość. I już dziś mogę powiedzieć, że cel został osiągnięty. Jesteśmy w trakcie realizacji dwóch poznańskich projektów, w przyszłym roku planujemy rozpoczęcie trzech kolejnych – tłumaczy Piotr Hofman, prezes zarządu i główny akcjonariusz HM Inwest SA. Jego spółka w lipcu zadebiutowała na parkiecie głównym Giełdy Papierów Wartościowych, awansując tym samym do polskiej biznesowej ekstraklasy. – Obecność na giełdzie sprawia, że firma jest inaczej postrzegana zarówno przez urzędy, samorządy, instytucje bankowe, jak i przez samych klientów. Traktowana jest jak dorosły, pełnoprawny i wiarygodny uczestnik gospodarki. Jesteśmy ambitni, chcemy się rozwijać, mamy ciekawe plany, które chcielibyśmy realizować z inwestorami. Również w Poznaniu – dodaje prezes Piotr Hofman.

Pierwszy poznański projekt HM Inwest to Nova Łacina (przy ul. Niemena). Inwestycja zlokalizowana jest tuż przy największej galerii handlowej w mieście, w sąsiedztwie Jeziora Maltańskiego, trzy przystanki tramwajowe od ścisłego centrum miasta. To doskonała propozycja lokaty kapitału dla tych, którzy poszukują korzystnych inwestycji. Przy Niemena powstaje nowoczesny budynek z szerokim wyborem atrakcyjnych lokali mieszkalnych, zróżnicowanych metrażowo, z podziemną dwupoziomową halą garażową oraz lokalami usługowymi na parterze.

Drugi poznański projekt HM Inwest – Harmonia+ przy ul. Karpia w dzielnicy Naramowice, skierowany jest do osób, które wolą lokalizację nieco dalej od ścisłego centrum, bo prócz komfortu cenią sobie również spokój, dyskrecję i dostęp do większej ilości terenów zielonych. Szczególnie dla rodzin i tych wszystkich, którzy poszukują mieszkań większych, spełniających nawet wymogi niedużego domu w granicach miasta. Inwestycja na Naramowicach położona jest w otoczeniu nowoczesnej, niskiej zabudowy i terenów zielonych, co nadaje jej cichy i kameralny klimat.

– Poznań nas do siebie przekonał, dlatego na dwóch dotychczasowych inwestycjach się nie skończy. W 2020 r. planujemy rozpoczęcie tam trzech kolejnych, pod które zakupiliśmy już grunt – przyznaje prezes Piotr Hofman. Dwie z nich zlokalizowane są w sąsiedztwie dotychczasowych poznańskich projektów firmy: Horyzont Naramowice przy ul. Czarnucha (niedaleko inwestycji Harmonia+) oraz Melody Park na Ratajach przy ul. Anny Jantar (na działce sąsiadującej z obecnie realizowaną inwestycją Nova Łacina). Trzecia nowa poznańska inwestycja HM Inwest zlokalizowana będzie w atrakcyjnym miejscu dzielnicy Wilda. Będą to inwestycje o łącznej powierzchni użytkowej ponad 20 tys. mkw.

eprasa.pl f5436f6b3a

Strzeż się rodziny

FOT. DES WILLIE/NETFLIX

Radosław Wojtas

Ponoć królowa Elżbieta II polubiła tylko pierwszy sezon „The Crown”. Trzeci z pewnością jej się nie spodoba. W odróżnieniu od widzów spoza pałacu Buckingham

Między premierą drugiego a trzeciego sezonu „The Crown”, udostępnionego na Netflixie 17 listopada, minęło 709 dni (co prawda równolegle pracowano nad sezonem czwartym, ale niespieszne tempo i tak warte jest zauważenia). Każda seria to tysiące zaangażowanych osób (tylko w pierwszym sezonie zatrudniono 7 tys. statystów) i setki milionów wydanych funtów. Budżet utrzymywany jest w tajemnicy, ale szacuje się, że nakręcenie serii dziesięciu trwających prawie godzinę odcinków pochłaniać może 100 mln funtów, a więc ok. 500 mln zł. Dość wspomnieć, że tylko odtworzenie sukni ślubnej przyszłej królowej Elżbiety II kosztowało ok. 30 tys. funtów. Rekwizyt był więc wielokrotnie droższy od oryginału, w którym córka Jerzego VI poszła do ołtarza 20 listopada 1947 r.

To wszystko sprawia, że „The Crown” jest jedną z tych produkcji, które pochwałę serialu za „filmową jakość” zamieniają w archaizm.

BEZ BIELIZNY, ALE W DIADEMIE

Akcja pierwszych dwóch sezonów serialu obejmuje lata 1947–1964. Przyszłą królową Elżbietę II poznajemy jako młodą mężatkę, żyjącą stosunkowo beztrosko księżną, której wydaje się, że umieszczanie jej twarzy na szylingach to pieśń dalekiej przyszłości. Choroba i śmierć króla Jerzego VI sprawiają, że Lilibeth musi objąć monarsze obowiązki na krótko przed swoimi 26. urodzinami.

W trudnych latach początków panowania nieoceniona jest pomoc premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla. Jak wielki ma na nią wpływ, Elżbieta II zdradza w trzecim sezonie „The Crown”, mówiąc: „Byłeś moim aniołem stróżem. Rozpiąłeś mi dach nad głową. Dałeś kręgosłup moralny i żelazną wolę. Byłeś mi kompasem, który mnie prowadził”.

I tak ciążącej koronie kilogramów nie ujmują najbliżsi Elżbiety II. Książę Filip, który na oczach świata musiał klęknąć przed małżonką, okazując jej posłuszeństwo, z trudem rezygnuje z własnych ambicji i praw („jestem chyba jedynym mężczyzną w Anglii, który nie da dzieciom swojego nazwiska”), a nadmiar czasu trwoni w nieksiążęcy i nieprzystający przykładnemu mężowi sposób. Filip bywa nieokrzesany. Niektóre żarty rzucane przez księcia Edynburga potrafią spuścić nieco powietrza, ale zdarza mu się przesadzić i atmosferę zagęścić. Młodsza siostra królowej, księżna Małgorzata, mimo że bardziej przebojowa, musi żyć w cieniu Elżbiety. Zazdrości królowej pozycji i ma żal o to, że stanęła jej na drodze do szczęścia u boku rozwodnika, kapitana Petera Townsenda.

W sezonie trzecim, który rozpoczyna się w roku 1964, Elżbieta II jest już pewnym siebie monarchą. Wydaje się, że kłopoty małżeńskie ma za sobą. Książę Filip stał się jej przyjacielem i cenionym doradcą. Dojrzał, stał się stateczny, jest bardziej pogodzony z rolą Księcia małżonka.

O ustatkowaniu się trudno mówić w wypadku księżnej Małgorzaty. Jest ona nieszczęśliwa w małżeństwie, nie stroni od alkoholu, a jej służka rezygnuje z pracy z powodu załamania nerwowego.

eprasa.pl f5436f6b3a

Księżna daje światu jasno do zrozumienia, że wciąż jest niepogodzona z rolą „tej drugiej", ma dość luźne podejście do tradycji, zdarza jej się np. pozować do zdjęć nago w wannie z diademem na głowie. I chociaż czasem jej podlewana alkoholem przebojowość, jak podczas wizyty u prezydenta USA Lyndona B. Johnsona, przynosi jej, rodzinie i krajowi korzyść, to jasne jest, że na dłuższą metę Małgorzata to dla korony kłopot. Grająca ją Helena Bonham Carter wyrażała obawy przed tą rolą, a weszła w nią tak, że kradnie każdą scenę, w której się pojawia. Niczym w pierwszym sezonie John Lithgow jako Winston Churchill.

Równolegle z wątkiem osobistym zarysowuje się wątek polityczny. Do władzy dochodzi Partia Pracy, a premierem zostaje Harold Wilson. Królowa traci zaufanie do szefa rządu, kiedy poznaje plotki, że może on być agentem KGB. Czy jest nim w rzeczywistości? A co jeśli sowiecki agent jest jeszcze bliżej Jej Królewskiej Mości i działa w pałacu Buckingham od lat?

W trzecim sezonie towarzyszymy rodzinie królewskiej w czasie kryzysu i słabnięcia Wielkiej Brytanii, ale i ciężkich chwil samej monarchii. W latach głębokiej recesji sens utrzymywania przez podatników rodziny królewskiej coraz głośniej podawany jest w wątpliwość. Rodzina sięga po sztuczki PR-owe, ale pierwsze takie próby kończą się wizerunkową klapą, a romans korony z mediami i wpuszczenie telewizji do prywatnych komnat przynoszą niezbyt dobre skutki. Rodzina królewska na bolesnych potknięciach uczy się kreowania wizerunku. W jednym z pierwszych odcinków trzeciego sezonu pokazano wydarzenie, które po latach sama Elżbieta II uzna za błąd, którego żałuje najbardziej z całego swojego długiego panowania.

POŻEGNANIE CHURCHILLA

Trzeci sezon to powitanie nowych postaci (m.in. dorosłego już księcia Karola, Camilli Shand, czyli Camilli Parker Bowles), ale również pożegnanie z niemal wszystkimi aktorami, którzy dotychczas występowali w „The Crown". Mają jednak godnych następców. Claire Foy (wyróżnioną za rolę młodej Elżbiety w serialu Netflixa Złotym Globem i nagrodą Emmy) zastępuje Olivia Colman, dla której nie jest to pierwsze królewskie filmowe wcielenie. Za rolę królowej Anny w „Faworycie" Colman otrzymała Złoty Glob i Oscara. W roli księcia Filipa Matta Smitha zastępuje Tobias Menzies („Gra o tron", „Outlander", „Underworld: Blood Wars"). Księżną Małgorzatą zostaje wspomniana już Helena Bonham Carter. W „Jak zostać królem" grała ona Elżbietę, za co była nominowana do Oscara w kategorii roli drugoplanowej. W księcia Karola wciela się Josh O'Connor. W ostatnim sezonie na chwilę pojawia się też znakomity w roli Churchilla John Lithgow. Jest to tylko krótkie pożegnanie z widzami. Życie brytyjskiego premiera skończyło się przecież 24 stycznia 1965 r.

Zatrzymajmy się przy Olivii Colman. Jej obsadzenie w „The Crown" to nie tylko dodanie lat ekranowej królowej (Colman jest 10 lat starsza od Claire Foy). Aktorka lepiej od Foy pasuje do monarchy, jakim stała się teraz Elżbieta II. Jest nie tylko bardziej doświadczonym i mniej naiwnym władcą. Sprawia wrażenie wyrachowanej.

W trzecim sezonie scenarzyści obchodzą się z Elżbietą II mniej delikatnie niż dotychczas, uwypuklając wady królowej (np. poprzez pokazanie jej jako niezdolnej do uczuć w tragicznych momentach; „ocierałam suche oczy" – mówi o sytuacji, w której wszyscy dookoła płakali). „The Crown" z sezonu na sezon traktuje zresztą całą monarchię coraz surowiej. „Strzeż się rodziny" – słyszy książę Karol. „Przecież chcą dobrze" – odpowiada. „Wcale nie" – słyszy.

W stosunku do trzeciego sezonu nie powinno być już zarzutów o to, że „The Crown" w zbyt dobrym świetle pokazywał królową, a takich głosów nie brakowało po pierwszej serii. Brytyjskie media już dwa lata temu donosiły, że królowa wcale nie widzi w serialu Netflixa laurki na swoją cześć. „Mimo że pierwszy sezon, który skupiał się na pierwszych latach panowania Elżbiety II, spodobał się królowej, słyszę, że Jej Królewska Mość nie czerpie już przyjemności z oglądania drugiego sezonu" – donosił dziennikarz brytyjskiego tabloidu „Daily Express". Królowej miało nie spodobać się to, że księcia Karola sportretowano jako niezdarnego, fajtłapowatego, nieumiejącego odnaleźć się w grupie rówieśników chłopca. Królową oburzyć miało i to, że książę Filip w „The Crown" jawi się jako zbyt surowy ojciec. „Królowa była szczególnie zdenerwowana sposobem przedstawienia księcia Filipa jako niewrażliwego na dobro syna" – miała powiedzieć dziennikowi osoba z pałacu Buckingham.

★★★★★☆

SCENARIUSZ: PETER MORGAN, SEZON 3
„THE CROWN"
WIELKA BRYTANIA/USA 2019

wyst. Olivia Colman, Tobias Menzies, Helena Bonham Carter, Josh O'Connor, Erin Doherty

CZEKAJĄC NA LADY DI

Jeśli to wszystko prawda, a rodzinie królewskiej naprawdę zdarza się oglądać „The Crown", to trzeci i kolejne sezony mogą napsuć znacznie więcej błękitnej krwi. Zwłaszcza Elżbiecie II, przy której Filip z drugiego sezonu wypada jak najczulszy ojciec świata. Przed Peterem Morganem (mający polskie korzenie główny scenarzysta serialu, autor scenariusza do filmu „Królowa" z oscarową rolą Helen Mirren i sztuki „The Audience", przedstawiającej relacje królowej i brytyjskich premierów) sporo dobrych okazji, by pokazać rodzinę królewską jako okrutników. Czwarty i piąty sezon należeć będą do księżnej Diany (w tej roli Emma Corrin, wyglądająca na zdjęciach, które wyciekły z planu, jak siostra bliźniaczka „Królowej ludzkich serc"). Małżeństwo z księciem Karolem, rozstanie i tragiczna śmierć Lady Di to bolesna karta w historii Windsorów. A to przecież nie wszystko, bo przypomniane mogą zostać młodzieńcze wybryki księcia Harry'ego, a i wokół jego związku z Meghan Markle scenarzyści mogą snuć różne historie.

Autor biografii członków rodziny królewskiej Hugo Vickers podkreślał w rozmowie z „Daily Express", że „The Crown" to świetnie napisany, nawiązujący do historycznych wydarzeń, ale wciąż nie dokument, tylko serial, któremu zdarza się pewne sprawy wyolbrzymiać. „Za bramą pałacu jesteśmy całkowicie zwyczajni. Budzimy się rano, kładziemy wieczorem, pracujemy, męczymy się, przeziębiamy, mamy wujów, za których nam wstyd, obchodzimy Boże Narodzenie, jesteśmy zwyczajni" – mówi Elżbieta II w trzecim sezonie „The Crown". Premier odpowiada jej, że ludzie nie oczekują od nich zwyczajności, chcą ideału. Dzisiaj najwyraźniej wolą, gdy temu ideałowi bliżej bruku. I to im daje „The Crown".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

Raport z rejonu

Piotr Gociek

„Proceder" to niepoprawna politycznie opowieść o Polsce, której filmowcy zwykle nie zauważają. O transformacji ustrojowej w rytmie gangsta rapu

Raport z rejonów / Z których tak ciężko jest uciec" – rapuje Tomasz Chada w jednym z utworów, które słyszymy w filmie „Proceder". A w innym precyzuje: „Niejeden na tych blokach zna nieprzespane noce / Tu kradniesz lub handlujesz, pożyczasz hajs na procent / Ziomki z ulicy latają z polskim ścierwem / Rodzice nie pytają, skąd mają biżuterię".

„Proceder" zabiera widza na wyprawę w świat, którego zwykle nie oglądamy w polskich filmach. A kiedy już, to przefiltrowany przez wrażliwość zupełnie innego pokolenia twórców. Kiedy w 2000 r. Jacek Bromski kręcił „To ja, złodziej" o młodocianym adepcie złodziejskiego fachu, dla którego nie ma auta nie do ukradzenia, uderzał w tony nieco komediowe, a sam był już 54-letnim wpływowym członkiem kinowego establishmentu.

Rok młodszy był Witold Adamek, gdy w 1998 r. przywiózł na festiwal do Gdyni „Poniedziałek", film zupełnie odstający od panującej wówczas mody na rodzimy Hollywood. Adamek miał jednak szczery, mocny scenariusz Przemysława Wojcieszka, wówczas młodego i gniewnego. Znużona nieco trzaskaniem kasy branża z lekkim zaskoczeniem obserwowała na ekranie dialogi Pawła Kukiza i innego naturszczyka rapera Bolca w rolach bezrobotnych desperatów z miasteczka, w którym transformacja ustrojowa niemal wszystkim przyniosła biedę i brak pracy.

To nie były przesłania modne w tamtym czasie. Panował kult sukcesu, polska kinematografia miała rosnąć w siłę dzięki superprodukcjom typu „Ogniem i mieczem" (Któż pamięta, że Bogusław Linda i Jarosław Żamojda szykowali się, niezależnie od siebie, do kręcenia nowej wersji „Krzyżaków"?) albo próbom rodzimego komercyjnego kina gatunków – od „Kilera" do „Sary" czy „Fuksa". Wobec tego, czego nie dostrzegano zza biurek polityków w Warszawie, filmowcy okazywali się bezradni/niezainteresowani – niepotrzebne skreślić. Wspomniany Witold Adamek w kontynuacji „Poniedziałku", którą był film „Wtorek" (2001), uderzał już nawet nie w nuty komediowe, lecz wchodził w farsę.

PRAWDZIWEK GANGSTA RAPU

Aby zobaczyć inny punkt widzenia, trzeba było poczekać, aż dorośnie kolejne pokolenie twórców, którzy w latach 90. byli nastolatkami. „Proceder" Michała Węgrzyna (urodzonego w roku 1978) to film szczery i bolesny, pokazujący kawałek świata nieprzedstawionego. Jego główny bohater, równolatek Węgrzyna, warszawski raper Chada (znakomita rola Piotra Witkowskiego), egzystuje na obrzeżach cudu transformacji ustrojowej i gospodarczej. „Tu nic się nie zmieniło / Z półek ciągle znika wódka / I nikt nie operuje z nas polszczyzną Holoubka" – wytyka w „Raporcie z rejonu". Złodziej samochodów, nastolatek uwikłany w rozmaite przestępcze przedsięwzięcia, powiedzmy wprost – przedstawiciel polskiego gangsta rapu. Prawdziwek, który naprawdę łamał prawo, naprawdę był tropiony przez policję, naprawdę siedział w więzieniu (i to nieraz), wydano za nim list gończy. A jednocześnie, co wprost słychać na jego płytach, człowiek inteligentny, utalentowany, składający swoje obserwacje w obszerne melorecytacje o smutnym stanie świata, w którym dorastał. I człowiek, który dojrzał do tego, by podjąć próbę zerwania z dawnym życiem.

„Chciałbym powiedzieć, że niczego nie żałuję, jednak byłoby to z mojej strony kłamstwo – w głębi duszy serdecznie żałuję straconego czasu" – mówił Chada w wywiadzie dla portalu Hip-hop.pl latem 2011 r. Opowiadał też o swojej próbie samobójczej. „Wierzę w Boga i jakąś siłę sprawczą, która czuwa nad ogólnym obrotem spraw. Jak inaczej tłumaczyć to, że jeszcze żyję?". Jego utwory okazały się przestrogą i terapią nie tylko dla słuchaczy. „Rap pozwala mi się uwolnić i wyzbyć się chorych emocji, które gdzieś głęboko we mnie siedzą. Nie zawsze przychodzi mi to łatwo w życiu,

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. TOMASZ OZIOBA/MATERIAŁY PRASOWE

natomiast muzyka otwiera mi tę furtkę i mogę wyrzucić z siebie to, co we mnie zalega" – tłumaczył Chada.

NIEPOPRAWNIE O III RP

„Proceder" nie jest jednak filmem o muzycznym biznesie (choć docenicie humor w pierwszym spotkaniu Chady ze zblazowanym producentem) ani typową filmową biografią artysty. Bohater filmu Węgrzynów (Michał był reżyserem, ale jego młodszy brat, Wojciech, odpowiada za zdjęcia) to gość, do którego w wielu sytuacjach trudno czuć sympatię, czasem uroczy, owszem, ale częściej kawał dupka. Człowiek, który upada, i to nieraz, a który jednak znajduje w sobie siłę, żeby próbować się podnieść i szukać lepszego, normalnego życia. Tragedia Chady polega na tym, że starczyło mu sił, by próbować, ale nie wystarczyło (a może nie było mu dane), by dotrzeć do szczęśliwego końca. Okoliczności jego śmierci z roku 2018 nie są w pełni wyjaśnione. Jedni uważają, że był to wypadek, inni – że udana próba samobójcza, jeszcze inni za śmierć rapera obwiniają policję. W filmie „Proceder" pojawia się sugestia, że to mroczna przestępcza przeszłość Chady go dogoniła.

Jako się rzekło, jest to także opowieść o III RP utrzymana w duchu zdecydowanie niepoprawnym politycznie, w każdym razie niepoprawnym przez większą część jej istnienia. Sceny w szpitalu, gdzie pracuje matka Chady, pokazują przemianę służby zdrowia w bezlitosny biznes i opowieść o arogancji władzy. Zabawna i ponura jednocześnie jest scena, kiedy jeden z bohaterów drugiego planu, Pablo (gra go raper Kali), wygłasza przemowę ku czci kapitalizmu. Jego wypowiedź składa się z przekręconych balcerowiczowskich sloganów powtarzanych z wielkim zapałem: że nadeszły czasy przedsiębiorczości, każdy musi brać swoje sprawy we własne ręce i że lepiej dać ludziom wędkę niż puszkę. Byłaby to czysta komedia, gdyby nie fakt, że są to pouczenia wygłaszane w następującym towarzystwie: chłopak zasuwający za 4,20 zł za godzinę, któremu nikt jeszcze i tak za robotę nie zapłacił, drobny złodziejaszek, który właśnie wrócił z kolejowej bocznicy, gdzie okradał wagony, oraz sam Chada, który żeby mieć nowe buty, też musi je sobie ukraść.

W TVP Kultura bracia Węgrzynowie opowiadali, że publiczność, która oglądała już „Proceder", ma skojarzenia z filmem „Joker" Todda Phillipsa. Łatwo zrozumieć, skąd to porównanie. W jednym i drugim przypadku mamy do czynienia z historią o następującym przesłaniu: Nie podoba wam się to, co widzicie? Ale to wy mnie stworzyliście, to wasze społeczeństwo wypchnęło takich jak ja na margines. Znów zatem słyszymy słynną diagnozę Bertolda Brechta o człowieku, który „ku dobru dąży, nie ku złu, ale warunki nie pozwalają mu". Nie satysfakcjonuje mnie to wytłumaczenie.

Każdy odpowiedzialny jest za swoje losy, każdy dokonuje własnych wyborów, Chada przecież pokazał w prawdziwym życiu, że wybrać dobrze też potrafi. Tyle tylko, że zbyt często wybierał źle, sięgając po flaszkę wódki albo kolejną kreskę kokainy jako najprostsze, najłatwiejsze rozwiązania swoich problemów.

Ciekawe rzeczy dzieją się w „Procederze" na drugim planie. W pomniejszych rolach pojawiają się Ewa Ziętek (matka Chady) czy Jan Frycz (surowy ojciec dziewczyny Chady), nietypowo obsadzona została Małgorzata Kożuchowska jako przestępczy boss sterujący gangiem złodziei samochodów i w dużym stopniu życiem młodego Chady. Utwory warszawskiego rapera wypełniają ścieżkę dźwiękową, układając się w jego własny komentarz do tego, co widzimy na ekranie, rapujący Chada sam staje się narratorem opowieści o swoim życiu.

PRAWDZIWY MAINSTREAM

Nie znaczy to, że „Proceder" jest wolny od błędów. To film bardzo spójny wizualnie, ładnie nakręcony i zmontowany (nie widać, że budżet wynosił ledwie 5 mln zł), ale momentami zbyt gładki w stosunku do niewesołej opowieści, którą przedstawia. Przydługi (ponad dwie godziny), z kilkoma nietrafionymi nutami: mało ciekawie, bezbarwnie, wypadają partnerki Chady. Niektóre rzeczy zrozumiałe będą jedynie dla tych widzów, którzy dobrze znają jego biografię. Ledwie zarysowany jest ciekawy trop z pytaniem, na ile psychiczne kłopoty Chady związane były nie tylko z jego uzależnieniami, lecz także z fizycznymi skutkami samobójczej próby. I tak dostajemy jednak jeden z najciekawszych polskich filmów roku, o którego powodzenie w kinach jestem spokojny.

Z czystym sumieniem mogę podpisać się natomiast pod przesłaniem, które na koniec umieszczają w filmie bracia Węgrzynowie: Chada, jak wielu jemu podobnych przedstawicieli polskiego rapu i hip-hopu, był artystą, który zdobył popularność o wiele większą niż lansowane przez radio i telewizję gwiazdki, a mimo to konsekwentnie przez lata był przez mainstream niezauważany. „Czas to zmienić" – apelują twórcy filmu. Kto spojrzy na liczbę wyświetleń klipów Chady i innych przedstawicieli tego nurtu, idącą w grube miliony, ten dostrzeże, że to tam, na kanałach YouTube, znajduje się muzyczny mainstream. I że to nijakie przeboje gładziutkich gwiazdeczek z komercyjnych stacji radiowych są kolorowym marginesem.

★★★★☆☆

REŻ. MICHAŁ WĘGRZYN
„PROCEDER"
POLSKA 2019

wyst. Piotr Witkowski, Agnieszka Więdłocha, Ewa Ziętek, Antoni Pawlicki

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Kapelusz pełen krwi

★★★★☆☆

REŻ. MIKE FLANAGAN
„DOKTOR SEN" („DOCTOR SLEEP")
USA 2019

wyst. Ewan McGregor, Rebecca Ferguson, Kyliegh Curran

Świat wciąż się zmienia, szkoda tylko, że na gorsze. Jeszcze pół wieku temu mieliśmy więcej cierpliwości, wiary w Boga i ludzi, sprawdzonych przyjaciół, wolnego czasu, czystego powietrza, pierwotnych lasów oraz dzikiej zwierzyny. „Było nawet kilku uczciwych polityków" – dodaje złośliwie Stephen King.

Królowi horroru nie brakuje świeżych pomysłów, ale czasem zdarza mu się wrócić do starych wątków i bohaterów. Powieść „Doktor Sen" popełnił, gdyż miał już dość pytań: „Co się stało z tym dzieciakiem z »Lśnienia«?". Chcieliście wiedzieć, to proszę. Torrance junior się stoczył, tak jak ojciec wpadł w alkoholizm. Nie oceniajcie go jednak zbyt surowo: jeśli się słyszy myśli innych ludzi, pozostaje tylko zwariować lub chlać na umór.

Do pionu przywraca Dana chęć pomagania bliźnim w potrzebie. Trzeba trafu, jego siostrzenica (w filmie przyszywana i czarnoskóra) zadarła z bandą pożeraczy dusz, przemierzającą Amerykę wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu dzieciaków obdarzonych nadnaturalnymi mocami. Zbiorowa konsumpcja jestestwa niewinnej, lecz wielce utalentowanej istoty sprawia tym potworom rozkosz wręcz erotyczną. Zwykłych ludzi mają za ćwoków i podobnie jak wampiry z „Zagadki nieśmiertelności" chcą wierzyć, że są odporni na upływ czasu. Martwi ich tylko coraz gorsza jakość pokarmu – bo kiedyś duszyczki były czystsze i pożywniejsze…

„Doktor Sen" jest dość wierną (z wyjątkiem finału) ekranizacją powieści, lecz filmowcy doszli do wniosku, że błogosławieństwo Kinga może nie wystarczyć. Czego oczekuje suweren zwabiony do kin reklamą sequela „Lśnienia"? Jak największej liczby odniesień do oryginału. Znowu więc przed kamerą defilują starzy znajomi: upiorne bliźniaczki Grady, rozkładająca się pani Massey i profesjonalny do szpiku kości barman Lloyd. Hotel Panorama cudownie powstaje z ruin, bo wszystko przecież musi się skończyć tam, gdzie się zaczęło. Dan, wzorem tatusia, złapie za siekierę, korytarzem jeszcze raz popłynie rzeka krwi.

Ciągłe cytowanie filmu Kubricka (jak na ironię, autor pierwowzoru go nie znosi) może i sprawia radość fanom, ale rodzi posądzenie o wtórność. „Doktor Sen", w porównaniu ze „Lśnieniem", jest mało przerażający. Tylko jedna scena – pastwienia się nad 11-latkiem – rzeczywiście wciska w fotel. Refleksje nad naturą i pochodzeniem zła? Zapomnijcie. Największym argumentem za spędzeniem 150 minut przed ekranem jest Rebecca Ferguson w roli czarującej szefowej sekty Prawdziwego Węzła. Chociaż na głowie zamiast korony ma fikuśny kapelusz, to nikt nie próbuje kwestionować jej autorytetu. Ja też bym nie śmiał. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KRAINA LODU II"

Najbardziej oczekiwana kinowa nowość Disneya w tym roku („Króla Lwa" nie liczę, wszak był to remake). Anna, Elsa i reszta kompanii (nie zapominajmy o Olafie uwielbiającym uściski) opuszczają Arendellę i wyruszają w podróż do tajemniczego lasu w zaczarowanej krainie, by odkryć sekret mocy Elsy. I aby ocalić królestwo. Rekordowe wyniki w kasach gwarantowane. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Kraina lodu II" („Frozen II"), reż. Jennifer Lee, wyst. Kristen Bell, Jason Ritter, Jonathan Groff, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Le Mans '66" („Ford v Ferrari"), reż. James Mangold, USA 2019***
- ***„Supernova", reż. Bartosz Kruhlik, Polska 2019***
- ***„Kult. Film", reż. Olga Bieniek, Polska 2019***

eprasa.pl f5436f6b3a

W męskiej niewoli

O tym, że piękno Nowego Świata bywa zwodnicze, wiadomo co najmniej od czasów Kolumba i konkwistadorów. Z brazylijskim kandydatem do Oscara jest podobnie: pulsujące kolorami kadry ilustrują fabułę tak smętną jak ulica w Rio po przejściu pochodu karnawałowego.

Tytułowe siostry Gusmão planują podbój świata, lecz gdy tylko oddalą się od miasta, wpadają w kłopoty. Rajska dżungla przy bliższym poznaniu okazuje się miejscem zgoła niegościnnym. Dziewczyny gubią się i rozpaczliwie nawołują jedna drugą. Trudno o prolog bardziej proroczy.

Temperamentna Guida potajemnie spotyka się z greckim marynarzem. Potulna Euridice słucha rodziców, po cichu marząc o studiach w wiedeńskim konserwatorium, jest bowiem obiecującą pianistką. Są jak ogień i woda, lecz obie czeka los marny. W połowie XX w. babskie fanaberie nie mają szans w zderzeniu z dominującą kulturą machismo.

Panowie są tu bezduszni, kłamliwi, prymitywni i opętani seksem. Noc poślubna Euridice miałaby duże szanse na zwycięstwo w kategorii „najbardziej żałosna filmowa scena miłosna". Z Oscarem będzie trudniej, gdyż do feminizmu przyznaje się dziś każdy, komu kariera miła. Nasze „Boże Ciało" nie wpisuje się w proste, ideologiczne schematy i dlatego w wyścigu po statuetkę ma jeszcze bardziej pod górkę. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. KARIM AÏNOUZ
„NIEWIDOCZNE ŻYCIE SIÓSTR GUSMÃO"
BRAZYLIA 2019

wyst. Carol Duarte, Júlia Stockler, Gregório Duvivier

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WAKACJE Z DUCHAMI

Wszechświat ocalony, bohaterowie wrócili do domu (nie wszyscy), czas na zasłużone wakacje. Akcja „Spider-Man: Daleko od domu" rozgrywa się już po wydarzeniach z filmu „Avengers: Endgame". Peter Parker wciąż opłakuje swego mentora, Iron-Mana. Okazją do zmiany nastroju jest szkolna wycieczka do Europy, podczas której Peter nie zamierza korzystać ze swoich supermocy. Przed nim trudniejsza misja: jak zdobyć serce rezolutnej i pięknej dziewczyny. Niestety, Nick Fury, szef SHIELD, oraz pewien tajemniczy osobnik walczący z żywiołakami (ksywa Mysterio) wywrócą wszystko do góry nogami. Film sprawdza się jako komedia o nastolatkach, z lubianego podgatunku „Amerykanie w Europie". Aktorskim talentem błyskają w rolach głównych Tom Holland i Zendaya. Reszta jest nieco nużąca, bo czarny charakter nie ma charyzmy i inwestuje w bardzo mocno naciąganą intrygę, a jego pomocnicy przypominają trupę komicznych pomagierów barona Olafa, która uciekła z planu „Serii niefortunnych zdarzeń".

★★★☆☆☆

REŻ. JON WATTS
„SPIDER-MAN: DALEKO OD DOMU"
USA 2019, DYSTR. UIP

wyst. Tom Holland, Samuel L. Jackson, Jake Gyllenhaal, Zendaya

ANNA, CZYLI NIKITA

Rosyjska piękność na żołdzie KGB postawiona przed prostym wyborem: zginąć albo zacząć zabijać dla ojczyzny. Kiedy w grę wmiesza się jeszcze CIA, zabijania przybędzie. Anna ma jednak dobre serduszko i marzy o wolności. Sensacyjna fantazja Luca Bessona jest kiepską podróbką jego własnej „Nikity" sprzed niemal trzech dekad. Brak tu i oryginalności, i emocji, i Bessonowskiego poczucia humoru. A Sashy Luss w roli killer babe brak także charyzmy. W obsadzie najlepiej wypada Aleksander Pietrow jako wstrętny moskiewski chłopak Anny. Biorąc pod uwagę, że pojawia się ledwie na parę minut, mówi nam to wiele o pracy reszty gwiazdorskiej ekipy. Liczne parady głównej bohaterki w skąpej bieliźnie nie są w stanie przesłonić tego, że „Anna" robi wrażenie rozrywki byle jakiej, wymuszonej finansowymi kłopotami wytwórni EuropaCorp i samego reżysera. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆

REŻ. LUC BESSON
„ANNA"
FRANCJA 2019, DYSTR. MONOLITH

wyst. Sasha Luss, Luke Evans, Helen Mirren, Cillian Murphy

GRA TYGODNIA: „NEED FOR SPEED: HEAT"

★★★★☆☆

Seria „Need for Speed" przez lata miała swoje wzloty i upadki, ale jeśli coś stanowiło o sile tej marki, to były to szaleńcze wyścigi przez centra miast, goniąca gracza policja, a w nowszych wersjach – możliwość niemal dowolnego tuningowania posiadanego samochodu. Być może wychodząc z założenia, że wszyscy lubimy piosenki, które już znamy, Electronic Arts postanowiło wrócić do korzeni. „Heat" to sequel, który oferuje wszystkie sprawdzone chwyty, otwartą mapę, tryb eksploracji za dnia i trudniejszych rywali nocą oraz ulepszanie auta przez aplikację na smartfon. Minus? No właśnie, wszystko już było. ©℗

Marcin Makowski

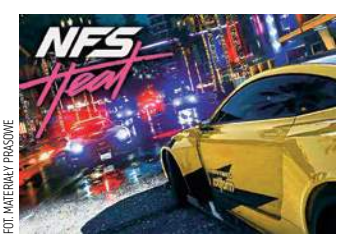

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *PS4/XONE/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ghost Games/Electronic Arts*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl f5436f6b3a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Korona znów płonie

Niespodziankę zrobiła swoim czytelnikom Elżbieta Cherezińska, która zamiast – jak się spodziewano – pożegnać się w swoim „koroniarskim" cyklu „Odrodzone Królestwo" (przypomnijmy: „Korona śniegu i krwi", „Niewidzialna korona", „Płomienna korona") z Władysławem Łokietkiem i poprzez Kazimierza Wielkiego lekko przejść do Jagiellonów, zatrzymała się na Piastach na dobre. Jej najnowsza książka – „Wojenna korona" – dzieje się „za Łokietka", w latach 1320–1327. To prawie 100 stron na jeden rok królowania mizernego ciałem, za to mocnego duchem naszego króla.

Podejrzewałem, że pisarka najzwyczajniej w świecie pokochała swojego bohatera i nie wyobraża sobie rozstania z nim. Zapytana o to wprost, odpowiedziała, że wprawdzie podziwia go, ale niekiedy równie mocno ją złości. Sprawdza się jej jednak jako postać literacka, właśnie taka niejednowymiarowa, i dlatego uznała, że zakończenie pisania o nim na koronacji Władysława byłoby wobec niego grubym nietaktem, bo przecież panował jeszcze później przez 13 lat. Bóg mu dał zresztą żywot długi, jak na wiek XIV, bo 72-letni. A to oznacza, że po „Wojennej koronie" będzie jeszcze jeden tom poświęcony Łokietkowi.

To będzie jednak kiedyś, a na razie mamy książkę, w której oprócz znanych pojawiają się nowe, ciekawe postaci, przynajmniej dwa razy trafiają się nam świetne sceny zbiorowe: przedstawiające bitwę pod Mahlsdorf i fikcyjny Turniej Zimowego Króla. Polityki jest tutaj więcej, nawet niż po tego rodzaju książce oczekiwalibyśmy. I bynajmniej nieograniczonej polską perspektywą.

„Dyplomacja to najciekawsza ze sztuk, królu Janie – przypomina Janowi Luksemburskiemu dostojnik krzyżacki Zyghard von Schwarzburg, w 1321 r., kiedy ta rozmowa się toczy – komtur grudziądzki. – W poezji trzeba ściśle trzymać się rymów i miar, w malarstwie okazywać sceny zgodnie z utartym wyobrażeniem, aby każdy, kto obejrzy malowidło, wiedział, kto jest Lancelotem, kto Arturem, a kto Panią z Jeziora. W fechtunku zemści się każdy nieuważny ruch. A w dyplomacji? Tyle możliwości, ile graczy. Wejdź do gry o Pomorze, królu Janie, a zobaczymy, co z tego wyniknie.

FOT. TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS

– Grozisz mi, komturze von Schwarzburg?

– Przez myśl mi to nie przeszło, panie.

Jan czuł, że ze złości palą go policzki".

Zyghard jest nie lada graczem w rozgrywce toczącej się w tej części Europy, w której jedną z pierwszoplanowych ról zaczyna też odgrywać nasz Łokietek, darzący zresztą Krzyżaka pewnego rodzaju sympatią. Ma jednak świadomość, że przyjdzie mu zmierzyć się z potęgą zakonu na polu bitwy. Dziewięć lat przed Płowcami tak oto rozmawia z żoną:

„– Wańka, książę płocki podpisał służalczą ugodę z Krzyżakami. Zaraz za jego przykładem pójdą bracia, Trojden i Siemowit. Trojden, psiakrew, trzyma porty na Wiśle, tam mamy swoje składy, ach! Czy to się godzi, Jadwigo, by piastowscy książęta paktowali z Zakonem?

– Przypomnę, że twój dziad ich zaprosił – Jadwiga była dzisiaj dla niego bezwzględna. – To książę Konrad nadał im ziemię chełmińską i pośrednio sprawił, że Trojden, Siemowit i ten nieszczęśnik Wańka, jako najbliżsi sąsiedzi Krzyżaków, muszą szukać z nimi zgody.

– Jeszcze wody? – usłużnie spytał Borutka, jakby czując, że jego panu wcale nie jest lepiej".

Lektura „Wojennej korony" odmienia nasze postrzeganie dawnej Polski. Zwykliśmy bowiem uważać tę część Starego Kontynentu za upośledzoną wobec „prawdziwej", starej Europy. Kudy tam Polakom, Czechom, Węgrom do Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Może i tak, ale co począć z taką charakterystyką Caroberta (Karola Roberta) z roku 1327, pierwszego Andegawena na tronie węgierskim: „[…] nie miał jeszcze czterdziestu lat, był o osiem lat starszy od Jana [Luksemburskiego – przyp. K.M.]. Szczupły, o ciemnych włosach sięgających ramion. Ubrany bogato, w krótką dopasowaną tunikę powyżej kolan, zdobioną liliami andegaweńskimi haftowanymi szczerozłotą nicią. Na niej nosił podbity białym futrem płaszcz. W każdym z ogniw pasa lśnił rubin.

Król złota – pomyślał Jan, gdy szli ku sobie. Florentczycy liczą, że nawet połowa złota krążącego po Europie pochodzi z węgierskich kopalń. Szkoda, że puszcza je w świat z pominięciem czeskich komór celnych. Gra ze swym teściem, królem krakowskim [Władysławem Łokietkiem – przyp. K.M.], w jednej drużynie i przez Królestwo Polskie prowadzi kupców. Popracują nad nim. Nie ma sojuszów niezmiennych. Nie ma teściów nieśmiertelnych…".

Szanowni państwo, jest za to co czytać! ©℗

★★★★★★

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA „WOJENNA KORONA" ZYSK I S-KA 2019

eprasa.pl f5436f6b3a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dwa końce świata

Kantyczka dla Leibowitza" jest od ponad pół wieku szeroko czytana, komentowana i analizowana także poza gronem miłośników science fiction. To wciąż książka nie tylko dobra i wciąż prowokująca, lecz także nadal aktualna. W jej centrum znajduje się pytanie o to, czy zatracenie pierwiastka duchowego nie jest aby chwilą, w której cywilizacja, choćby nie wiadomo, jak bardzo rozwinięta technologicznie, skazuje się na zagładę.

Przyszłość opisywana przez Millera to czasy po atomowej zagładzie. Ludzkość otrzymuje mimo wszystko drugą szansę. Klasztory gromadzą cierpliwie resztki utraconej przed pożogą wiedzy. Cywilizacja znów zaczyna się rozwijać. Kilka stuleci później nadchodzi kolejny złoty wiek, ale ludzie popełniają te same błędy. Czy to nieusuwalne piętno grzechu pierworodnego? A może nieumiejętność odczytania właściwie Bożego planu? „Kantyczka dla Leibowitza" nie zestarzała się ani trochę.

Jednocześnie na półki księgarskie trafia książka Johna W. Campbella „Coś". To z kolei klasyka odnaleziona, klasyka całkiem innego rodzaju. Jest to powieściowa wersja opowiadania, które zainspirowało głośne filmy: „Rzecz z innego świata" (1951) duetu Howard Hawks/Christiana Nyby oraz „The Thing" (1982) Johna Carpentera. Campbell najbardziej znany jest jako redaktor, przez wiele lat prowadził legendarny magazyn „Astounding", a pod jego okiem debiutowali lub rozwijali się najwięksi pisarze SF.

„Coś" to jego najbardziej znaczące dokonanie literackie. Tekst, który teraz otrzymujemy, odnaleziony został w archiwach przez jego biografa, ale pomysł, który go napędza – a który świat poznał kiedyś dzięki opowiadaniu „Who Goes There?" – inspiruje do dziś kolejne generacje twórców. Nie byłoby bez niego „Inwazji porywaczy ciał" i wszelkich innych historii o obcych nadzwyczaj udatnie podszywających się pod ludzi. Nie byłoby też pewnie wielu rozważań Philipa K. Dicka, ogarniętego obsesją demaskowania fałszywych światów w poszukiwaniu prawdziwego. Obcy, którego nie potrafimy rozpoznać, wróg, który perfekcyjnie emuluje takich jak my – ten wszechobecny dziś motyw popkultury zrodził się właśnie w umyśle Johna W. Campbella. Mniej więcej w tym czasie, gdy narody Europy szykowały się do II wojny światowej. ©℗

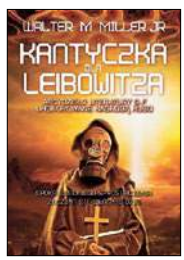

★★★★★☆
WALTER M. MILLER JR „KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA" ZONA ZERO 2019

★★★★☆☆
JOHN W. CAMPBELL „COŚ" VESPER 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wznowienie jednej z najważniejszych książek autora „Nad Zbruczem", laureata nagród im. Mackiewicza i Identitas. „Prawdziwe jest każde słowo, każda litera rozrywa serce" – pisał Krzysztof Masłoń o „Lwowskiej nocy".

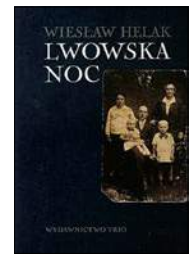

WIESŁAW HELAK „LWOWSKA NOC" ARCANA

Dwunastoletni Bogdan w sierpniu 1944 r. trafił wraz z matką do KL Auschwitz-Birkenau. Po latach zaczął spisywać wspomnienia. Nie tylko własne. Także innych dzieci, które trafiły do stworzonego przez Niemców piekła.

BOGDAN BARTNIKOWSKI „DZIECIŃSTWO W PASIAKACH" PRÓSZYŃSKI I S-KA

„Nowa Rosja Putina i duchy przeszłości" zatytułował swą opowieść brytyjski dziennikarz. Wskazując tęsknotę za nowymi triumfami i „kult pobiedy" jako główny mechanizm napędowy kraju próbującego odzyskać status mocarstwa.

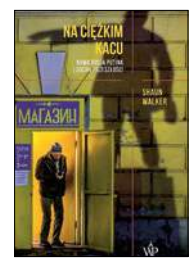

SHAUN WALKER „NA CIĘŻKIM KACU" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Wznowienie jednej z najlepszych powieści wybitnego brytyjskiego fantasty, a jednocześnie jedna z najbardziej niezwykłych wizji odległej przyszłości rasy ludzkiej. Tyleż unikatowa i barwna, co szalona i mało optymistyczna. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

BRIAN ALDISS „CIEPLARNIA" REBIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Oliwia Natecka „Droga w nieznane" (Wydawnictwo Mazowieckie) – pierwszy tom serii obyczajowej dla dziewcząt zatytułowanej „Ranczo Fantazja".***
2. ***Jakub Żulczyk „Czarne Słońce" (Świat Książki) – autor „Ślepnąc od świateł" marnuje talent na fantazję antynaziolską. Ani twórcze, ani ciekawe.***
3. ***Remigiusz Mróz „Iluzjonista" (Filia) – drugi tom serii, której bohaterem jest Gerard Edling (pierwszym była powieść „Behawiorysta").***
4. ***Olga Tokarczuk „Prawiek i inne czasy" (Wydawnictwo Literackie) – wznowienie powieści polskiej noblistki wydanej oryginalnie w roku 1996.***
5. ***Olga Tokarczuk „Bieguni" (Wydawnictwo Literackie) – literacki Nobel sprawił, że na listę powróciła także powieść Tokarczuk sprzed 12 lat.***

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Gandalf)

eprasa.pl f5436f6b3a

Od Kiepury do Podsiadły

FOT. YOUTUBE

Pierwsze nuty z „Małomiasteczkowego" Dawida Podsiadły, zaraz potem „Usta milczą, dusza śpiewa" z repertuaru Jana Kiepury. Później „Ostatnia niedziela" Mieczysława Fogga, „Czerwony autobus" z repertuaru Andrzeja Boguckiego, „Dwudziestolatki" Macieja Kossowskiego.

Co dalej? Są i Czerwone Gitary, i Maanam, i znów Podsiadło, i jeszcze kilku innych (łącznie 11) polskich artystów. A to wszystko w jednej kompilacji przygotowanej przez chór uczniów Prywatnej SP i Prywatnego LO im. Marii Skłodowskiej-Curie w Dąbrowie Górniczej.

Happy Choir Skłodowska starał się 101 lat polskiej piosenki zamknąć w jednym kilkuminutowym nagraniu. „Z okazji 101. rocznicy niepodległości Polski chcemy was zabrać w muzyczną podróż. To była dla nas najlepsza lekcja historii" – mówią na początku filmu udostępnionego na YouTube, zatytułowanego: „Ewolucja polskiej muzyki. Projekt: »101 lat polskiej muzyki na 101 lat niepodległości«".

Ta lekcja historii trwała ponad rok. Przygotowania do realizacji pomysłu podróży przez wiek polskiej muzyki rozpoczęły się przed stuletnią rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości, a zakończyły się dopiero niedawno. Wybór piosenek poprzedzały spotkania, na których nie tylko poznawano muzyków kolejnych dekad i ich dzieła, lecz także rozmawiano o nurtach w kulturze czy modzie. – Żeby lepiej zrozumieć samą ideę, wspólnie spędziliśmy wiele godzin, omawiając historię i zmiany, które zachodziły w świecie kultury w naszym kraju. Dla naszych dzieciaków ta muzyczna podróż była niezwykle cenną lekcją – mówi portalowi Dabrowagornicza.naszemiasto.pl Aleksandra Jabłońska-Błokowska, opiekunka chóru.

Dużo pracy, ale efekt wart włożonego wysiłku. 20 tys. wyświetleń na YouTube pękło po kilku dniach. Kto już trafi na youtube'owy kanał Happy Choir Skłodowska, ten niech się po nim rozejrzy, bo młodzi mają na koncie kilka innych udanych nagrań, zilustrowanych nieźle zrealizowanymi teledyskami. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zakłopotany artysta

Michael Kiwanuka, potomek ugandyjskich rodziców, którzy uciekli z ojczyzny za czasów terroru Idi Amina, jest dziś jednym z najciekawszych brytyjskich artystów.

Już sam tytuł trzeciego albumu jest manifestem. Kiwanuka był bowiem wielokrotnie namawiany do przybrania pseudonimu. Odmawiał, gdyż kluczowa jest dla niego tożsamość artysty i osoby. Album „Kiwanuka" jest 13-odcinkową opowieścią o życiu czarnego człowieka w dzisiejszym białym świecie. Między piosenkami słyszymy archiwalne nagrania z demonstracji i wieców ruchów walczących w latach 60. o prawa obywatelskie. W otwierającym „You Ain't the Problem" rozbrzmiewają echa dokonań Curtisa Mayfielda, a przez cały album przewijają się odniesienia do twórczości Marvina Gaye'a, Billy'ego Whitersa czy Steviego Wondera. W „Hero" Michael śpiewa: „Nie zmienię swojego imienia / bez względu na to, jak mnie nazywają", a następnie utwór przekształca się w hołd dla Freda Hamptona, zamordowanego we śnie przez policję szefa chicagowskich Czarnych Panter.

Zróżnicowane stylistycznie utwory, od nastrojowych ballad do gitarowych wybuchów, wypieszczone są w psychodeliczno-funkowym sosie. Wspaniały „Hard to Say Goodbye" łączy pinkfloydowskie gitary z odgłosami przyrody i „kwasowymi" orkiestracjami oraz chórami z lat 60. Całość jest rodzajem symfonii, której części są łączone interludiami i archiwaliami. ©℗

★★★★★★
MICHAEL KIWANUKA „KIWANUKA" INTERSCOPE

★★★★☆☆
KASIA KOWALSKA „MTV UNPLUGGED" AGORA

Koncert akustyczny z okazji jubileuszu 25-lecia działalności Katarzyny. Skład został rozszerzony o sekcję dętą, a gościnnie zaśpiewali Edyta Bartosiewicz i Stanisław Soyka. Jubilatka i zespół w formie, publiczność żywiołowa, a hity brzmią przednio.

★★★☆☆☆
SIMPLY RED „BLUE EYED SOUL" BMG

Dziesięć nagrań utrzymanych w stylistyce „czarnych" wytwórni Motown i Philadelphia International z lat 70. Hucknall zawsze specjalizował się w gładkich ciepłych piosenkach, więc wielbiciele polerowanych brzmień będą zadowoleni. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Uzależniony

Zapewne wielu z nas dostrzega, co robią z nami smartfony. No dobra, łatwiej zauważyć, co robią z innymi. Zwłaszcza gdy demonstruje to filmik, na którym wgapiona w ekranik kobieta ląduje w fontannie centrum handlowego. Do którego – jak można się domyślać – szła na zakupy, a nie po to, żeby się wykąpać.

Trzeba być jednak bardzo obłudnym, by twierdzić, że problem ze smartfonami mają tylko inni. Że dotyczy dzieciaków, a nie ludzi dojrzałych. Że dotyka głupków, ale nie ludzi wykształconych. Sporo podróżuję po całym świecie i z pewną przykrością stwierdzam, że jego mieszkańcy stali się do siebie przygnębiająco podobni. Niezależnie od koloru skóry, zwyczajów i warunków robią to samo. Wszędzie wpatrują się w swoje smartfony. I skrolują, skrolują, skrolują…

Uzależnienie od telefonu – bo to jest uzależnienie – ma poważne konsekwencje. Przynajmniej w moim przypadku. Czytam znacznie mniej książek niż kiedyś. A czytam mniej, bo znacznie trudniej mi się skupić. A trudniej mi się skupić, bo zniszczyły mnie obrazki, wpisy, linki, gify, memy i filmiki. Fala internetowych drobinek, która zalewa mnie każdego dnia i niezauważalnie, kroczek po kroczku, dewastuje mi mózg. Powinienem się bronić, unikać, odstawić. Ale już nie potrafię. Wiem, że to bzdury, wiem, że to szkodliwe, że to strata czasu, ale cóż – ulegam. Na tym wszak polega uzależnienie.

Och, oczywiście smartfony mają mnóstwo zalet. Są diabelnie użytecznym narzędziem, ale właśnie przez tę użyteczność są tak niebezpieczne. Wydają się niezastąpione. Cóż, chyba są niezastąpione.

Najbardziej w smartfonach nie lubię tego, że w jednym małym gadżecie zawierają się jednocześnie dwie sfery, które powinny być oddzielone. Sfera rozrywki i życia prywatnego z jednej strony oraz sfera zawodowa z drugiej. W efekcie w smartfonie można spędzić całe życie, płynnie przechodząc od zawodowych e-maili i złożenia oferty do wzruszenia zdjęciami rodzinnymi i marnowaniem niezliczonych godzin na Facebooku czy YouTube. Aż dociera się do krańca Internetu i czas iść spać.

Czego w tym nie lubię? Może wyjaśnię obrazowo. Przechodzenie między różnymi trybami smartfonowymi, między pracą, rozrywką, życiem towarzyskim i rodziną jest trochę jak wyjście z klimatyzowanego biura do klimatyzowanej strefy relaksu, która znajduje się za drzwiami. Niby chwilowo nie pracujesz, niby odpoczywasz, ale tkwisz w pomieszczeniu bez okien, zamiast wyjść na świeże powietrze i usiąść na ławce w parku.

I tak jest ze smartfonami. Niby robisz wiele różnych rzeczy, ale tak naprawdę tkwisz w elektronicznej przestrzeni, a na koniec dnia masz wysuszone oczy i jesteś strasznie zmęczony od tego całego odpoczynku (bo marnowanie czasu to coś na kształt odpoczynku, nieprawdaż?). I nie ma dokąd uciec. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Zmierzch liderów

Każdy, kto lubi studiować historię, musi zauważyć, że ludzie wybitni trafiają się tam dość rzadko, szczególnie w demokracji.

Zauważył już Machiavelli, że ludzie, jeśli nie zmuszą ich do tego niezwykłe okoliczności, wybierają zazwyczaj głupszych od siebie, a jeśli nawet w ekstremalnej sytuacji zdecydują się na lepszego, to bezustannie rzucają mu kłody pod nogi, a gdy w końcu ich uratuje, uciekają się do ostracyzmu (na wygnaniu kończą zwycięzcy spod Maratonu i Salaminy – Miltiades i Temistokles) albo załatwiają to za pomocą kartki wyborczej (Churchill nazajutrz po zwycięskiej wojnie!). Szczególnej mizerii w tym względzie dostarczają czasy pokoju – kto dziś w świecie demokratycznym zasługuje na miano przywódcy: maminsynek Macron czy ciotka Angela na odchodnym? Premier Johnson użera się z bandą kretynów zdolnych jedynie do destrukcji, a Trump żyje w nieustannym osaczeniu. Salvini był nie najgorszy, no to stracił władzę…

Liderzy tacy jak Kaczyński czy Orbán są dobrem rzadkim

Większych problemów nie mają za to ci „demokratyczni inaczej" – Putin czy Erdoğan, choć i im pewnego dnia może skończyć się dobra passa. Na tym tle liderzy tacy jak Kaczyński czy Orbán są dobrem rzadkim i należy na nich chuchać i dmuchać, bo idę o zakład, że następcy mogący im dorównać pojawią się nieprędko. Józef Piłsudski to najlepszy przykład, jak mylne jest stwierdzenie: „Nie ma ludzi niezastąpionych".

Czy nasza stetryczała Europa może coś na to poradzić, kiedy jej elita to w większości towarzystwo wzajemnej adoracji, którego członkowie rzadko patrzą dalej niż przez pryzmat jednej kadencji.

Toteż kiedy wreszcie pojawi się ktoś, kto kopniakiem wywali ten stolik, módlmy się, żeby miał jeszcze jakiś pomysł poza kopniakiem! ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

Jan Parys

Przedstawiciele inteligencji z metropolii walczą nie o Polskę, lecz walczą z Polską. Z kolei PiS nie ma dla nich oferty

Szkoda inteligencji

Jesteśmy w okresie po wyborach parlamentarnych i przeżywamy okres powyborczych rozliczeń i politycznych podsumowań. Wydaje się, że po licznych publikacjach nie trzeba po raz kolejny omawiać wyników poszczególnych partii.

Problemem, nad którym warto się zastanowić, jest skala odrzucenia Prawa i Sprawiedliwości w miastach. Wydaje się, że rzecz leży w tym, iż mieszkańcy miast są przeciwnikami PiS ze względu na jego propaństwową politykę. W rezultacie przedstawiciele inteligencji z metropolii walczą nie o Polskę, lecz walczą z Polską. Widać to najlepiej na przykładzie zachowania europosłów PO i SLD w Parlamencie Europejskim. Państwo polskie dla tych ludzi nie jest żadną wartością, jest przeszkodą lub narzędziem do prywatnej kariery.

W Polsce od pewnego czasu pojawił się nowy podział, który nie jest związany z interesami kojarzonymi z lewicą i prawicą. Mamy mianowicie podział na lepiej sytuowany elektorat miejski oraz mieszkańców małych ośrodków i mieszkańców wsi. Wiadomo, że PiS ma większe poparcie na obszarach słabiej zurbanizowanych, a PO dominuje w metropoliach. Nad przyczynami tego zjawiska zastanawiają się nie tylko sztabowcy PiS.

MIEJSKA PASYWNOŚĆ PIS

Niewątpliwie jedną z przyczyn wspomnianego zjawiska, tj. odrzucenia wpływów PiS w metropoliach, jest także pasywność tej partii wobec wyborców miast. Walcząc z PSL na wsi, PiS zapomniał, że wśród mieszkańców miast też warto prowadzić kampanię. Niestety, osobnej oferty PiS dla najemnych pracowników umysłowych, którzy dominują w miastach, nie było. Nawet rozmowy z tą grupą nie było, bo wiece wyborcze PiS były skoncentrowane na małych ośrodkach. Zatem ta grupa mogła poczuć się nawet zlekceważona przez partię rządzącą. Wiadomo, że PiS ma problem z dotarciem do elektoratu miejskiego, zwłaszcza na ziemiach zachodnich i północnych. Mimo to nie było spotkań z grupami zawodowymi, które mają wpływ na opinie wyborców miejskich. Nie słychać, by premier spotkał się z pracownikami Politechniki Wrocławskiej, aby przedstawić szanse, jakie dla polskich inżynierów stanowią programy rewitalizacji przemysłu i budowy infrastruktury. Nie było spotkania z pracownikami Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, by porozmawiać o ekonomicznych założeniach prowadzonej polityki rozwoju. Czy było spotkanie na Uniwersytecie Szczecińskim, w Akademii Medycznej w Gdańsku?

Wydaje się, że PiS nie zrobił nic, by dotrzeć do plastyków, muzyków, literatów, adwokatów, inżynierów, księgowych itp. A to wymienione grupy zawodowe tworzą ważną opiniotwórczą część mieszkańców metropolii. Trudno się zatem dziwić, że wyniki PiS w dużych miastach są, jakie są. Ktoś może powiedzieć – nic się nie stało, bo ważne, że po wyborach w październiku 2019 r. można dalej rządzić. Moim zdaniem rząd, jeżeli chce nie tylko administrować, lecz także przyspieszyć rozwój

eprasa.pl f5436f6b3a

RYS. MIROSŁAW OWCZAREK

kraju, potrzebuje wsparcia inteligencji. Bez tego poparcia będzie to trudne. Na razie PiS i jego ministrowie nie potrafią z inteligencją rozmawiać, a nawet chyba tego nie próbowali. Mam wrażenie, że rząd lepiej traktował koła gospodyń wiejskich niż inteligencję.

MISJA INTELIGENCJI

Inteligencja w Polsce miała kiedyś szczególną misję, kiedy państwa polskiego nie było, a potem w PRL, kiedy nie było demokratyczne. Od 30 lat jest inna, nowa sytuacja, w której inteligencja musi odnaleźć swoje nowe miejsce w państwie i w społeczeństwie. To jest miejsce elity złożonej z grup specjalistów, które mają budować państwo, a nie je zastępować czy deprecjonować jego istnienie. Kto dziś, kiedy mamy co cztery lata wybory, kontestuje demokratycznie wybrane władze, ten świadomie dąży do osłabienia państwa i podważa ustrój konstytucyjny. Społeczeństwo jest reprezentowane przez władzę pochodzącą z wolnych wyborów i nikt tej władzy zastępować nie może, nawet najwybitniejsi uczeni czy artyści.

Oczywiście mieszkańcy miast są beneficjentami wielu programów socjalnych rządu, lecz – jak widać – to im nie wystarcza. Być może ze względu na niezły poziom życia w miastach. Widać, że oczekują oni czegoś więcej niż prezentów socjalnych. Zatem mechanizm transakcyjny, który zadziałał wobec obywateli mniej zamożnych, w miastach okazał się mało skuteczny. Pytanie: „Dlaczego PiS napotyka ścianę niezrozumienia w miastach?" jest aktualne i nie słychać, by to zjawisko ktoś rzetelnie badał.

Wydaje się, że obecnie Polska jest w fazie szybkiego rozwoju, co stwarza wielką szansę dla polskiej klasy umysłowej. Może ona pomóc w rozwoju kraju, może przy tej okazji umocnić swoje zawodowe pozycje, może spełnić historyczną misję wobec ojczyzny – być współautorem modernizacji kraju. Niestety, często można mieć wrażenie, że inteligencja nie pojmuje wejścia Polski do świata zachodniego jako szansy na swój udział w rozwoju kraju. Zmiana miejsca Polski na mapie Europy często jest kojarzona wśród elity ze wstydem, gdyż Polska jest biedniejsza niż Europa Zachodnia. Zatem zamiast nowe miejsce Polski w Europie traktować jako wyzwanie, spotykamy się z postawą wstydu za ojczyznę oraz z postawą rezygnacji z polskości. Pod wpływem wieloletniej pedagogiki wstydu znikła duma z bycia Polakiem.

PODPORZĄDKOWANIE

Kiedyś inteligencja była gotowa za Polskę ginąć, teraz często zachowuje się jak internacjonalistyczne elity w krajach kolonialnych, których interes zależy od dawnych metropolii. Dzisiaj często woli interesy kraju podporządkowywać obcym, bo suwerenne państwo polskie nie jest dla tych ludzi żadną wartością, jest obciążeniem, jest nienormalnością – jak napisał znany polityk liberalny. Zatem problemem nie jest postawa mieszkańców miast wobec PiS, lecz wobec Polski, której nie rozumieją, nie chcą ani nie cenią. Tymczasem Polska jest dla każdego pokolenia zadaniem. Stanowi dobro wspólne wszystkich obywateli i każde pokolenie jest zobowiązane dbać o jej siłę i rozwój, jak pisali autorzy konstytucji kwietniowej.

Niestety, ostatnio pojawiają się pomysły, by państwo polskie zredukować pod pretekstem decentralizacji, że historię Polski mamy pisać pod dyktando Niemiec, deprecjonując polskie ofiary z czasów II wojny światowej i wybielając zbrodniarzy, że próbuje się waloryzować wpływy niemieckie na Pomorzu, że można negować pamięć o żołnierzach wyklętych, co jest gloryfikacją sowieckiej okupacji i stalinizmu itp. W wielu przypadkach obserwujemy, jak ośrodki zagraniczne wspierają działania zmierzające do osłabienia narodowej tożsamości. To powinno być ostrzeżeniem, ale rzadko nim jest. Widzimy, że np. osoby związane ze środowiskiem George'a Sorosa nie ukrywają swoich zamiarów osłabiania państwa polskiego. Niektóre środowiska zawodowych ekologów są jawnie finansowane i kierowane z zagranicy tylko po to, by zatrzymać uprzemysłowienie kraju, które może być konkurencją dla fabryk za granicą. Tymczasem im silniejsza Polska, tym lepsza pozycja polskiej inteligencji. Żaden inny kraj nie da polskiej elicie takiej pozycji, jaką może jej dać silne suwerenne państwo.

W ostatnim czasie często mieliśmy w kraju do czynienia z sytuacją klasycznego nadużycia autorytetu. Ktoś znany z osiągnięć w swojej dziedzinie zaczyna się wypowiadać na inne tematy, co do których nie jest znawcą. Wpływa na opinię, bo ma sławę. Oczywiście dyskutować o wszystkim może każdy, lecz głos znanego reżysera czy znanej pisarki jest tylko głosem jednego z 40 mln obywateli i niczym więcej. Żal patrzeć, jak krajowe autorytety wspierają zagranicznych awanturników, którzy atakują Polskę poza krajem w mediach czy parlamentach.

Postępowanie Brukseli wobec Polski w czasie ostatnich czterech lat jest kompromitacją Unii Europejskiej i przejdzie do historii jako przykład postępowania skrajnie pozamerytorycznego. Jest dowodem na to, że politycy, którzy nie mają żadnego mandatu, chcą budować swe poczucie władzy i wielkości tak jak kiedyś Niemcy – na walce z Polską i na okazywaniu Polakom pogardy.

Urzędnicy z Brukseli otwarcie mówią, że nie spoczną, aż Polska się im całkowicie podporządkuje. Polacy mają zmienić albo władzę, albo rząd. PiS ma zgiąć kark, zrezygnować z suwerenności i słuchać urzędników z Brukseli. W tej procedurze publicznego poniżana Polski w Brukseli pomaga grupa sędziów i profesorów z Polski. Dla nich obca władza i obce interesy są ważniejsze niż suwerenne państwo polskie. Ci ludzie otwarcie rezygnują z identyfikacji z Polską, wybrali drogę działania na szkodę ojczyzny. Ich postawa jest dowodem na to, jak część inteligencji zagubiła się i nie rozumie świata, w którym żyjemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem, socjologiem, byłym ministrem obrony narodowej.

eprasa.pl f5436f6b3a

Raport o stanie wiary

ks. Przemysław Artemiuk

„Czas szaleństwa czy czas wiary?" uzasadnia historyczność chrześcijaństwa i opowiada o wierności tradycji

Świadomie tytułem tego tekstu nawiązuję do wywiadu, który przeprowadził z kard. Josephem Ratzingerem w roku 1984 Vittorio Messori. Odnoszę bowiem nieodparte wrażenie, że rozmowa Pawła Lisickiego z Tomaszem D. Kolankiem przybiera taką właśnie postać. Jest ona raportem o aktualnym stanie wiary, dodajmy – raportem bardzo osobistym. Spojrzeniu Lisickiego towarzyszy przede wszystkim troska o Kościół. Dlatego redaktor naczelny „Do Rzeczy" uważnie śledzi wszystko, co dzieje się w obrębie kościelnej doktryny, wychwytuje symptomy niebezpiecznych zmian, definiuje najważniejsze problemy oraz wskazuje na możliwe linie obrony. Cały wywiad, na który składa się 11 rozmów, ma wyraźny rys apologetyczny, który od czasu pierwszych prac Lisickiego o Jezusie nieodmiennie cechuje jego pisarstwo. W uwagach wstępnych należy dodać jeszcze jedną, niesłychanie ważną rzecz. Lisicki nie tylko doskonale porusza się po aktualnej problematyce Kościoła. Jego myśleniu towarzyszy bardzo szeroki kontekst historyczny. Mówiąc o bieżących wydarzeniach, prądach myślowych, najnowszych badaniach biblijnych, Lisicki potrafi odtworzyć ich historię, wskazać na przyczyny błędnych koncepcji, znaleźć źródła obecnych poglądów. Argumentację redaktora cechuje zawsze duża swoboda intelektualna. Precyzyjnie rekonstruuje racje przeciwnika, by potem przedstawić własne, głęboko przemyślane uzasadnienie.

Czytając „Czas szaleństwa…", miałem jeszcze jedno skojarzenie. Najnowszy tom rozmów stanowi nie tylko aktualny raport o kondycji Kościoła. Ten wywiad to w gruncie rzeczy przewodnik po twórczości Pawła Lisickiego, w którym wybrzmiewa także jego osobiste credo.

Z perspektywy teologicznej dwie kwestie w całym wywiadzie zdają się dominować. Pierwsza to obrona historyczności chrześcijaństwa katolickiego. Druga zaś to apologia Tradycji. Obie zazębiają się i wzajemnie przenikają. Całościowo patrząc na rozmowę, spróbujmy odnaleźć te wątki.

APOLOGIA HISTORYCZNOŚCI CHRZEŚCIJAŃSTWA

Uzasadnienie historyczności chrześcijaństwa zajmuje w rozmowie istotne miejsce. Lisicki wyraźnie podkreśla, że w żaden sposób nie można zgadzać się z tezą, iż „od początku chrześcijaństwo musiało być skażone, zafałszowane". Zwolennicy takiego poglądu przekonują, że „to nie objawione Słowo Boga dociera z zewnętrz do człowieka, ale to człowiek wytwarza je, wydobywa z siebie, kreuje i konstruuje". Ich zdaniem „historia staje się zapisem rozwoju ludzkiej świadomości, a przesłanie chrześcijaństwa mitem, czyli ubraną w historyczne szaty legendą". Niestety, ze smutkiem należy stwierdzić – na co także zwraca uwagę Lisicki – że tego typu poglądy nie tylko cechują myślenie wrogów Kościoła. Wielu progresywnych teologów także je podziela. Odpowiadając na te zarzuty, Lisicki formułuje apologię, odwołującą się do najnowszych badań. Akcentuje w niej faktyczność wydarzeń biblijnych, zwracając szczególną uwagę na Ewangelie. Zdaniem redaktora „Do Rzeczy" problem krytyków Jezusa polega na tym, „że jak bardzo by się nie wysilali, fakty są całkiem inne". Nie da się dzisiaj sprowadzić Jezusa do kategorii mitu, a tekstów Ewangelii do legend. Przeczą temu przede wszystkim badania tradycji przekazów ustnych. W czasach Jezusa „doskonale rozwinięte były różnego rodzaju techniki mnemotechniczne. Tak jak dzisiaj przechowujemy pamięć o wydarzeniach minionych dzięki spisanym, współczesnym wydarzeniom dokumentom, a od lat 90. XX wieku w pamięci komputerów, tak starożytni Żydzi potrafili przez lata i dziesięciolecia przechowywać i przekazywać taką wiedzę w niewzruszony i wierny sposób dzięki tradycji ustnej".

Co więcej, w apologii historyczności należy przypomnieć, czym były w swej istocie Ewangelie. Na tym polu współczesna biblistyka – co doskonale wie Lisicki – zrobiła w ostatnich latach całkiem sporo. „Nie ma wątpliwości, że Ewangelie, jeśli chodzi o ich gatunek literacki, należy zaliczyć właśnie do gatunku starożytnych biografii". Nie są zatem – jak chcieliby badacze ze szkoły Bultmanna – opowieściami

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl f5436f6b3a

pierwotnej gminy, dowolnie kształtowanymi, którym brak precyzji, jednolitości i pewności przekazu. Ewangelie – co podkreśla za Robertem Burridge'em Lisicki – „przypominają dzieła Swetoniusza czy Plutarcha", którzy tworzyli antyczne biografie zaliczane do historii. Już w tamtych czasach od ich autorów wymagano, „by pisali prawdę i podawali fakty". Wie o tym doskonale Lisicki, dlatego w przypadku Ewangelii akcentuje kategorię biograficzności i wagę osobistego świadectwa. „Tak jak my dzisiaj – stwierdza redaktor – spodziewamy się, że ktoś, kto pisze reportaż, nie opowiada bajek i nie zmyśla, tak starożytni oczekiwali, że od biografa dowiedzą się o faktach. Tak jak w przypadku twórczości Kapuścińskiego zarzutem było to, że nie był w opisywanych przez siebie miejscach i nie spotykał się ze świadkami, tak ewangeliści utraciliby wiarygodność, gdyby wykazano, że się mylili. Pokazuje to, jak bardzo mylą się liberalni krytycy, którzy mniemają, że ewangeliści swobodnie tworzyli swoje opisy". Nie bez znaczenia pozostaje także kwestia kształtowania się kanonu Nowego Testamentu i wczesne teksty tradycji Kościoła potwierdzające go, jak również świadectwa niechrześcijańskie. Lisicki podkreśla, że zachowanie czterech Ewangelii w pamięci Kościoła „jest ważnym argumentem na rzecz wiarygodności przekazów". Kościół bowiem „od początku troszczył się o to, by każdą z Ewangelii zachować i nie usuwać różnic". Pluralizm Ewangelii mógł być i z pewnością dla wielu nadal jest czymś niewygodnym i niewłaściwym. Zdaniem redaktora ta różnorodność to „pieczęć prawdziwości, znak autentyczności". Od początku Kościoła „Ewangelia – Dobra Nowina była jednością, przekazywana jedynie na cztery różne sposoby".

Kwestie wiarygodności historycznej chrześcijaństwa pojawiają się także w innych miejscach wywiadu. Lisicki, analizując spory między poszczególnymi frakcjami żydowskimi w czasach Jezusa, ujawnia doskonałą znajomość dziejów judaizmu świątynnego. Ukazując konflikt z Chrystusem, pyta o odpowiedzialność za Jego śmierć. W tych fragmentach redaktor „Do Rzeczy" nie tylko wraca do historii, lecz także przedstawia współczesne uwikłania ideologiczne przeciwników Ewangelii. Zgłasza również zarzuty wobec katolickich teologów czy biblistów, którzy zbyt łatwo ulegają dyktaturze dialogu i dostosowują własne interpretacje tekstów Ewangelii do bieżącej polityki czy mody. Zdaniem Lisickiego nie da się postawić znaku równości między żydowską odpowiedzialnością za śmierć Jezusa a Holokaustem. Takie twierdzenie jest całkowicie irracjonalne, Holokaust jest bowiem zjawiskiem nowożytnym, ale również z gruntu fałszywe historycznie.

Dotarcie do źródeł oraz zbadanie ich wiarygodności okazuje się nie tylko fundamentalną kwestią dla chrześcijaństwa. Lisicki, tropiąc współczesne quasi-religie (holokaustianizm, biblijnie uwarunkowany feminizm czy nowolewicową ideologię chętnie odwołującą się do św. Pawła), stosuje wobec nich podobnie konsekwentną metodologię. Najpierw obnaża ich argumentacje, następnie wykazuje fałszywe tropy interpretacyjne, w końcu zbija mylnie wyprowadzone przez nich wnioski. Poprawne odczytanie źródeł chrześcijańskich okazuje się kluczem do zrozumienia wielu współczesnych zjawisk.

OBRONA TRADYCJI

„Czas szaleństwa…" to także opowieść o wierności tradycji Kościoła. Słuchając tego dialogu, można odnieść wrażenie, że na naszych oczach są podejmowane różnorodne działania zmierzające do zmiany doktryny Kościoła. Krytyczne uwagi, które padają ze strony rozmówców, świadczą przede wszystkim o ich trosce i miłości do Kościoła. Lisicki sporo miejsca poświęca charakterystyce posoborowych przemian, pyta również o odpowiedzialność za błędy czy nadużycia. Przypomina także, że nikt z ludzi Kościoła, nawet papież, nie ma prawa stawiać siebie ponad Tradycją. Kto narusza jej świętość w jednym punkcie, podkreśla redaktor, ten może ją również naruszyć w innym. Zdaniem Lisickiego pytanie o granice władzy papieskiej ma dzisiaj podstawowe znaczenie. „Cała moc urzędu papieskiego, wyjaśnia, bierze się z tego, że jest on sługą Tradycji. Im bardziej od niej odchodzi, im bardziej próbuje grać swoje, występować jako wolny od Tradycji, samodzielny podmiot, jednostka, tym jego autorytet i władza słabną. I to niezależnie od tego, że opinia publiczna, opinia świata mogą pokazywać co innego. Wiem, że media chwalą i wpierają te słowa i te gesty papieża, które wskazują na nowość, inność, oryginalność, zerwanie, samodzielność – tylko że te pochwały nic nie znaczą. Są fałszywe. Są znakiem, że dzieje się coś niepokojącego. Są znakiem upadku". Lisicki uważa, że jedynym sposobem na wszelką kontrrewolucję jest „twarde opieranie się na Logosie". Metoda działań winna być następująca: „odrzucenie sofistyki i nazywanie rzeczy po imieniu". Zdaniem redaktora „nie wolno akceptować błędnych sądów tylko dlatego, że stoją za nimi autorytety. Kto tego nie rozumie, pozostaje nieustannym więźniem dialektyki". W Kościele nie powinno być dla niej miejsca. Ma on przecież strukturę hierarchiczną, a nie dialektyczną. „To, że Kościół jest zbudowany na Piotrze, wyjaśnia Lisicki, wynika z istoty Objawienia. To mówił sam Pan Jezus. Podobnie to On przekazał Piotrowi klucze i władzę. Władza w Kościele przychodzi z góry, z nieba. Papież nie jest prezydentem, wybieranym w wyborach, podobnie biskupi nie są ministrami czy pełnomocnikami. Są następcami apostołów. Tych, których, jak podkreśla Pismo, wybrał i powołał sam Pan Jezus. Dlaczego tych, a nie innych? Nie wiemy. W każdym razie od samego początku władza i autorytet w Kościele przychodzą z góry. Więcej – Jezus, kiedy ustanawia Szymona Piotrem, i ogłasza, że »Ty jesteś Piotr czyli Skała, i na tej Skale zbuduję Kościół mój«, wyraźnie mówi »Kościół mój«. Nie żaden inny, ale »mój«. Dokładnie to samo pisze w liście do Koryntian święty Paweł, kiedy mówi, że jedynym fundamentem jest Jezus Chrystus i to do niego należy tak Apollos, jak Kefas czy sam Paweł. To Bóg objawił prawdę o Chrystusie Piotrowi i Chrystus wybrał go na skałę dla »swojego« Kościoła".

Obrona historyczności chrześcijaństwa i Tradycji Kościoła to tylko dwa, chociaż niezwykle istotne, wątki „Czasu szaleństwa…". Interesujących kwestii jest znacznie więcej. Warto sięgnąć po tę lekturę, aby przekonać się, na czym polega i czego dotyczy współczesna apologia.

PAWEŁ LISICKI, TOMASZ D. KOLANEK „CZAS SZALEŃSTWA CZY CZAS WIARY?" ARCANA 2019

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest teologiem fundamentalnym, adiunktem na Wydziale Teologicznym UKSW, przewodniczącym Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych w Polsce.

eprasa.pl f5436f6b3a

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Gorzki los generała

W latach 70. na audiencji u Jana Pawła II w Watykanie stawił się wraz z rodziną pewien polski weteran. Gdy papież podszedł do żołnierza, ten wręczył mu swoje wspomnienia. Jan Paweł II rzucił okiem na okładkę książki i natychmiast spojrzał z zainteresowaniem na autora.

– Generał Maczek? – zapytał.

A gdy uzyskał potwierdzenie, dodał:

– Oczywiście, gen. Maczek, kawał polskiej historii.

Jan Paweł II miał rację. Generał Maczek to był kawał polskiej historii. Weteran wielkiej wojny, wojny polsko-bolszewickiej i zmagań z Ukraińcami. Dowódca wojsk pancernych II RP. Uczestnik kampanii 1939 r. Dowódca 1. Dywizji Pancernej, na której czele wyzwalał Francję, Belgię i Holandię. Postrach Wehrmachtu, żołnierz legenda.

Barwny życiorys generała przybliża w swojej nowej książce znakomity badacz Jerzy Majka. Opisuje w niej kolejne bitwy i kampanie Maczka. Jego bohaterskie czyny, a także gorzkie losy powojenne. Maczek nie miał zamiaru wracać do okupowanej przez Sowietów Polski. Reżim warszawski pozbawił go zresztą polskiego obywatelstwa.

Generał osiadł w Edynburgu, gdzie znalazł się w ciężkiej sytuacji materialnej. Człowiek, który jeszcze niedawno dysponował sprzętem wartym dziesiątki milionów funtów i wydawał rozkazy tysiącom żołnierzy, teraz ledwo wiązał koniec z końcem.

„Pracował najpierw jako robotnik – pisze Jerzy Majka – a następnie sprzedawca w sklepie. Dłuższy czas był barmanem w hotelu. Kolejne zajęcie to funkcja gospodarza i barmana w edynburskim klubie squasha. Dopiero wówczas wypracował niewielką emeryturę. Los swój znosił z dużą godnością".

Taka była „wdzięczność" Brytyjczyków. Generał nie mógł liczyć nawet na wojskową emeryturę. Powojenne losy Maczka mogą służyć za symbol losów olbrzymiej rzeszy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dopóki walczyli z Niemcami – dopóty byli Brytyjczykom potrzebni, a gdy wojna się skończyła – ukochani „sojusznicy" zostawili ich na lodzie.

Maczkiem interesowały się tajne służby PRL. Podjęły nawet próbę sprowadzenia go do komunistycznej Polski i wykorzystania do rozgrywki przeciwko gen. Andersowi. Generał szybko jednak zorientował się w intrydze i odprawił komunistów. Do końca pozostał niezłomny. A koniec ten nastąpił bardzo późno. Generał Maczek zmarł bowiem w 1994 r. w wieku 102 lat! ©℗

★★★★★★

JERZY MAJKA
„MISTRZ MANEWRU. GENERAŁ BRONI STANISŁAW MACZEK (1892–1994)"
LIBRA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zbrodnia w Gąsawie

W Polsce wciąż pokutuje twierdzenie, że u nas nie mordowano władców i żaden nasz król nie stał na szafocie. Faktycznie, może nie uśmiercano ich z woli prawa (z wyjątkiem jednego księcia opolskiego, którego pozbawiono głowy w Nysie), ale poza tym mordowano się całkiem dobrze. W cenie byli skrytobójcy, ich ofiarami padło trzech synów Chrobrego (w tym król Mieszko II), Bolesław Śmiały i jego syn Mieszko.

> **Trafiła się doskonała okazja do pozbycia się najważniejszych Piastów**

Prawdziwy horror zaczął się w czasach rozbicia dzielnicowego. Skłócona gromadka Piastów o horyzontach umysłowych nieprzekraczających granic swoich niewielkich księstw chętnie pozbywała się rywali. Czasami zadowalano się wygnaniem, popularne było również uwięzienie dla okupu. Później jednak zaczęto się mordować, a pierwszy taki przypadek zanotowano 24 listopada 1227 r. w Gąsawie na Kujawach. Odbywał się tam zjazd książąt dzielnicowych mający zakończyć wojnę w Wielkopolsce między Władysławem Laskonogim a Władysławem Odonicem Plwaczem. Pierwszy z nich był synem Mieszka Starego, drugi wnukiem, co nie przeszkadzało w okrutnej wojnie. Stryj i bratanek naprowadzali na kraj wrogie wojska, łamali przyrzeczenia, więzili się w lochach. Odonic sprzymierzył się z księciem gdańskim Świętopełkiem, Laskonogi współpracował z Leszkiem Białym, Konradem Mazowieckim i książętami śląskimi. W wojnę w Wielkopolsce był zaangażowany cały kraj.

Zjazd zwołał książę krakowski Leszek Biały, który chciał zakończyć konflikt. Na jego zaproszenie przybyli: Konrad Mazowiecki, Henryk Brodaty z Wrocławia i przedstawiciel Władysława Laskonogiego. Książęta obradowali nad bieżącymi sprawami i oczekiwali na Odonica i Świętopełka. Ci jednak uznali, że trafiła się doskonała okazja do pozbycia się za jednym zamachem najważniejszych Piastów, i pewnego poranka, gdy ci przebywali w łaźni, napadli na nich Pomorzanie. Leszek Biały próbował uciekać konno, jednak został doścignięty i zamordowany nad Jeziorem Żarnowieckim. Henryka Brodatego napastnicy dopadli jeszcze w łaźni i ranny książę osunął się na ziemię. Zasłonił go wtedy własnym ciałem rycerz Peregryn i Pomorzanie uznali obu za martwych.

Leszek Biały osierocił syna (przyszłego Bolesława Wstydliwego) i do opieki nad dzieckiem zgłosiło się kilku chętnych. Do rządów nad Krakowem pretendowali: Konrad Mazowiecki, Władysław Laskonogi i Henryk Brodaty, który dzięki poświęceniu podwładnego przeżył. Rozpoczął się nowy korowód bratobójczych walk, a wojna w Wielkopolsce trwała dalej. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

HEKATOMBA POLAKÓW 1937–1952

DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ V – KONFERENCJA:

Polacy przeciw oszczerstwu

Sesja 1: Pojęcie hekatomby

Sesja 2: Skala Holokaustu

Sesja 3: Rozmiary polonofobii

Sesja 4: Czy prawo orężem?

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

Organizator

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

Patroni medialni

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl f5436f6b3a

Cmentarz Polaków rozstrzelanych przez Niemców w Palmirach pod Warszawą FOT. RAFAŁ DZIOREK/ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

3–4 WPROWADZENIE
Polska pamięć
Elity Zachodu nie widzą w Holokauście wynaturzenia chrześcijańskiej tradycji, ale jej ukoronowanie. Zaczęło się na Kalwarii, a skończyło się w Auschwitz…

5–7 SESJA I:
Pojęcie hekatomby
Czasem potrzeba historykom takiej wielkiej syntezy, jednego pojęcia, by opisać jakieś zjawisko. Samo pojęcie „hekatomby" jest znakomicie wymyślone.

8–11 SESJA II:
Skala Holokaustu
Ani polscy sołtysi, ani prezesi judenratów w gettach nie byli wolontariuszami Zagłady. W obu przypadkach współpraca z Niemcami była wymuszona.

12–14 SESJA III:
Rozmiary polonofobii
Niemcy widzą się w roli terapeuty wobec pacjenta. Mamy być wyleczeni z polskości. To jest nowy etap polonofobii: oburzenie i lęk przed „chorobą" polską.

eprasa.pl f5436f6b3a

Sprawa honoru

W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej kładę swe ręce na ten święty Krzyż, znak męki i Zbawienia. Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczpospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia…" – te słowa stanowią istotę przysięgi składanej od 1942 r. przez żołnierzy wstępujących do Armii Krajowej. „Aż do ofiary życia…" – ów zwrot przypomniał mi się 29 października br., podczas konferencji poświęconej hekatombie jako określeniu ofiary złożonej przez nasz naród podczas II wojny światowej. Na tę ofiarę kładzie się złowrogi cień nieprzebierającej w środkach polonofobii.

Hekatomba oznaczała w starożytnej Grecji wielką ofiarę składaną Zeusowi, potem również innym bogom, a z upływem wieków stała się „wielką ofiarą dla jakiejś sprawy pociągającą śmierć wielu ludzi". Jaka to wielka sprawa godna była (jest?) ofiary życia wedle przysięgi AK? To „honor" i „wolność". Za prawo do zachowania honoru i o wyzwolenie z niewoli umierali nie tylko żołnierze polscy, lecz także inni Polacy – również kobiety i dzieci, zabijane tylko dlatego, że należały do polskiego narodu. Szczególnie zawzięcie tępiono zaś tych, których okupanci niemieccy i sowieccy oraz inni wrogowie uznali za polską elitę – najbardziej pracowici, ideowi, oddani wspólnocie zarówno państwowej, jak i lokalnej, skłonni do udzielania pomocy innym członkom naszego społeczeństwa. Pisaliśmy o tym w poprzednich czterech odcinkach cyklu „Hekatomba Polaków". Pisaliśmy też o wielkim oszczerstwie, którym stało się za naszych czasów obarczanie nas, jako narodu, zarzutem współuczestnictwa w potwornych zbrodniach popełnianych przez innych – zwłaszcza w zagładzie Żydów – i o prawie jako orężu w walce z pomówieniami obcej polityki historycznej.

Zakończeniem cyklu, niejako jego podsumowaniem, jest dzisiejsze sprawozdanie z konferencji „Polska hekatomba i walka z polonofobią". Redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki, który otwierał to spotkanie znakomitych historyków i publicystów, cierpienia zadawane Polakom nazwał hekatombą. Cierpienia niesłusznie i celowo marginalizowane. Nawiązując do tego, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro porównał m.in. sytuację dzisiejszą – po zamieszaniu, które wyniknęło przy sejmowej próbie wprowadzenia ustawowej tamy przeciw polonofobii – z sytuacją z 2006 r., gdy analogiczna uchwała Senatu została przyjęta bez problemów. Coś się wydarzyło w ciągu tych lat… – stwierdził fakt tym bardziej dramatyczny, im bardziej bierność wobec Holokaustu, którą zarzucano nam wcześniej, zamienia się w oskarżenie o sprawstwo. Minister nawiązał tu do prof. Normana Daviesa, który niedawno przypomniał wystąpienie prof. Yehudy Bauera z początku lat 70. To znamienne, że już wtedy izraelski historyk proponował badania Holokaustu w triadzie: 1. sprawcy, 2. ofiary, 3. bierni świadkowie. Sprawcami byli naziści (nie Niemcy!), ofiarami Żydzi, a biernie przyglądali się Polacy.

Cóż, obecnie karierę za granicą robią ci badacze Holokaustu z Polski, którzy twórczo rozwijają koncepcję Bauera i którzy już pod numerem 1. stawiają… Polaków! O tym też mówiono podczas konferencji. Warto wiedzieć. ©℗

Maciej Rosalak

15–17 SESJA IV:
Czy prawo orężem?
Celowe pogarszanie na świecie obrazu Polski podczas ostatniej wojny może zrodzić bardzo niebezpieczne dla naszego kraju skutki prawne oraz finansowe.

REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący),
Jakub Tański (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**
Okładka: **Wojciech Stróżyk/REPORTER**

eprasa.pl f5436f6b3a

PAWEŁ LISICKI

Polska pamięć o ofiarach

Mało kto pamięta zapewne pierwsze pytanie, które w debacie prezydenckiej w 2015 r. Bronisławowi Komorowskiemu, urzędującemu wówczas prezydentowi, zadał Andrzej Duda. Wywołało ono niemałe zaskoczenie. Otóż obecny prezydent poruszył kwestię szkodliwej wypowiedzi poprzednika, który zwracając się do uczestników obchodów w Jedwabnem powiedział, że Polacy bywali „narodem sprawców".

Takie słowa to nic nowego. Podobne w tonie były przecież niesławne przeprosiny Aleksandra Kwaśniewskiego w 2001 r. Kajanie się polityków to woda na młyn nieprzyjaciół Polski. Wszystkich tych, na czele z Janem Tomaszem Grossem, którzy usiłują dowodzić, że Polacy byli narodem współsprawców Holokaustu, albo, tak jak Jan Grabowski, przypisują Polakom masowe zbrodnie na Żydach.

Mówiąc o hekatombie, mówilibyśmy o losie tych Polaków, którzy stracili życie w latach 1937–1953 za to, że byli Polakami

Szczególne miejsce Holokaustu w pamięci zachodnich elit nie wzięło się znikąd. Wiele razy pisałem już o tym – jest ono owocem wytężonej pracy części elit żydowskich. Z ich punktu widzenia, do którego potrafili przekonać światową opinię publiczną, II wojna światowa sprowadza się w istocie do Holokaustu. Jedna jest tylko naprawdę kategoria ofiar, wszystkie inne są do niej niejako przypisane. Ludzkość dzieli się – jak to kiedyś próbowała przedstawić znana węgierska intelektualistka żydowskiego pochodzenia Ágnes Heller – na potomków Abla, Żydów i potomków Kaina, całą resztę narodów. Zwolennicy takiej wizji widzą w Holokauście – masowym mordowaniu Żydów przez Niemców – nie wybryk historii, nie wynaturzenie i zaprzeczenie tradycji chrześcijańskiej Europy, ale jej ukoronowanie, konieczne niemal dopełnienie i rozwinięcie. Co się zaczęło na Kalwarii, to się skończyło w Auschwitz – oto podstawowa zasada tego myślenia. Holokaust jest w takim rozumieniu uniwersalnym symbolem ludzkiego cierpienia, zbrodnią jedyną, modelową, wzorcową.

Kto tak rozumuje, ten nie będzie umiał zdobyć się na dostrzeżenie autonomicznego, równie niewinnego i równie znaczącego cierpienia innych narodów. Znika solidarność ofiar totalitaryzmów, hitlerowskiego i komunistycznego; zamiast tego mamy do czynienia z zaciekłą walką o pamięć, o to, kto bardziej, a kto mniej ucierpiał. Gorzej. Ofiarą takiej pamięci o Holokauście staje się pamięć o innych narodach.

I tak zbrodnie przeciwko Polakom mogą stać się jedynie przypisem do Holokaustu. Polaków ocenia się tylko według jednego kryterium: czy dostatecznie przeciwdziałali zbrodniom niemieckim przeciwko Żydom. Stąd ta niekończąca się dyskusja, w której jedna strona twierdzi, że Polacy zrobili bardzo dużo, i powołuje się na liczbę polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, druga zaś oskarża i potępia, twierdząc, że pomocy było za mało, a aktów kolaboracji zbyt dużo. Rozkład sił medialnych sprawia, że obrońcy pierwszego stanowiska stoją na z góry straconej pozycji. Zawsze można zrobić więcej...

Jak to zmienić? Jak uchronić się przed tymi ciągłymi zarzutami? Polska powinna zadbać przede wszystkim o pamięć o własnych ofiarach. Potrzebne jest poważne podejście do polskiej martyrologii. Dlaczego nie pomyśleć o polskim medalu dla odważnych ludzi różnych narodowości – Niemców, Ukraińców, Rosjan, a także Żydów, którzy ratowali Polaków? Dlaczego nie pomyśleć o polskiej nazwie dla cierpień, które dotknęły nasz naród? Jeśli świat wie o Holokauście, to dlaczego nie zadbać o to, żeby pojawiło się jedno pojęcie obejmujące ogół zbrodni dokonanych na Polakach? W czerwcu 2015 r. zaproponowałem, żeby takim słowem było określenie „hekatomba". To najlepsze słowo klucz. Mówilibyśmy o losie tych Polaków, którzy stracili życie w latach 1937–1953 za to, że byli Polakami. Tych, którzy zostali zgładzeni przez Sowietów, tych, których zabili niemieccy naziści i wreszcie ukraińscy siepacze z UPA.

Dwa najbardziej znane, nowożytne przykłady ludobójstwa to Medz Jeghern, masowa zbrodnia popełniona na Ormianach przez Turków, i Holokaust, masowe morderstwo Żydów dokonane przez niemiecką III Rzeszę. W obu tych przypadkach można wyraźnie określić sprawcę, motywy, czas. Niezwykłość polskiego doświadczenia polega na tym, że ich katami byli zarówno zbrodniarze sowieccy, jak i hitlerowscy. Ich motywy ideologiczne też były różne, choć za każdym razem chodziło w istocie o zgładzenie narodu. Wreszcie zbrodnie dokonane na Polakach miały dłuższy przebieg, różna była skala ich nasilenia. Sowieci dokonywali ich w ukryciu, Niemcy – publicznie. Polacy ginęli nie jako prześladowana mniejszość, ale jako grupa z zasady niebezpieczna, buntownicza, dążąca do niepodległości.

Pojawienie się takiego jednego pojęcia obejmującego ogół zbrodni na Polakach pozwoli nie tylko łatwiej przekazywać wiedzę o polskim doświadczeniu, lecz także lepiej bronić się przed próbami fałszowania historii i aktami polonofobii. Pokazała to zorganizowana przez „Do Rzeczy" konferencja „Polska hekatomba i walka z polonofobią". ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

SESJA I:

O potrzebie jednego pojęcia

Kadr z filmu „Miasto 44", ukazującego wielką polską tragedię

FOT. OLA GROCHOWSKA/MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Włoczyk

Czy możliwe jest nazwanie całości polskich ofiar totalitaryzmów w XX w. jednym pojęciem? Jakie są szanse, by taki termin na trwałe wpisał się w świadomość historyczną światowych elit? O tych problemach dyskutowali uczestnicy pierwszego panelu konferencji

Pomysł tej konferencji zrodził się tak naprawdę w czerwcu 2015 r. Na naszej okładce pojawił się wtedy wielki tytuł: „Hekatomba Polaków". Redakcja „Do Rzeczy" zgłosiła wtedy pomysł, aby znaleźć jedno pojęcie, które mogłoby opisywać wszystkie zbrodnie dokonane na Polakach w latach 1937–1953 – powiedział redaktor naczelny „Do Rzeczy", otwierając konferencję „Polska hekatomba i walka z polonofobią". – Zbrodnie dokonane na Polakach funkcjonują w przestrzeni światowej w sposób całkowicie rozproszony. Za każdym razem trzeba opowiadać o każdej z tych rzeczy osobno. Brakuje jednego pojęcia, które sprawiłoby, że ludzie słysząc to słowo, mogliby je skojarzyć z polskimi cierpieniami – dodał red. **PAWEŁ LISICKI**.

– Drugim powodem, dla którego chcieliśmy zorganizować tę konferencję, jest poczucie, że obecny sposób ochrony polskiej pamięci, biorąc pod uwagę skalę rozpowszechniania fałszywych informacji i kłamstw, jest zbyt słaby. Nie jest oczywiście łatwo znaleźć tu dobrą metodę, ponieważ mamy do pogodzenia dwie wartości: z jednej strony wolność badań, wypowiedzi i opinii, a z drugiej – ochronę wizerunku, pamięć i troskę o tożsamość narodową. Jak znaleźć ten złoty środek? O tym będziemy dziś

eprasa.pl f5436f6b3a

dyskutowali – powiedział red. Paweł Lisicki.

Słowo wstępne wygłosił również współorganizator konferencji – minister sprawiedliwości i prokurator generalny **ZBIGNIEW ZIOBRO**. – Chciałbym podziękować za ten pomysł, za tę inicjatywę i za podjęcie niezwykle ważnego tematu dotyczącego świadomości historycznej nas, Polaków. Nikogo nie muszę w tym gronie przekonywać, jak ważny jest ten temat. Potrzebna jest debata na ten temat w związku z procesami, które dzieją się nie tylko w naszym kraju, nie tylko w świadomości nas, Polaków, lecz także dzieją się na świecie w zakresie reinterpretacji tego, co wydarzyło się w czasie II wojny światowej. Przede wszystkim mam na myśli to, co można przeczytać na temat Polski i Polaków w tym kontekście w mediach na świecie, co budzi nieraz nasze uzasadnione emocje, sprzeciw, moralny protest – mówił minister Zbigniew Ziobro.

– Jestem przekonany, że akurat w tej materii, którą dotyka dzisiejsza konferencja, prawo nie jest nadrzędną sferą norm, do których możemy się odwoływać i w oparciu o które powinniśmy kształtować rzeczywistość. Jest odwrotnie. To rzeczywistość, wyrażająca się w świadomości historycznej w kontekście zmian, które zachodzą, ma bezpośrednie przełożenie na tworzone prawo i jest tą siłą, która dominuje nad prawem – powiedział minister Zbigniew Ziobro, przywołując przykład napięć międzynarodowych, które wywołała nowelizacja ustawy o IPN z początku 2018 r. W dalszej części wypowiedzi minister Ziobro przypomniał, że podobne regulacje prawne, broniące dobrego imienia polski i narodu polskiego, zostały uchwalone już w 2006 r. (z przyczyn czysto proceduralnych zostały później uchylone przez Trybunał Konstytucyjny) i nie wywołały wówczas takich kontrowersji.

– Uświadomiło to nam, prawnikom, że coś zasadniczego wydarzyło się na przestrzeni tych 10 lat w obszarze świadomości historycznej… Zmiany prawne akceptowalne 10 lat wcześniej były całkowicie nie do przyjęcia – z dodatkowymi zabezpieczeniami – po 10 latach. Co takiego zaszło? – pytał minister Zbigniew Ziobro. I dodał: – Powinniśmy porozmawiać o tym, dlaczego przez całe dziesięciolecia państwo polskie nawet w wyjątkowych sytuacjach nie angażowało się w proces obrony prawdy historycznej o Polsce. Musimy wyciągnąć wnioski i konsekwentnie bronić prawdy historycznej.

Kadr z filmu „Miasto 44"

FOT. OLA GROCHOWSKA/MATERIAŁY PRASOWE

W dyskusji – moderowanej przez Piotra Zychowicza – podczas pierwszego panelu udział wzięli prof. Wojciech Roszkowski, prof. Bogdan Szlachta, Adam Hlebowicz oraz Rafał A. Ziemkiewicz.

Mit II wojny – dobra i zła – jest dla nas bardzo niebezpieczny, ponieważ my mieliśmy dwóch wrogów. A ten mit już tego nie przyjmuje…

– Trudno znaleźć bardziej doświadczony naród w XX w. niż Polacy. Szukamy wspólnego mianownika, by ująć wszystkie tragiczne doświadczenia naszego narodu – powiedział **PIOTR ZYCHOWICZ**, moderator pierwszego panelu. – Ormian mordowali Turcy, Żydów Niemcy, Ukraińców Sowieci, Tutsi mordowali Hutu, natomiast polskie doświadczenie jest bardzo złożone. Najpierw doszło do operacji polskiej NKWD, potem mordowali nas Niemcy, Sowieci, Litwini, m.in. w Ponarach, Ukraińcy, a następnie, już po wojnie, komuniści.

Jak miałby wyglądać ten wspólny mianownik dla całości polskich ofiar totalitaryzmów w XX w.?

– Stworzenie jednego takiego pojęcia jest rzeczą bardzo ważną. Być może to, co sugeruje redakcja „Do Rzeczy" – „hekatomba" – jest dobrym pomysłem. Jest to słowo greckie, mające konkretne konotacje, a jednocześnie nie jest ono wykorzystywane współcześnie w kontekście innych ofiar. Pojawiają się też inne pomysły, np. słowo „Polokaust". Uważam, że to niedobry pomysł. Powinniśmy unikać powtarzania słów, które mogą się kojarzyć z innym wydarzeniem – zauważył **ADAM HLEBOWICZ**, dyrektor Biura Edukacji Narodowej w IPN.

Jako drugi zabrał głos w dyskusji prof. **WOJCIECH ROSZKOWSKI**, zwracając uwagę, że część historyków nieprzychylnym okiem patrzy na prowadzenie przez państwo polityki pamięci, nazywając takie działania „propagandą". – Nie uciekajmy – my, historycy – od tego, że czasem potrzeba takiej wielkiej syntezy, jednego pojęcia, by opisać jakieś zjawisko. Często opieramy się w debacie wokół jednego symbolu czy pojęcia. Pojęcie „Holokaust" też jest wielkim uproszczeniem… Samo pojęcie hekatomby jest znakomicie wymyślone. Nie tylko dlatego, że nie jest dostatecznie wykorzystane w innych kontekstach. Nie jest „zajęte". Można je więc „zająć" i wypełnić naszą treścią – powiedział prof. Roszkowski.

Historyk podkreślił, że pojęcie to zakłada, iż polskie ofiary nie zostały poniesione przez naród w sposób bezsensowny, lecz w imię czegoś wyższego. – Nie powinniśmy podchodzić do ofiar, które ponieśliśmy w historii, jako bezsensownych, zmarnowanych i nikomu niepotrzebnych. Te ofiary nie zginęły bez sensu. Czy my właśnie z tego powodu, po tragicznych doświadczeniach XX w., poniósłszy tak gigantyczne ofiary, nie mamy tak skomplikowanej tożsamości? Widzę

eprasa.pl f5436f6b3a

potrzebę wytłumaczenia sobie i innym, co to znaczy dzisiaj być Polakiem w kontekście zarówno dążenia do wolności, jak i ponoszenia ofiar w imię wolności. Słowo „hekatomba" znakomicie do tego pasuje.

Jeżeli „polska hekatomba" jest właściwym terminem, który daje szanse na odwrócenie dominującej narracji międzynarodowej na temat historii Polski w czasie II wojny światowej, to jak powinny wyglądać kolejne kroki? – Chciałbym wystosować żądanie do państwa polskiego, by coś z tym zrobiło. Mamy organy państwowe, które biorą pieniądze za to, by prowadzić polską politykę pamięci. Możemy tu dojść do wniosku, że trzeba zacząć operować tym pojęciem przy każdej możliwej okazji – ja się zobowiązuję, że przy okazji wywiadów czy konferencji naukowych będę używał tego pojęcia – ale mamy przecież od tego państwo. To państwo powinno zacząć działać aktywnie na rzecz lansowania tego hasła – podkreślił prof. Wojciech Roszkowski.

Profesor **BOGDAN SZLACHTA**, filozof i prawnik, w swojej wypowiedzi nawiązał do problemów, które spotkały Polskę w związku z nowelizacją ustawy o IPN z 2018 r., mimo że w 2006 r. nie doszło do takich kontrowersji.

– Pojawia się wielość spojrzeń na to, co dotychczas wydawało się być niekwestionowane. Obok tej pluralności spojrzeń historyków – czy to akademickich, czy to nieakademickich – pojawia się do pewnego stopnia odrębny problem: wielość polityk historycznych forsowanych przez poszczególne państwa. Ta wielość spojrzeń czyni problematycznym apel o to, czy jesteśmy w stanie rozeznać rzeczywistość i ewentualnie, mówiąc o tym, że bronimy prawdy historycznej, występować przeciwko rozmaitym interpretacjom, czy też już tracimy tego rodzaju szansę. Z tego punktu widzenia patrząc, to nie dość, że poszczególni historycy mogą mieć różne opinie na temat poszczególnych wydarzeń, na „dokładkę" rozmaite narracje państwowe również mogą się rozmijać.

Czy można tak różne doświadczenia polskich ofiar z lat 1937–1953 zamknąć jedną definicją?

– Tylko czy my rzeczywiście musimy godzić się na to, by przedstawicieli narodu żydowskiego będących obywatelami Polski zestawiać krytycznie w tym kontekście z obywatelami Polski narodowości polskiej? Czy nie jesteśmy w stanie przemyśleć sprawy w taki sposób, by ująć to, co działo się w latach 1937–1953, jako problem dotykający przedstawicieli tego samego państwa? Chodzi o to, by pokazać, że problem dotyczył dwóch grup obywateli tego samego państwa. W ten sposób – do pewnego stopnia – uchyla się ten kapitalny i wciąż powtarzający się zarzut kolaboracji Polaków w Holokauście Żydów – zaznaczył prof. Bogdan Szlachta.

– Czy da się takie pojęcie jak „polska hekatomba" wprowadzić odgórnie? – dopytywał prowadzący dyskusję.

– Gdy rozmawiamy o historii, to nie mówimy tylko o poszukiwaniu faktów i prawdy, ale rozmawiamy także o mitologii. Mit II wojny światowej został po wojnie napisany świadomie jako mit założycielski obecnego porządku światowego. Pisany był on pod dyktando dwóch zwycięzców: USA i ZSRS. Ten mit nie był kwestionowany nawet w najgorętszym okresie zimnej wojnie. To było starcie dobra i zła. Wszyscy, którzy walczyli z Hitlerem, to dobro – wyjaśniał **RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ**.

– Jeżeli istnieje mit dobra i zła, to jest to dla nas bardzo niebezpieczne, ponieważ my mieliśmy dwóch wrogów. A ten mit już tego nie przyjmuje. Nie ma miejsca na trzecią stronę. Kiedy ten mit był pisany, nas nie było. W naszym imieniu mówili Sowieci, którzy wpisywali nas w narrację, że przed wojną Polska była właściwie krajem faszystowskim. Ostatni dopisali się do tej sowiecko-amerykańskiej narracji Żydzi w latach 70. Przecież przez całe lata 60. nie mówiło się o Holokauście! Dopiero w latach 70. Holokaust nagle stał się ważny. Co my możemy w tej sytuacji zrobić? Musimy zaatakować to, co jest podstawą tego mitu – powiedział Rafał A. Ziemkiewicz. – Nie możemy godzić się na mówienie, że II wojna światowa była starciem dobra i zła. II wojna światowa była procesem bardziej skomplikowanym: dwóch straszliwych bandytów podzieliło się światem. Jednak po dwóch latach okazało się, że Stalin gra nieczysto, i spółka się rozpadła. Co wtedy zrobił Stalin? Znalazł nowych sojuszników, którzy niejako przejęli udziały Hitlera. Zachód w 1941 r. wykupił ze spółki Ribbentrop-Mołotow udziały Ribbentropa. My byliśmy częścią tej transakcji. Jeżeli pozwalamy mówić, że to była walka wielkiego zła z wielkim dobrem, to na nas nie ma miejsca w tej narracji, choćbyśmy nie wiem jakie pieniądze na to wydawali. Nikt wtedy nie będzie wspominał o hekatombie Polaków. Częścią naszego obowiązku napisania mitu jest nie tylko stworzenie pojęcia, lecz także podkreślanie zdrady Zachodu. To nasz największy problem.

Dyskusja podczas I sesji konferencji. Z mikrofonem – prof. W. Roszkowski
FOT. BARTEK MOLGA

Publicysta „Do Rzeczy" wyjaśniał, że Polacy powinni przypominać o tym, jak Zachód biernie przyglądał się zagładzie Żydów. „To trzeba mu wypominać. Żydzi tego nie robią, bo to jest ich cena za wejście w mit. My nie mamy innego wyjścia, niż atakować ten mit po całości".

Rafał A. Ziemkiewicz uważa, że możliwe jest przeforsowanie tej narracji, ponieważ „dzisiejszy Zachód to zupełnie innych Zachód niż ten, który ten mit napisał. Zachód przyjmuje dziś winy za wszystko, więc może też przyjąć na siebie winę za to, co stało się z Polską w czasie wojny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

SESJA II:

Wojciech Wybranowski

Machina niemieckiego aparatu państwowego była nastawiona na pełne wyniszczenie Żydów i pomagającej jej ludności polskiej. Czy oskarżenia stawiane Polakom – bierności lub wręcz współudziału w Holokauście – mają jakiekolwiek podstawy? I wreszcie czy sami Żydzi zrobili wystarczająco dużo, by ratować swoich współbraci?

Bierność i posłuszeństwo. Czy Holokaust mógł mieć inną skalę

eprasa.pl f5436f6b3a

Kwiecień 1943 r., Niemcy wkraczają do walczącego getta warszawskiego

FOT. NATIONAL ARCHIVES AND RECORD ADMINISTRATION

W panelu tym udział wzięli: prof. Marek Jan Chodakiewicz (z filmu wideo); prof. Bogdan Musiał; Tadeusz Płużański; dr Ewa Kurek; dr Tomasz Sommer; dr Piotr Gontarczyk; Wojciech Wybranowski – moderator.

Zimą tego roku w Stanach Zjednoczonych i krajach Europy Zachodniej, a wczesną wiosną w Polsce, do księgarń trafia książka Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz". Szybko staje się światowym bestsellerem. Romantyczna i – jak twierdzi pisarka – autentyczna opowieść o miłości w czasach, gdy deptano ludzką godność – tatuażysty w Auschwitz Lalego Sokołowa oraz więźniarki Gity – wzruszała czytelników. Głosy historyków specjalizujących się w historii Holokaustu, że autorka naciągnęła lub przemilczała fakty, że wiele rzekomych zdarzeń nie miało miejsca, po prostu przemilczano. W tym i te całkowicie zakłamane fragmenty opowieści, w których autorka kreśli Polaków – mieszkańców Oświęcimia – jako tych, którzy ochoczo szli do pracy w obozie zagłady, a jeśli pomagali Żydom, to za pieniądze i kosztowności.

Notabene te kłamstwa, jak można było sądzić, były nie tyle wyrazem złej woli Morris Heather, ile po prostu brakiem wiedzy. W jednym z wywiadów „usprawiedliwiała" Polaków, mówiąc, że „przecież gdzieś musieli pracować". O nazistowskim przymusie pracy, o strefie wokół obozu, z której wysiedlono Polaków, o raporcie komendanta Auschwitz – Rudolfa Hoessa, który donosił swojemu przełożonemu Richardowi Glucksowi o fanatyzmie Polaków i ich „gotowości do każdej akcji przeciw esesmanom" – nowozelandzka pisarka nigdy nie słyszała.

POLSKA WINA CZY NIEWINNOŚĆ?

– Często padają na Zachodzie pytania: „Dlaczego Polacy nie pomogli Żydom?", „A jeśli pomagali, to czemu zrobili tak mało?". I wreszcie: „Czy skala Holokaustu mogła być inna?" – mówił prof. **BOGDAN MUSIAŁ**, historyk specjalizujący się w badaniu dziejów Niemiec, Polski i Rosji w XX w. – Jeżeli mamy odpowiedzieć na to pytanie, to trzeba przede wszystkim zacząć od niemieckiego państwa i niemieckiego rządu, który został wybrany demokratycznie, miał demokratyczną legitymację i był wspierany przez ogromną większość Niemców. Mówić o niesamowitej determinacji tych władz, tego rządu w zagładzie Żydów – dodawał historyk.

Profesor Musiał w swoich publikacjach, m.in. w wydanej niedawno książce „Kto dopomoże Żydowi", dotarł do niemieckich źródeł, aktów prawnych i opracowań z czasów II wojny światowej dotyczących eksterminacji Żydów i Polaków, którzy płacili życiem za pomoc swoim współobywatelom mojżeszowego wyznania. Podkreślał, że zarówno ludność cywilna, jak i Polskie Państwo Podziemne wobec tak zorganizowanej przez niemiecką administrację machiny zagłady ludności żydowskiej praktycznie mogły zrobić niewiele.

Z kolei prof. **MAREK CHODAKIEWICZ**, amerykański historyk polskiego pochodzenia, związany z The Institute of World Politics w Waszyngtonie, specjalizujący się w badaniu stosunków polsko-żydowskich, tematyki Holokaustu oraz historii Europy Środkowej i Wschodniej XIX–XX w., który na użytek konferencji przysłał kilkunastominutowe nagranie dotyczące polityki narodowościowej III Rzeszy, mówił w nim, że polityka narodowościowa III Rzeszy opierała się na ideologii narodowosocjalistycznej inspirowanej marksistowską walką klas i darwinowsko-spencerowską walką ras. Ideologia promowała bardzo ściśle określoną hierarchię, która pokazywała się na każdym kroku w polityce narodowościowej. Hierarchia dzieliła się na Aryjczyków oraz nie-Aryjczyków albo – ściślej – na lud panów i podludzi

– Polityka narodowościowa III Rzeszy wynikała z ideologii i okoliczności. Ogólnie polegała ona na narzucaniu zróżnicowanych obowiązków i wymagań na podbitych. Podbici mogli wyłącznie reagować na to, co robili Niemcy – podkreślał prof. Chodakiewicz.

Na bezwzględne niemieckie prawodawstwo, ściśle egzekwowane przez nazistowską administrację na terenach okupowanej Polski, zwracał uwagę także dr **PIOTR GONTARCZYK**, historyk IPN. – Trzeba pamiętać, debatując o całej sprawie, że mamy do czynienia z wiekiem XX, gdzie „głos ma towarzysz mauzer". Mamy bardzo brutalną okupację, gdzie z ludźmi, którzy chcieliby pomagać Żydom, postępuje się bezceremonialnie, Niemcy mordują całe rodziny, palą całe wsie, realizują zalecenia wydane przez niemieckie władze – mówił Gontarczyk. – Pada argument z drugiej strony, że jednak często tak nie było, że zdarzały się przypadki, iż zabijano Żydów, a chłopom, którzy ich ukrywali, darowano winę. No dobrze, ale to ci chłopi mieli czekać na to, co się wydarzy? W miarę rozpętania akcji Holokaustu Niemcy zobaczyli, że Polacy pomagają Żydom, więc niemiecka polityka wobec Polaków się zaostrzyła – puentował historyk.

W trakcie dyskusji, kóra się wywiązała podczas konferencji, dr Gontarczyk zwracał uwagę, że debatując i opisując zjawisko zagłady Żydów i wskazując na bardzo częste przypadki ratowania żydowskich współbraci przez Polaków, nie można, gwoli uczciwości i prawdy

eprasa.pl f5436f6b3a

Warszawa 1942 r., Żydzi na Umschlagplatz, skąd wywożono ich na śmierć
FOT. USHMM

historycznej, pomijać też przypadków szmalcownictwa i wydawania Żydów Niemcom, co – jak mówił – na wsiach się zdarzało.

– Trzeba też brać tradycyjną wrogość kulturową wobec Żydów, istnienie na wsi elementu totalnie zdemoralizowanego, taki element zawsze jest. Problem jest w tym, że Niemcy przewrócili nawet elementarny porządek rzeczy – mówił historyk. Przytoczył też wydarzenie, które rozegrało się w 1941 r. w jednej z białostockich wsi, gdzie ukrywano Polaka żydowskiego pochodzenia. O tym, że w chałupach, raz w jednej, raz w drugiej, ukrywa się Żyd, wiedziała niemal cała ludność wsi. Nikt jednak nie złożył doniesienia do niemieckich władz z wyjątkiem jednej osoby – mężczyzny, który przed wojną był wielokrotnie karany za rozmaite przestępstwa. We wsi uchodził za pospolitego rzezimieszka, ale odkąd do Polski weszli Niemcy, to on tam zaczął stanowić prawo. – Niemiecka okupacja spowodowała odwrócenie realiów, niemieckiego rzezimieszka bała się cała wieś, bo stało za nim niemieckie państwo – mówił Gontarczyk.

Na jeszcze inny aspekt, który mógł spowodować, że polska pomoc ludności żydowskiej nie mogła być jeszcze większa niż ta, której udzielono, zwracał uwagę dr **TOMASZ SOMMER**, redaktor naczelny „Najwyższego Czasu". – W Polsce nastąpiło totalne rozbrojenie społeczeństwa po 1939 r. Charakterystyczne jest rozporządzenie numer 1 ministra spraw wewnętrznych Sławoja Składkowskiego z 1 września 1939 r., w którym nakazał wszystkim ludziom mającym broń, a niebędącym żołnierzami zdać ją do określonych punktów. Potem Polska była najbardziej rozbrojonym krajem na świecie – mówił dr Sommer. – Czy Holokaust mógł być zbrodnią o mniejszej skali, jest funkcją tego, w jakim stopniu ludzie rozumieli sytuację i byli w stanie przeciwstawić się państwu – dodawał.

KŁAMSTWO, KŁAMSTWO, KŁAMSTWO

Wszyscy uczestniczący w panelu historycy zgodzili się, że coraz częstsze przypadki oskarżania Polaków o bierność lub zorganizowany współudział w zagładzie Żydów mają element wojny informacyjnej i są historycznym kłamstwem.

– Niestety, na Zachodzie panuje dogmat, że Polacy mogli pomóc i nie pomogli, a próby ścigania za mówienie o tym to chęć wybielania siebie za pomocą ustaw. Jeśli nie zrozumiemy, że na Zachodzie panuje takie przekonanie, to z nim nie wygramy – podkreślał prof. Bogdan Musiał.

Doktor Piotr Gontarczyk zauważył, że ta niechętna Polsce i obecna na Zachodzie „narracja holokaustowa" często, coraz częściej, jest inspirowana przez środowiska – również w Polsce – tu uczynił wyraźne nawiązanie do pełnej antypolskich manipulacji książki Barbary Engelking i prof. Jana Grabowskiego „Dalej jest noc", które dla swoich celów fałszują materiały historyczne, manipulują danymi czy wręcz kreują nieistniejące zdarzenia. Podawał też konkretne przykłady.

– W książce „Dalej jest noc" znajduje się opracowanie prof. Grabowskiego, który opisując powiat węgrowski, dosłownie pominął rolę, którą odgrywała żydowska policja, a miała ona pilnować Żydów, by nie wychodzili z gett. Zamienił to na polską policję i polską ludność, pisząc, że to Polacy pilnowali Żydów. Tymczasem w oryginalnych źródłach przewodniczący tamtejszego judenratu jest opisany jako osoba, która pierwszego dnia do pociągu wywożącego Żydów do obozu zagłady odprowadziła własną rodzinę, a następnie uczestniczyła w kolejnych wywózkach – mówił historyk. Dodawał też, że często spotyka się z nieprawdziwym przypisywaniem polskim, spędzonym przez

eprasa.pl f5436f6b3a

Niemców na miejsce zdarzenia świadkom zagłady Żydów udziału w mordzie poprzez „nieudzielenie pomocy".

Jak z rozpowszechnianiem podobnego antypolskiego mitu w świecie zachodnim walczyć? Zdaniem prof. Bogdana Musiała Polska musi „wejść do europejskiej narracji holokaustowej" i tak opisać hekatombę Polaków, by strona żydowska nie miała wrażenia, że jest to próba konfrontacji ofiar i licytowania się ich liczbą. – Polska ma szansę zmienić narrację, ale to musi być długa droga zaczęta od podstaw. Musimy pokazać, że jest jednym z elementów układanki, a nie jedyną ofiarą – twierdził naukowiec. I puentował: – Trzeba mówić, że Polacy nie brali udziału w Holokauście. W Norwegii Żydzi zostali wyłapani przez norweską policję. Podobnie na Węgrzech czy w Rumunii. I mówiąc o tym, nie używać słowa „naziści", a systematycznie słów „Niemcy" i „niemiecki". To Niemcy ten system zbudowali. To byli niemieccy urzędnicy, niemieccy funkcjonariusze.

Podobnie uważa też historyk i publicysta Tadeusz Płużański apelujący, by mówiąc o ludobójstwie podczas II wojny światowej, wskazywać jednak, że to Polacy stali się pierwszymi ofiarami Hitlera, a wyniszczenie narodu polskiego było wpisane w politykę narodowosocjalistyczną III Rzeszy. – Trzeba pamiętać o zbrodni pomorskiej, o tym, że obóz w Stuthoff utworzono już 2 września, o zbrodni w lasach piaśnickich, Palmirach, akcji przeciw polskiej inteligencji. Masowych zbrodniach Niemców na ludności polskiej. Holokaust Żydów przyszedł znacznie później – mówił Płużański.

BIERNOŚĆ CZY NIEMOC ŻYDÓW?

Sporo emocji, także wśród obserwujących w Internecie transmisję z konferencji komentatorów, i szczególnie nieprzychylne komentarze dziennikarzy „Gazety Wyborczej" wzbudziła część panelu, w której prelegenci dotknęli trudnego i często pomijanego przez historyków wątku bierności na Zagładę, a także kolaboracji z Niemcami wpływowych środowisk żydowskich. Historyk dr **EWA KUREK**, podając przykłady np. gett w Warszawie, Otwocku i Łodzi, wskazywała na kontrowersyjną rolę, którą odgrywali w nich funkcjonariusze Żydowskiej Służby Porządkowej w gettach i Żydowskiej Rady Starszych, czyli tzw. judenratów. Modelowym przykładem kolaboracji z Niemcami był np. Chaim Rumkowski, prezes Rady Starszeństwa Żydów w łódzkim getcie.

– Kwestię bierności i posłuszeństwa Żydów polskich wobec Niemców podzieliłabym na dwie kategorie. Z jednej strony bierność ta wynikała z postaw, które wytworzyły się przez stulecia mieszkania Żydów w diasporze, czyli np. zasada przez nich przyjęta: nie mieszać się w konflikty zbrojne krajów zamieszkania, a drugi powód to akceptacja totalna władzy – mówiła dr Ewa Kurek.

Historyk podkreślała też, że bardzo ważną, negatywną rolę, która przyczyniła się, jej zdaniem, do bierności Żydów wobec Zagłady ich współobywateli, odegrały kwestie historyczne. W tym kontekście przypomniała, że w 1920 r. działacz syjonistyczny Izaak Grünbaum – reprezentujący wówczas Związek Posłów Narodowości Żydowskiej – żądał od Polski przyznania Żydom mieszkającym w Polsce autonomii kulturalnej, socjalnej i politycznej. Władze II RP postulat uznały za groteskowy.

– Jeśli chcemy dobrze zrozumieć, czym były getta, to trzeba prześledzić, co pisał m.in. Adam Czerniaków (w latach 1939–1942 prezes warszawskiego judenratu). We wrześniu 1940 r. Czerniaków zapisał w swoim dzienniku, że Niemcy obiecali im niezależność i autonomię. Przychodzi maj 1941 r. i Czerniaków zapisuje: „Zostałem burmistrzem autonomii żydowskiej" – mówiła dr Ewa Kurek. Historyk dodała, że podobne deklaracje osób uznawanych w środowiskach żydowskich za autorytety były znane także w przypadku kilku innych gett, np. łódzkiego.

– Ważny aspekt to organizacje parapaństwowe stworzone przez Niemców z różnych grup żydowskich, które uczestniczyły w realizacji Holokaustu w dużej skali. Parapaństwowa organizacja żydowska realizowała wytyczne państwa niemieckiego, nie było sprzeciwu. Były organizacje, które dokonywały selekcji Żydów, którzy mieli być wywiezieni do obozów – zgadzał się dr Tomasz Sommer.

Inne stanowisko prezentował w tej kwestii prof. Bogdan Musiał, przekonujący, że Żydzi, podobnie jak Polacy, nie byli w stanie przeciwstawić się skutecznie zbrojnej machinie niemieckiej administracji państwowej, a oskarżanie ich o bierność wobec Holokaustu jest, jak mówił, nieuczciwe. – Nie można mówić, że Żydzi, że ich Rady Starszych zgadzali się i akceptowali niemieckie działania. Przecież zostały one wymuszone. Tak jak nie można twierdzić, jak to robi pani Engelking, że polscy sołtysi byli wolontariuszami Zagłady, tak nie można też mówić o judenratach. W obu przypadkach współpraca z Niemcami była wymuszona. I tak musimy to opowiadać – mówił prof. Musiał. – Jeśli postaramy się zrozumieć postawy i los Żydów, to będzie nam też łatwiej z nimi dyskutować.

Redaktor W. Wybranowski (stoi z mikrofonem) moderuje dyskusję podczas II panelu

FOT. BARTEK MOLGA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

SESJA III:

Mobilny banner wysłany do Niemiec z protestem przeciw kłamstwu oświęcimskiemu stacji ZDF FOT. ŁUKASZ KOBUS/FORUM

Polonofobia – źródła, przykłady, zasięg

eprasa.pl f5436f6b3a

Piotr Włoczyk

Jak zdefiniować polonofobię i jak najskuteczniej z nią walczyć? Na ten temat dyskutowali uczestnicy III panelu konferencji

W panelu tej sekcji wzięli udział: prof. Andrzej Nowak; Paweł Lisicki; Piotr Gursztyn; Leszek Żebrowski. Moderatorem dyskusji był Karol Gac.

– Wrogość do Polski ma historycznie bardzo głębokie korzenie. Sądzę, że można je uporządkować w dwóch kategoriach. Pierwsza to rywalizacja wynikająca z sąsiedztwa, zwłaszcza z silniejszymi niż Polska uczestnikami tej gry geopolitycznej o znaczenie, o wpływy – nie tylko polityczne, lecz także kulturowe – na kontynencie europejskim. W grę przede wszystkim będzie wchodziło tu sąsiedztwo niemieckie – powiedział prof. **ANDRZEJ NOWAK**, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Niemcy są niewątpliwie starszym i silniejszym sąsiadem od Polski. To sąsiedztwo niemieckie cechuje się w stosunku do Słowian poczuciem wyższości. Najzwięźlej określił to czeski kronikarz Kosmas w XII w., pisząc o „Innata germanica superbia", a więc o wrodzonej niemieckiej pysze. Pycha okazywana sąsiadom ze Wschodu jako tym gorszym, słabszym, późniejszym, których trzeba cywilizować.

Profesor Nowak zaznaczył, że choć Rosja również ma w tej dziedzinie wielkie „zasługi", to jednak szczególnie ważna w kształtowaniu polonofobii, pogardy wobec polskości, na przestrzeni dziejów jest właśnie rola Niemiec.

– Ta myśl uniwersalistyczna skrystalizowała się w oświeceniu, kiedy wypromowana została wizja Woltera. Chodziło o porządek, w ramach którego są nauczyciele na Zachodzie i krnąbrni uczniowie na Wschodzie. Myśl ta powstała na zamówienie wrogów Polski – Katarzyny Wielkiej i Fryderyka II. Chodziło o tożsamość katolicką Polaków, wymazanie Kościoła katolickiego jako źródła zła. Ta kalka myślowa istnieje do dziś – według niej Polacy nie potrafią rządzić we własnym kraju, są zbyt pogrążeni w tradycji, nie nadążają za postępem, więc trzeba się nimi zająć – powiedział prof. Nowak.

Jego zdaniem ostatnio jednak doszło w tym kontekście do sporych zmian. – To już nie jest metafora nauczyciel-uczeń, tylko terapeuta-pacjent. Mamy być wyleczeni z polskości. Myślę, że to jest nowy etap polonofobii: lęk przed „chorobą" polską – zaznaczył historyk.

Z opinią, że główne uderzenie ostrza polonofobii skierowane zostało celowo w Kościół katolicki w Polsce, zgodził się redaktor naczelny „Do Rzeczy" **PAWEŁ LISICKI**, rozwijając tę myśl.

– Bardzo celne w tej analizie jest wskazanie na rolę katolicyzmu jako jednego z głównych źródeł niechęci do polskości. Dlaczego tak jest? Potęga na zachód od Polski była zdominowana przez „oświecony protestantyzm" pruski. Element antykatolicki był niemal wbudowany w oficjalną ideologię Prus wilhelmińskich i bismarckowskich. Jednak można też powiedzieć, że ten sam typ niechęci panował po drugiej stronie, czyli tam, gdzie od czasów Katarzyny Wielkiej formowała swoją potęgę Rosja. Z przesłaniem Woltera, Diderota, że Polska staje się symbolem kraju niesfornego, który nie potrafi się rządzić, gdzie cały czas jest chaos. A przecież jeżeli jest ktoś, kto jest niesforny, to potrzebni są ludzie, którzy nad tym zapanują… – mówił red. Paweł Lisicki.

Redaktor naczelny „Do Rzeczy" przypomniał w kontekście polonofobii o coraz częściej padających zarzutach zachodnich historyków pod adresem Kościoła katolickiego w okupowanej Polsce.

– Timothy Snyder w książce „Czarna ziemia" wprost stawia tezę, że gdyby Polski Kościół katolicki w czasie II wojny światowej stanął na wysokości zadania, to napisałby list pasterski, w którym potępiłby działania niemieckie. Tymczasem każdy, kto ma minimalną wiedzę na temat skali okupacji niemieckiej w Polsce, zdaje sobie sprawę z kompletnego absurdu takiego pomysłu. Księża byli przecież zabijani jak właściwie żadna inna grupa społeczna w Polsce – podkreśla red. Paweł Lisicki.

Czym tłumaczyć pojawienie się takiego oskarżenia?

– Moim zdaniem nie da się tego uzasadnić brakiem wiedzy. W związku z tym w grę może wchodzić jedynie czynnik ideologiczny – chęć dostosowania się do tej części debaty o Polsce, która toczy się za granicą, i zwrócenie uwagi na to, że polski katolicyzm, który – będąc tak ważnym elementem polskiej tożsamości – drażni bardzo wielu ludzi – powiedział redaktor naczelny „Do Rzeczy".

Prowadzący dyskusję red. **KAROL GAC** z portalu Dorzeczy.pl dopytywał, jak udało się w ostatnich latach uczynić z Polski „chłopca do bicia" oraz jak powinniśmy formatować w debacie pojęcia, by najlepiej opisywały różne typy działań wymierzonych w Polskę.

– Powinniśmy odróżniać polonofobię i antypolonizm od zwykłych napięć międzyetnicznych. Przykładowo w relacjach niemiecko-polskich, polsko-rosyjskich oraz częściowo polsko-żydowskich występuje polonofobia. Natomiast nawet w stosunkach polsko-ukraińskich, litewsko-polskich oraz białorusko-polskich, wydaje mi się, mamy do czynienia z elementem wrogości etnicznej. Nie ma tu jednak fobii jako stałego kompleksu myślenia o sąsiedzie. Polonofobia jest systemowym zjawiskiem psychospołecznym. Na przykład w stosunkach polsko-ukraińskich wrogość była sinusoidą – była widoczna, a potem jej nie było. Z kolei nastawienie Niemców, nacechowane pewnym lekceważeniem, pogardą, i Rosjan, z wrogim dystansem do Polaków, są już zjawiskami stałymi – powiedział red. **PIOTR GURSZTYN** z TVP.

LESZEK ŻEBROWSKI, publicysta historyczny, autor wielu książek na temat polskiego podziemia niepodległościowego, wrócił w swojej wypowiedzi do zaproponowanego na konferencji terminu „polska hekatomba", który miałby obejmować całość polskich ofiar i cierpień w starciu z dwoma totalitaryzmami.

– Celem takich spotkań jak dziś jest uporządkowanie pojęć, znalezienie nowej kategorii, którą moglibyśmy określać to zjawisko. „Hekatomba" jest pojęciem zrozumiałym na tej sali, natomiast, gdybyśmy poszli na dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego i zrobilibyśmy ankietę wśród losowo wybranych stu osób, to przypuszczam, że 80 proc. z nich nie miałoby pojęcia, co to słowo znaczy. Wprowadzenie do obiegu nowego pojęcia wymagałoby kilkunastu lat systematycznego uczenia, na wszystkich poziomach edukacji, a także wprowadzenia go do kultury masowej – stwierdził Leszek Żebrowski.

– Środowiska, które propagują polonofobię, są zainteresowane tym, żeby obraz Polski był jak najgorszy. To jest przygotowanie do rzeczy, które są przed nami…

eprasa.pl f5436f6b3a

Dyskusja podczas III panelu. Z mikrofonem – red. Piotr Gursztyn FOT. BARTEK MOLGA

– powiedział publicysta. – Musimy pamiętać o polonofobii zewnętrznej, a także o wewnętrznej. Odpowiadają za nią określone media, a także instytucje finansowane z budżetu państwa, na które władze nie mają wpływu – m.in. muzeum Polin – podkreślił Leszek Żebrowski. I przypomniał historię opisaną przez prof. Normana Daviesa, która miała miejsce w 1974 r. w ambasadzie Izraela w Londynie. Według relacji prof. Daviesa izraelski historyk prof. Yehuda Bauer skrajnie stronniczo przedstawiał na spotkaniu z historykami dzieje Holokaustu, zarzucając Polakom in gremio, że „przyglądali się biernie" zagładzie Żydów.

„Rzadko się mówi o Niemcach kolektywnie, stereotypowo, jak o Polakach. W tym schemacie nie występowało słowo »Niemcy«. Byli hitlerowcy i kolaboranci, ofiary, ale wyłącznie Żydzi, i ci bierni, czyli Polacy" – wspominał to spotkanie prof. Davies w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną". Brytyjski historyk powiedział, że gdy zaprotestował przeciw takiemu przedstawianiu historii, został nazwany „polonofilem".

– To się stało inwektywą. Człowiek, który jest w miarę przyjaźnie nastawiony do Polski i nie chce brać udziału w szkalowaniu Polski, jest „polonofilem" – powiedział Leszek Żebrowski.

Profesor Andrzej Nowak wskazał na – jego zdaniem – główne źródła polonofobii w dzisiejszym świecie. – Chociaż oczywiście uznaję bardzo różne formy polonofobii, w tym np. litewską i ukraińską, to Litwini czy nawet Ukraińcy – liczniejsi, bardziej wpływowi – nie tworzą tego obrazu, który źle wygląda na świecie. Głównymi graczami na dzisiejszej globalnej scenie tworzenia bardzo złego wizerunku Polski są Amerykanie, w tym lobby żydowskie, a także niektóre kraje europejskie, takie jak Niemcy czy Francja, gdzie także lobby żydowskie oraz tradycja Woltera zajmują bardzo ważne miejsce. Jest to także Rosja, które ma narzędzia globalnego oddziaływania, choćby w postaci niezwykle popularnej telewizji Russia Today. W samych USA ma ona 15 mln stałych widzów – powiedział prof. Andrzej Nowak.

Jego zdaniem pomysł wypromowania określenia „polska hekatomba" nie okaże się sukcesem. Dlaczego? – Poziom współczesnej edukacji jest tak niski, że to pojęcie jest kompletnie nieczytelne dla dzisiejszego młodego odbiorcy. Obawiam się, że państwo polskie nie ma sposobu, żeby świat nauczyć pojęcia hekatomby. Tutaj pojawia się problem natury zasadniczej: Czy możemy w tym języku, który jest narzucony dyskursowi globalnemu, wykonać coś w rodzaju dywersji? Czy my możemy tej globalnej opowieści o historii narzucić nasz własny język – kontrjęzyk? Czy też będziemy próbowali wykonać w ramach tego istniejącego globalnego, „dozwolonego" języka swoistą dywersję? To jest najważniejszy strategiczny wybór, którego trzeba dokonać – powiedział prof. Andrzej Nowak.

I dodał: – Myślę, że jeżeli przyjmiemy pierwszy wariant, to kluczem do opowieści o polskiej historii jest słowo „niepodległość". Bardzo pięknie o tym mówił nieżyjący już Rosjanin Iosif Brodski, przyjaciel Polski, odbierając doktorat honorowy Uniwersytetu Śląskiego. Powiedział, że jeśli szuka definicji polskości, to ma to słowo w ustach. To słowo, które wykrzywia naszą twarz w grymasie niezgody: „niepodległość". „Nie" na początku jest bardzo wyraźnie zaznaczone. Tłumacząc to słowo na angielski, słowo „independence" jest słowem czytelnym na całym świecie. Bądźmy niezależni. Wzywajmy do niezależności. Od czego? Od Google, od Facebooka. Próbujmy zbuntować się przeciw tej machinie zniewolenia. To do części zbuntowanej może trafić. Do ludzi, którzy mają dość globalnego kłamstwa, globalnego aparatu poprawności politycznej, która coraz jawniej hamuje wolność myśli. Powołanie się na tradycje polskie – niepodległości, burzenia imperialnych struktur, które ginęły w polskiej „czarnej dziurze". Taka opowieść jest ważna – można rzucić swoje „nie", wykrzywić w grymasie sprzeciwu swoją twarz i zbuntować się przeciw systemowi ogólnego zniewolenia, który przybiera dziś inną postać niż w czasach Hitlera i Stalina, ale zniewala myśl jeszcze „lepiej" niż w tamtych czasach.

Zdaniem prof. Nowaka alternatywą jest zaakceptowanie globalnego języka opowieści o historii, czyli próba „rozciągnięcia" pojęcia „Holokaust" również na Polaków. Według historyka skuteczniejszym rozwiązaniem jest jednak skupianie się na przedstawianiu Polaków jako narodu, który gotów jest oddać wszystko dla niepodległości.

Na koniec w polemikę z Leszkiem Żebrowskim, który stwierdził, że pojęcie hekatomby jest zbyt mało zrozumiałe, wszedł redaktor Paweł Lisicki.

– Gdybyśmy w latach 60. zrobili ankietę na uniwersytecie w Princeton i zapytali studentów, czym jest Holokaust, to nikt by tego nie wiedział. Skuteczność polityki państwa połączona z działalnością medialną i ze świadomą wolą narodu, by zająć się tak ważnym tematem, pokazuje, że można zmienić na masową skalę mentalność człowieka. Zdaję sobie sprawę, że nie jesteśmy Izraelem i nie mamy takich wpływów. W związku z tym wprowadzenie do światowego obiegu pojęcia opisującego osobno zbrodnie na Polakach będzie trudne i będzie trwało dłużej, ale wydaje mi się, że gra jest warta świeczki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

SESJA IV:

Śp. Karol Tendera (na pierwszym planie) i mec. Lech Obara podczas procesu przeciw ZDF FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

Prawo i polska pamięć

Piotr Włoczyk

Czy prawo wystarczająco broni polską pamięć? Na to pytanie starali się znaleźć odpowiedź uczestnicy ostatniego panelu, czyli IV sesji konferencji „Polska hekatomba i walka z polonofobią"

Uczestnikami panelu byli: prof. Maciej Szymanowski, mec. Lech Obara, red. Grzegorz Górny, mec. Jerzy Kwaśniewski, moderator – red. Paweł Lisicki.

– Pierwsza i oczywista odpowiedź na tak zadane pytanie jest prosta: zapewne prawo niezbyt wystarczająco broni polskiej pamięci. Mówił zresztą o tym na samym początku konferencji minister Zbigniew Ziobro, opowiadając, skąd się wziął pomysł nowelizacji ustawy o IPN, i przypominając wszystko to, co się działo później od początku 2018 r. Wszyscy pamiętamy tę półroczną dyskusję – powiedział moderator panelu red. **PAWEŁ LISICKI**. – Jak wiadomo, rząd się ostatecznie wycofał z tego projektu nowelizacji w pierwotnym kształcie, usuwając te elementy, które budziły największy opór. Czy to wycofanie oznacza, że żadne dodatkowe formy ochrony nie są tu potrzebne? Nie chodzi tylko o prawo, lecz także o sposoby, które pozawalają ludziom reagować na jawne fałszowanie historii Polski. Czy nie są tu potrzebne jakieś nowe rozwiązania i nowe sposoby działania? – pytał redaktor naczelny „Do Rzeczy".

Jako pierwszy głos zabrał mec. **JERZY KWAŚNIEWSKI** z Ordo Iuris. – Pamiętam, że w 2017 r., kiedy nowelizacja ustawy o IPN była dopiero omawiana, członkowie International Association of Genocide Scholars [IAGS – Międzynarodowe Zrzeszenie Badaczy Zbrodni Ludobójstwa – przyp. red.] szykowali stanowisko przeciwko polskiemu rządowi. Stanowisko to stwierdzało wprost: Polska jest biernym obserwatorem Holokaustu, ponoszącym współodpowiedzialność za zbrodnie, i jako taka nie może wprowadzać norm prawnych o charakterze lokalnym – krajowym – czyli nowelizacji ustawy o IPN,

eprasa.pl f5436f6b3a

które prowadziłyby de facto do zakłamania historii i do postawienia systemu prawa karnego po stronie fałszywej wersji historii – powiedział mec. Kwaśniewski.

– Przesłaliśmy wówczas do kierownictwa IAGS ekspertyzę Ordo Iuris na temat nowelizacji ustawy o IPN. Jako członek tego stowarzyszenia rozmawiałem z dyrektorami z IAGS i okazało się, że nie mieli oni elementarnej wiedzy na temat historii koegzystencji Polaków i Żydów w II Rzeczypospolitej. Nie mieli oni jakiejkolwiek wiedzy na temat tego, jak wyglądało funkcjonowanie społeczności żydowskiej w Polsce, nie mieli żadnej wiedzy na temat historii wojennej kooperacji partyzantek, prób chronienia społeczności żydowskiej czy o karach śmierci za podanie kromki chleba. Naświetlenie tych podstawowych faktów doprowadziło do tego, że takie stanowisko przeciwko polskiemu rządowi nigdy nie zostało wysłane. Oczywiście nie udało się ich [członków stowarzyszenia IAGS – przyp. red.] przekonać do tego, żeby poparli ten projekt [nowelizacji ustawy o IPN – przyp. red.], żeby stwierdzili rzeczy oczywiste, jak choćby to, że w Izraelu, Austrii, Niemczech, we Francji i w bardzo wielu innych krajach istnieją normy, które zakazują kłamstwa o sprawstwie Holokaustu.

„INWESTYCJA" W ANTYPOLONIZM

Jak podkreślał ekspert z Ordo Iuris, celowe pogarszanie na arenie międzynarodowej obrazu Polski w okresie II wojny światowej może zrodzić bardzo niebezpieczne dla naszego kraju skutki prawne, a w konsekwencji również finansowe. Mecenas Kwaśniewski wyjaśnił, jak wygląda jego zdaniem realizacja tej strategii przez zainteresowane podmioty zagraniczne.

– Profesor Karol Wolfke, wybitny polski specjalista, który zajmował się prawem zwyczajowym międzynarodowym, mówił, że międzynarodowa norma prawa zwyczajowego powstaje, gdy pewna praktyka w przestrzeni międzynarodowej dojrzewa do tego stopnia, by uznać, że albo poprzez bezpośrednią zgodę, albo poprzez bierne wyrażenie zgody została zaakceptowana przez wszystkie zainteresowane państwa. Zaczynamy zatem badać, na ile pewne wnioski z twierdzenia, że istnieje polski współudział w zbrodni Holokaustu, powinny prowadzić w przestrzeni międzynarodowej do zgodnego uznania, że – przykładowo – Polska powinna zadośćuczynić lub współzadośćuczynić za tę zbrodnię – tłumaczył mec. Jerzy Kwaśniewski. – Następnie zaczynamy badać, czy istnieją dowody na to, że w przestrzeni międzynarodowej w ostatnich latach nie tylko powstała legenda o polskim współsprawstwie, nie tylko powstało poczucie słuszności, iż być może należy zająć stanowisko na poziomie organizacji takich jak IAGS, które mogą wymagać, by Polska ukorzyła się wobec ofiar Holokaustu, lecz także być może istnieją przesłanki ku temu, by stwierdzić, że właściwie od Polski można już żądać pewnych świadczeń…

Redaktor Paweł Lisicki moderujący dyskusję podczas IV sesji konferencji FOT. BARTEK MOLGA

Mecenas Kwaśniewski przywołał na koniec temat deklaracji terezińskiej, o której głośno zrobiło się w ostatnim czasie z powodu uchwalenia przez amerykański Kongres ustawy 447.

– Jak wiemy, 10 lat temu w czeskiej Pradze odbyła się konferencja „Holocaust Era Assets Conference", zakończona deklaracją terezińską. W konferencji uczestniczył sekretarz stanu polskiego MSZ, opisany w dokumentach z konferencji jako przedstawiciel polskiego premiera ds. dialogu międzynarodowego – Władysław Bartoszewski. Oczywiście nie mówił on tam nic na temat zobowiązań Polski do spłaty jakichkolwiek roszczeń, ale jednak uczestniczył w konferencji, w której wnioskach – deklaracji terezińskiej – zawarto wzmianki o tym, że są pewne należności, których można żądać – powiedział mec. Kwaśniewski.

– Jeżeli mówimy o polonofobii i antypolonizmie, to rozumiemy te zjawiska przede wszystkim jako bardzo konkretny – dzisiaj obecny – prąd: chodzi o przypisanie Polakom współsprawstwa i czerpania korzyści ze zbrodni Holokaustu. Musimy mieć świadomość, że to prowadzi do bardzo konkretnych wniosków w przestrzeni bardzo konkretnych korzyści, które mogą uzyskać ci, którzy na razie inwestują w taką narrację. Skupianie się na polonofobii i antypolonizmie często w naszych rozmowach sprowadza się głównie do spraw kultury, publicystyki, tworzenia filmów, ale to wszystko ma zdecydowanie dalej idące skutki – ocenił mec. Jerzy Kwaśniewski z Ordo Iuris.

Jako drugi głos w dyskusji zabrał mec. **LECH OBARA**, który od wielu lat zajmuje się obroną dobrego wizerunku Polski przed sądami. Mecenas Obara zapewniał opiekę prawną m.in. Karolowi Tenderze, więźniowi hitlerowskich obozów koncentracyjnych, który wytoczył proces niemieckiej stacji telewizyjnej ZDF za użycie frazy „polskie obozy zagłady".

– Traktuję środki prawne jako subsydiarne, uzupełniające wobec wszelkich innych środków służących walce z antypolonizmem i kłamstwami historycznymi, które powinny zarówno podejmować służby dyplomatyczne, jak i dyplomacja publiczna, a więc organizacje społeczne. Fraza „polskie obozy śmierci" wdrukowywana jest w świadomość odbiorców, budując fałszywy

eprasa.pl f5436f6b3a

obraz Polski uczestniczącej w zbrodniach popełnionych podczas II wojny światowej – powiedział mec. Lech Obara. I zwrócił uwagę, że prowadzona na wielu poziomach akcja przeciwdziałania fałszowaniu polskiej historii przynosi wymierne skutki – w 2015 r. polskie służby dyplomatyczne protestowały w 177 takich przypadkach. W 2018 r. liczba ta zmniejszyła się o niemal jedną trzecią. Mecenas Obara ocenił, że procesy wytoczone przez stowarzyszenie Patria Nostra gigantom medialnym, w tym m.in. Axel Springer, zmieniły sytuację na lepsze.

– Teraz już nie spotykamy tak często w tymże koncernie tego rodzaju określeń. Jest to powód do optymizmu: połączenie różnych narzędzi może przynieść sukces – podkreślił mec. Lech Obara.

SIŁA SPRAWCZA

W dalszej części dyskusji red. Paweł Lisicki dopytywał o to, jak walczyć z fałszywymi opiniami na temat postawy Polaków w czasie II wojny światowej, które nie są aż tak jawnie kłamliwe i łatwe do weryfikacji jak fraza „polskie obozy śmierci". – Jak z tą resztą fałszywych opinii walczyć, bo prawo tutaj chyba nie wystarczy? – pytał redaktor naczelny „Do Rzeczy".

– Rzeczywiście, prawo tutaj nie wystarczy i myślę, że z punktu widzenia naszej dyskusji kluczowe jest pojęcie „siły sprawczej państwa". Prawo jest jednym z instrumentów, którymi państwo dysponuje, ale nie jest jedynym i nie jest najważniejszym. Państwo ma wiele instrumentów, żeby tę sprawczość wymusić – powiedział red. **GRZEGORZ GÓRNY**. I przywołał swoje własne doświadczenie z tym, jak polskie instytucje realizowały politykę pamięci. Gdy bowiem dekadę temu zaczął pisać książkę o Polakach ratujących Żydów, zwrócił się o pomoc do instytucji państwowych. Jak wspominał red. Górny, urzędnicy odpowiadali mu, że pomogą ze sfinansowaniem projektu pod warunkiem jednak, że oprócz sprawiedliwych w książce tyle samo miejsca poświęcone zostanie... szmalcownikom.

– W efekcie książka wyszła tylko dlatego, że skrzyknęło się kilku polskich przedsiębiorców i menedżerów. Każdy dał po ok. 10 tys. zł i tym sposobem bogato ilustrowana książka ukazała się na rynku. Tłumaczenie na język angielski sfinansował z kolei właściciel kutra rybackiego – powiedział red. Grzegorz Górny. I dodał: – Kiedy dużo później wybuchł kryzys wokół wypowiedzi premiera Morawieckiego i szef rządu zabrał dziennikarzy zagranicznych do Markowej [mieści się tam Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II Wojny Światowej im. Rodziny Ulmów – przyp. red.], to jedyną anglojęzyczną książką, którą mógł im pokazać na ten temat, była właśnie ta publikacja.

– To, że jesteśmy oskarżani o antysemityzm, szmalcownictwo, grabież pożydowskiego mienia, współsprawstwo Holokaustu, nie jest kwestią zaniedbania. To jest ciężka praca wielu osób przez kilkadziesiąt lat. Ta siła sprawcza państwa pracowała w zupełnie innym kierunku – podkreślił red. Grzegorz Górny. I dodał: – Dopiero miesiąc temu powstała pierwsza instytucja dyplomacji historycznej poza granicami Polski. Myślę o berlińskiej filii Instytutu Pileckiego, która powstała sto metrów od Bramy Brandenburskiej. Trzeba było czekać prawie 30 lat od upadku komunizmu, żeby taka instytucja powstała. Mało tego, okazuje się, że trzeba cały czas zmieniać prawo, ponieważ nie było do tej pory uregulowań, które umożliwiałyby działalność takich instytucji za granicą. Przykładowo, instytut nie może sprzedawać wydawnictw, ponieważ prawo na to nie pozwala. Jak on więc ma docierać do odbiorców, jeżeli nie może prowadzić księgarni, sprzedawać płyt itd.? To pokazuje, że jest bardzo wiele do zrobienia. Jeżeli mówimy o sile sprawczej państwa, to wydaje mi się, że nie ma opracowanej żadnej strategii państwa w tej dziedzinie. Należałoby powołać pewien zespół, przedstawić diagnozę sytuacji, ustalić plan działania i z determinacją go realizować. Niestety, niczego takiego nie ma. Przeciwnik tymczasem jest bardzo poważny. Kościół katolicki jest sprawniejszą instytucją niż państwo polskie, a jednak udało się do Piusa XII przylepić łatkę współpracownika Hitlera i do dziś to działa. Kościół katolicki nie jest w stanie tego zwalczyć…

„SIŁY SZYBKIEGO REAGOWANIA"

Redaktor Grzegorz Górny stwierdził, że jeżeli uda się trwale przykleić do Polaków miano sprawców, a nie ofiar II wojny światowej, to Polska znajdzie się na przegranej pozycji w dwóch kwestiach.

– Po pierwsze: jeżeli chodzi o odszkodowania wojenne od Niemców. Trudno, żeby odszkodowań wymagał ktoś, kto jest sprawcą, a nie ofiarą. Druga sprawa: zwrot pieniędzy za mienie bezspadkowe dla strony żydowskiej. Działa tu ten sam argument. Tym bardziej państwo polskie powinno być na to uczulone i powinno stworzyć „siły szybkiego reagowania" w tych kwestiach.

– Dlaczego jednak tak niewiele się dzieje w tych sprawach? – pytał red. Paweł Lisicki prof. **MACIEJA SZYMANOWSKIEGO**, dyrektora Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. Profesor Szymanowski stwierdził, że od 2015 r. widać w tym kontekście duże zmiany, m.in. działalność Instytutu Pileckiego oraz wspólną deklarację premierów Polski i Izraela z 2018 r. Przywołał w swojej wypowiedzi również inny przykład: konferencji z 2004 r. zorganizowanej przez Fundację Batorego, gdzie forsowano tezę, że państwu nie wolno prowadzić polityki historycznej.

– Myślę, że wspomniana już zmiana ustawy o IPN nie przydarzy nam się ponownie, ponieważ wiemy już, iż nie możemy puścić „czołgów", jeżeli nie mamy „piechoty" – skwitował prof. Szymanowski.

Jakich narzędzi powinno używać w takim razie państwo polskie, by forsować na arenie międzynarodowej prawdę o historii Polski w czasie ostatniej wojny?

– Jeżeli Republika Federalna Niemiec może przyznawać rocznie 200 stypendiów dla doktorantów i doktorów na uniwersytetach amerykańskich, którzy zajmują się historią Niemiec i Europy Środkowej, to nie widzę powodu, by Polska nie mogła sfinansować przynajmniej 100 analogicznych stypendiów w USA i stu dalszych w Niemczech – powiedział prof. Szymanowski. Dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka przypomniał też o inicjatywie przedstawionej przez premiera Mateusza Morawieckiego, którą jego zdaniem koniecznie należy zrealizować.

– Polska powinna mieć drzewko Sprawiedliwych jako naród. Nie widzę powodu, dla którego Duńczycy mają takie drzewko jako naród, a Polacy mają tylko indywidualne drzewka – powiedział prof. Szymanowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

W Europie tak mocne sceny jeszcze nie są codziennością (na zdjęciu: przepychanka w parlamencie w Turcji), ale przejawów braku uprzejmości nie trzeba długo szukać

FOT. DEPO PHOTOS/ZUMA PRESS/FORUM

Parlamentarny cyrk

Teresa Stylińska

Z obyczajami jest niestety tak jak z pieniędzmi – gorsze wypierają lepsze. Nawet we wzorowym parlamencie brytyjskim sprawy ostatnio zmieniają się bardzo na niekorzyść

W londyńskim domu aukcyjnym Sotheby's sprzedano niedawno, za ogromną sumę 9,9 mln funtów, obraz Banksy'ego, słynnego mistrza street artu. Malowidło, zatytułowane „Devolved Parliament", przedstawia brytyjską Izbę Gmin. W sali obrad, jedynej takiej na świecie, w ławach zasiadają deputowani. Nie są to jednak panowie w garniturach i panie ubrane według zasad dress code'u, tylko małpy. Zwaliste, ciemne szympansy z uwagą słuchają wystąpienia mówcy.

Politycy chyba nigdzie już nie mają dobrej reputacji. Jednak żeby aż tak? Przygotowania do brexitu istotnie stanowią doskonałą ilustrację chaosu i zamętu na scenie politycznej. To istny cyrk, zresztą nie tylko po stronie Londynu. Tyle że obraz powstał w 2009 r., parę lat przed pamiętnym referendum – najlepszy dowód, jak imponującą intuicją wykazał się artysta.

Styl uprawiania polityki jest faktycznie coraz gorszy. Gdy we wrześniu z inicjatywy premiera Borisa Johnsona zawieszono prace parlamentu (ta decyzja została później uchylona przez sąd), przeciwni temu deputowani urządzili zbiorowe śpiewy w sali obrad. Jak gdyby zapatrzyli się na polskich posłów i ich popisy wokalne sprzed trzech lat. Na plus należy Brytyjczykom zapisać, że śpiewali pieśni szkockie i walijskie, hymny partyjne i poważne utwory, a nie idiotyczne przeróbki piosenek. No i w Izbie Gmin ciągle jest nie do pomyślenia, by deputowany – zainspirowany postępkiem posła Szczerby? – zwrócił się do spikera słowami: „Panie spikerze kochany". Zuchwalec nie uniknąłby kary. Za mniejsze przewiny grozi przecież wykluczenie z obrad.

NOWI LUDZIE, NOWE OBYCZAJE

Gdzie na skali obyczajów parlamentarnych sytuuje się polski Sejm? Jak się wydaje, gdzieś w połowie drogi między parlamentami, gdzie dobre obyczaje są generalnie respektowane (Skandynawia, USA, Wielka Brytania, Niemcy), a tymi, w których spory legislacyjne rozstrzyga się nawet przy użyciu pięści (Ukraina, Turcja, Indie, Tajwan). Poseł Szczerba zwrócił się do marszałka niestosownie, ale jednak nie próbował go szarpać ani sam nie został ściągnięty z mównicy przez rozjuszonych przeciwników. Idealnie jednak nie jest. Wwożenie ludzi w bagażniku, odmowa opuszczenia mównicy, krzyki i inwektywy – to nie są zachowania budujące.

Czy parlament może być wyznacznikiem dobrych obyczajów? Oczywiście, że tak. Nie przypadkiem w potocznym użyciu jest określenie „język nieparlamentarny" – taki, którego w dobrym towarzystwie używać nie wypada. W parlamentach zasiadali niegdyś ludzie o odpowiednim statusie społecznym i adekwatnych do tego manierach. Demokracja siłą rzeczy ten gorset rozluźniła. W nowych czasach w ławach zasiedli nowi ludzie, a wraz z nimi nadciągnęły nowy styl, nowy język, nowe obyczaje. Swoje dołożyły media – bo z parlamentarzystą nieodpowiednio się zachowującym jest dokładnie tak jak z rozrabiającym w klasie uczniem: wszyscy patrzą tylko na niego. A przecież dobrze jest być widocznym.

Jeszcze inny rozdział otworzyły kraje, które demokrację parlamentarną zafundowały sobie stosunkowo niedawno. Dyskusje dyskusjami, ale argumentację słowną dobrze jest poprzeć mocnym

eprasa.pl f5436f6b3a

argumentem fizycznym. W rezultacie widownia telewizyjna od czasu do czasu ma okazję podziwiać panów w garniturach, którzy okładają się pięściami, kopią, ciągną za włosy, a czasem nawet nacierają na przeciwników z nogami od krzeseł czy innymi fragmentami wyposażenia izby.

W Europie mocne sceny zdarzają się chyba tylko w pełnym krewkich deputowanych parlamencie Włoch. Jednak całkiem niedaleko, w parlamencie w Kijowie, bójki są na porządku dziennym. Podobnie w Turcji, gdzie szczególnie gorąco bywało przez ostatnie trzy lata, gdy parlament pracował nad kontrowersyjnymi przepisami, zwiększającymi kompetencje prezydenta. Jednak i dawniej, gdy na czele rządu stała Tansu Çiller, zdarzyło się, że oponenci ściągnęli panią premier z mównicy, bezceremonialnie szarpiąc ją za żakiet. W Japonii, gdy parlament dyskutował o możliwości wysyłania żołnierzy w misjach za granicę, przeciwnicy ustawy utworzyli prawdziwą ludzką wieżę, by prowadzącemu obrady móc wyrwać mikrofon. A w Tajpej, stolicy Tajwanu, bijatyka w parlamencie jest, według BBC, niemalże codziennością.

„SZCZUR" NIEDOZWOLONY

Wygląda więc na to, że z obyczajami jest niestety tak jak z pieniądzem – gorsze wypierają lepsze. Nawet we wzorowym parlamencie brytyjskim sprawy ostatnio zmieniają się bardzo na niekorzyść. A przecież parlament ten, z szacunkiem nazywany „matką wszystkich parlamentów", już choćby z racji swego wieku i doświadczeń zawsze stanowił dla innych punkt odniesienia i wzór. Przez stulecia w Londynie wytworzono zasady postępowania, które służą sprawnemu prowadzeniu obrad i załatwianiu spraw, przy jednoczesnym ujmowaniu różnic zdań, sporów, konfliktów – oczywistych czy wręcz koniecznych – w cywilizowane ramy.

Od kilkunastu lat członkowie Izby Gmin z początkiem kadencji otrzymują broszurkę, w której przypominane są zasady zachowania na forum izby. Są one dobrze znane, ale przypomnienie nie zawadzi, by deputowani mieli świadomość, czego naprawdę robić im nie wolno. Nie wolno np. fotografować ani nikogo nagrywać. Nie wolno podawać w wątpliwość dobrych intencji innych deputowanych, zarzucać im hipokryzji czy ich obrażać. Na sporządzonej liście określeń obraźliwych figurują takie słowa jak „kłamca", „chłystek", „tchórz" czy „szczur". Gdy ktoś się zapomni, spiker zażąda wycofania słów i przeproszenia osoby obrażonej. Odmowa jest karana natychmiastowym wykluczeniem z obrad.

Pyskówki, jak się zdaje, skutecznie hamuje to, że brytyjscy deputowani nie mogą zwracać się do siebie bezpośrednio. To bardzo utrudnia obrzucanie się błotem. Adresatem wystąpień jest tylko spiker. Obowiązują ścisłe zasady: nie wymienia się nazwisk deputowanych, lecz okręgi, które reprezentują – nie „pan Smith", lecz „deputowany z Bristolu East", poprzedzając je słowem „honourable" (szanowny). Jest więc „mój szanowny przyjaciel", gdy mowa o koledze partyjnym, lub „szanowny deputowany z okręgu X", gdy reprezentuje on inną partię. Elegancka forma semantyczna z pewnością nie pozostaje bez wpływu na styl pracy w Izbie Gmin.

ZŁY PRZYKŁAD Z GÓRY

Skoro zasady są tak jasne, to skąd biorą się narzekania na pogorszenie obyczajów parlamentarnych? Czy deputowani mimo wszystko je lekceważą? Wielu obwinia Johna Bercowa, spikera Izby Gmin, który kierował nią bardzo długo, bo aż 10 lat (właśnie ustąpił ze stanowiska, ale bez związku z ogłoszonymi przedterminowymi wyborami), zyskując opinię najbardziej wpływowego przewodniczącego izby ostatnich kilkudziesięciu lat. Niestety, zdaniem wielu, wpływ ten niekoniecznie był dobry i pożądany.

Bercow uchybiał przede wszystkim świętej zasadzie bezstronności spikera, który nie powinien włączać się w bieżące spory ani nawet ujawniać, co i kogo popiera. W dodatku pozwalał sobie na pomiatanie przeciwnikami – a także współpracownikami, którzy otwarcie zarzucali mu mobbing (oskarżenie wniesione przez jednego z nich załatwiono polubownie) – w sposób nie tylko nieparlamentarny, lecz także wręcz chamski i wulgarny. Andreę Leadsom, która w Partii Konserwatywnej była odpowiedzialna za kontakty z parlamentem, nazwał np. „głupią babą". Najbardziej krytykowano go za naklejkę, którą umieścił na szybie swego samochodu: „Pie...ić brexit, nic nie jest przesądzone".

W normalnych warunkach takie zachowanie mogłoby Bercowowi mocno zaszkodzić, ale zmagania z brexitem to warunki nienormalne, pozwalające przymykać oczy na zasady. Bercow, zdeklarowany tzw. remainer, czyli zwolennik pozostania w Unii Europejskiej, stał się guru i nadzieją obozu proeuropejskiego, który w związku z tym był skłonny wiele mu wybaczyć – nawet jeśli otwarcie przyznawano, że postępowanie spikera bywa bardzo naganne.

Warunki brexitowe i zły przykład z góry sprawiły także, że w Izbie Gmin pojawiły się nieparlamentarne słowa i równie nieparlamentarne, bo niesłuszne, zarzuty. Boris Johnson musiał sięgnąć do zapisów dyskusji, by udowodnić, że – wbrew temu, co imputowali mu przeciwnicy – żadnego z nich nigdy nie nazwał zdrajcą.

NAGANNIE W IMIĘ SPRAWY

Na marginesie wszystkich tych wydarzeń, a także tego, jak przebiegają obrady w innych parlamentach, padają pytania, jak daleko można się posunąć w polityce w ogóle, a w parlamencie w szczególności. I do czego to prowadzi? Nawet do tragedii, jak uważa dziennik „Guardian", przypominając wydarzenie, które w 1856 r. miało miejsce w amerykańskim Senacie: Preston Brooks, senator z Południa, dotkliwie obił laską Charlesa Sumnera, senatora z Północy. „Kilka lat później Amerykanie będą zabijać Amerykanów" – pisze dziennik, sugerując, że konfliktów w parlamencie i konfliktów w społeczeństwie nie da się od siebie oddzielić.

Inne pytanie dotyczy tego, czy przejawy braku uprzejmości albo wręcz agresja w parlamencie mogą mieć sens. Oczywiście nie dla uczestników życia publicznego – na to nie ma reguły: jedni ochoczo wyżywają się na uczestnikach życia publicznego, inni odczuwają niesmak i frustrację – lecz dla obywateli. Wbrew wszelkim przewidywaniom eksperci dostrzegają tu pewne plusy. „Część badaczy uważa, że należy wręcz zachęcać do prowadzenia bardzo gorących dyskusji, bo to ułatwi wyborcom angażowanie się w sprawy polityki, wyrabianie sobie opinii i włączanie się w procesy polityczne" – pisała na portalu The Conversation Amy Irwin, psycholog z uniwersytetu w Aberdeen.

Starcie w parlamencie może więc świadczyć, że deputowani wierzą w to, co robią, i są gotowi bronić swych przekonań nie tylko słowem, lecz także czynem, nawet nagannym. Jeśli deputowany jest gotów rzucić się na przeciwnika, to znaczy, że sprawa, o którą walczy, jest dla niego ważna. Jednak czy takiej rady chcielibyśmy udzielić posłom u progu nowego Sejmu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

Klimatyczne bojówki

Protest ekoaktywistów Extinction Rebellion na nowojorskim Times Square FOT. PACIFIC PRESS/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Piotr Włoczyk

Swoimi protestami paraliżują życie w największych miastach. Domagają się ogłoszenia „klimatycznego stanu wyjątkowego" i wprowadzenia „ekologicznej sprawiedliwości". Klimatyczne bojówki na Zachodzie twierdzą, że w celu realizacji ich postulatów mogą łamać prawo

W Nowym Jorku oblegali redakcję „New York Timesa" i wspinali się po elewacji budynku, domagając się od gazety, by jej dziennikarze zamiast o „zmianach klimatycznych" pisali o „klimatycznym stanie wyjątkowym". W Berlinie przykuli się do siedziby kanclerz Angeli Merkel, paraliżując prace niemieckiego rządu. Równie spektakularnie miało być w Paryżu, gdzie klimatyczni demonstranci zablokowali na pewien czas jeden z głównych mostów stolicy. Nie docenili jednak francuskiej policji, która zepchnęła ich z mostu za pomocą doskonale sprawdzonych metod: tarcz i gazu pieprzowego. W Londynie w zeszłym miesiącu nawet policja nie była potrzebna, aby zakończyć protest na jednej ze stacji kolejowych. Protestujący wspięli się na dach pociągu z ekotransparentem, ale już po 10 minutach rozsierdzeni podróżni sami ściągnęli ich siłą na peron, a także poturbowali ich kamerzystę, który dokumentował spektakl. – Nikt nie powinien się tak zachowywać, niezależnie od celu, jaki mu przyświeca. To przekroczenie wszelkich granic, a poza tym ci ludzie mogli przy tym zginąć – kręciła głową jedna z pasażerek, zagadnięta przez telewizję Sky News.

Za wszystkimi tymi protestami stoją aktywiści Extinction Rebellion („Rebelia przeciw Wymieraniu", w skrócie XR). Organizacja ta gra pierwsze skrzypce w coraz bardziej dynamicznie rozwijającym się na Zachodzie ruchu skrajnych organizacji proklimatycznych, które za cel stawiają sobie przymuszenie rządów i społeczeństw do natychmiastowej realizacji kompletnie utopijnych pomysłów na walkę z ocieplaniem klimatu. Ich realizacja wywróciłaby do góry nogami nasze dotychczasowe życie. XR domaga się m.in., by do 2025 r. (sic!) nasze społeczeństwa osiągnęły „zeroemisyjność" (netto) CO_2.

„Potrzebne byłyby do tego bardzo ostre restrykcje w lataniu samolotami. Ludzka dieta musiałaby zostać zmieniona, szczególnie drastycznie musiałyby zostać ograniczone mięso i nabiał. Ponadto musiałby nastąpić olbrzymi wzrost w pozyskiwaniu energii odnawialnej, a także wiele innych radykalnych zmian" – podsumowało strategię XR BBC, które trudno podejrzewać o dystans wobec „zielonych" idei.

SAMOLOTY-ZABÓJCY

Poza błyskawiczną „zeroemisyjnością" członkowie XR domagają się też ustanowienia „zgromadzenia obywatelskiego", które będzie nadzorowało odchodzenie od CO_2. Zgromadzenie ma się składać z „losowo" wybranych obywateli, ponieważ jego skład ma odpowiadać przekrojowi społecznemu. Czyli kompletnie przypadkowi ludzie mieliby nadzorować proces radykalnej rewolucji społecznej...

XR to międzynarodowy ruch, który nie ma jednego kierownictwa. Poszczególne oddziały krajowe to bardzo luźno zorganizowane komórki, które szczycą się tym, że zarządzane są kolektywnie. Ruch powstał w zeszłym roku w Wielkiej Brytanii, gdzie też działa najprężniej. Jak czytamy na stronie polskiego oddziału XR, jednym z głównych postulatów, które łączą to środowisko, jest wiara, że „działalność ludzi jest przyczyną szóstego, największego wymierania w historii planety". XR nie jest więc organizacją proekologiczną, jakich wiele. To grupa ludzi, którzy twierdzą, że nadciąga wielkie wymieranie, więc środki, których należy używać w celu przeciwdziałania tej apokalipsie, muszą być adekwatne.

Do tej pory największym sukcesem XR jest zmuszenie wiosną tego roku brytyjskiego parlamentu do ogłoszenia na terenie całego kraju „klimatycznego stanu wyjątkowego". Doszło do tego przy okazji gigantycznych protestów, które na niemal dwa tygodnie sparaliżowały brytyjską stolicę. W ich trakcie Londyn odwiedziła Greta Thunberg, słynna szwedzka nastolatka, ogłoszona przez lewicę „klimatyczną prorokinią", która pomogła rozkręcić działalność XR. Chociaż samo uchwalenie przez Izbę Gmin „klimatycznego stanu wyjątkowego" nie pociąga za sobą żadnych konkretnych zobowiązań, to tamtejsza lewica – na czele z Jeremym Corbynem – widzi w tym przełomowy moment walki o „zieloną przyszłość". Nawiasem mówiąc, liderowi największej brytyjskiej partii opozycyjnej zupełnie nie przeszkadza konfrontacyjna strategia XR, skoro twierdzi, że takie działania „edukują nas wszystkich".

XR jest bardzo popularne wśród tamtejszej młodzieży (według sondażu Yougov 47 proc. Brytyjczyków w wieku 18–24 lata

eprasa.pl f5436f6b3a

popiera radykalne metody tej organizacji), ale wygląda na to, że starsi Brytyjczycy mają powoli dosyć takiego ekstremizmu. Protesty robią się bowiem coraz bardziej absurdalne. Podczas przeprowadzonej miesiąc temu akcji blokowania lotniska London City, poza zwyczajowym zatarasowaniem wejść na lotnisko, jeden z aktywistów XR wspiął się na samolot i położył się nad kabiną pilotów, uniemożliwiając przez dłuższy czas start (sektor przewozów lotniczych, z racji dużej emisji CO_2, to jeden z największych wrogów XR).

Trudno się więc dziwić, że w końcu londyńska policja zakazała XR organizowania protestów w stolicy – jako powód podano właśnie zagrożenie bezpieczeństwa. Nie trzeba było długo czekać, żeby zareagowała na to Greta Thunberg, mająca wśród członków XR status półbogini. „Jeżeli sprzeciwianie się klimatycznej i ekologicznej katastrofie, a także opowiadanie się po stronie ludzkości jest niezgodne z prawem, to w takim razie to prawo musi być łamane" – napisała nastolatka na swoim Instagramie. Nawiasem mówiąc, taka opinia na temat prawa nie jest niczym zaskakującym w tym kontekście. Brytyjscy działacze XR od początku bronią działań jawnie łamiących prawo, na co zwróciło zresztą uwagę BBC, takich jak choćby wybijanie szyb, twierdząc, że czasem takie akcje są po prostu konieczne w dziele ratowania klimatu.

WAKACYJNY SKANDAL

Wszystko to sprawia, że działalność XR stała się nie do przyjęcia dla brytyjskiej prawicy. „Nie ma co owijać w bawełnę. »Ekoprotesty« prowadzone przez Extinction Rebellion, planującą zamknąć ruch na Heathrow, o ile jej szaleńcze postulaty nie zostaną spełnione, grożą ekonomicznym terroryzmem. Ci ludzie planują puszczanie dronów nad lotniskiem, jeżeli projekt budowy trzeciego pasa na Heathrow nie zostanie zarzucony. To czysty szantaż" – napisał Tom Welsh, komentator „Daily Telegraph".

Strategię XR popiera szerokie grono brytyjskich celebrytów i aktorów, m.in. Emma Thompson i znany z roli Sherlocka Holmesa Benedict Cumberbatch (choć nie przeszkadza mu przy tym reklamowanie koncernów motoryzacyjnych), a także znane zespoły muzyczne: Radiohead i Massive Attack. W radykalnie zielonym wizerunku tej organizacji pojawiła się jednak ostatnio dużo skaza. Trudno nie widzieć tu podobieństw do historii, która przydarzyła się Ryszardowi Petru. Jak bowiem ujawniły niedawno brytyjskie media, Gail Bradbrook, jedna z najważniejszych twarzy XR, współzałożycielka tego ruchu, mimo że oficjalnie podczas protestów w najcięższych słowach potępia podróże lotnicze, sama wybrała się samolotem do Kostaryki do luksusowego ośrodka New Life Iboga. Miejsce to jest rajem dla wszelkiej maści wyznawców New Age (pobyt w nim kosztuje ok. 2,5 tys. funtów tygodniowo). Dziennikarze skrupulatnie wyliczyli, że jej podróż na trasie liczącej w sumie 18 tys. km kosztowała planetę dodatkowe 2,6 t CO_2. Bradbrook stała się oczywiście obiektem niezliczonych kpin, nie tylko zresztą na brytyjskiej prawicy.

Polski oddział XR nie ma na razie takich „sukcesów" jak jego zagraniczne odpowiedniki. Wobec braku sił (a może bardziej chodzi tu o obawę o reakcję społeczeństwa?) blokowanie centrów miast czy lotnisk nie wchodzi na razie w grę. Polscy obrońcy klimatu spod znaku XR ograniczają się więc do skromnych performance'ów w rodzaju organizowania „pogrzebów" naszej planety.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. ADOBE STOCK

SKASOWANE OJCOSTWO

W przyszłym roku we Francji ma wejść w życie prawo, które pozwoli na korzystanie z zabiegów in vitro lesbijkom. Na nic zdały się protesty, że dzieci mają jakieś prawo do tego, by mieć ojca. Eksperci już twierdzą, że nowe prawo trzeba będzie jeszcze unowocześnić. Bo jeśli pozwoli na in vitro lesbijkom, to jednocześnie będzie to faworyzowanie homoseksualnych kobiet wobec homoseksualnych mężczyzn (dyskryminacja ze względu na płeć) oraz par transpłciowych. W nowym francuskim prawie pozostanie zapis, że dziecko będzie mogło poznać dawcę nasienia, a dawca nasienia będzie miał zapewniony wgląd w informację o tym, ile dzieci „spłodził".

JAK NORWEGIA WALCZY Z CO_2

Norwegowie mają najwięcej samochodów elektrycznych, bo państwo mocno je dotuje. Duński minister ds. klimatu postanowił obnażyć tę walkę o emisję CO_2. Wskazał, że Norwegowie mogą dopłacać do elektrycznych samochodów, bo mają na to pieniądze... z wydobycia ropy naftowej. Zauważył też, że Norwegowie osiągną cel „zerowej emisji CO_2" do roku 2030 tylko dlatego, że zakupią prawa do emisji za granicą.

PROTESTANCI WSPIERAJĄ HOMOŚLUBY

Podczas zgromadzenia w Bernie Federacja Szwajcarskich Kościołów Protestanckich wydała oficjalne oświadczenie, w którym wsparła „małżeństwa" osób tej samej płci. Szwajcarscy protestanci podkreślili, że skoro część osób jest homoseksualna, to przecież Bóg chciał, żeby tak było. Nie będzie wprawdzie oficjalnych „ślubów" kościelnych dla takich osób, ale szwajcarscy postępowi duchowni chcą, żeby pastorzy mieli dowolność w decydowaniu, czy takim osobom urządzać ceremonie religijne.

GRETA I JEJ TOALETA

Nastolatka, która zamiast chodzić do szkoły, jeździ po świecie, by upominać rządy w sprawie zmiany klimatu, wyruszyła w kolejną podróż. Greta Thunberg popłynie z USA do Europy katamaranem. 15-metrowa jednostka – w odróżnieniu od jachtu, którym wcześniej Szwedka przybyła do Stanów Zjednoczonych – ma toaletę. Urządzenia na katamaranie zasilane są z paneli fotowoltaicznych i wodnych generatorów energii. Katamaran Grecie udostępniła para Australijczyków. Wydatki na podróż zapewni rząd Hiszpanii.

PLAŻE PEŁNE KOKAINY

W południowo-zachodniej Francji Ocean Atlantycki od jakiegoś czasu wyrzuca na brzeg paczki z kokainą. Od początku października żandarmeria zebrała już z plaż blisko 800 kg narkotyku wartego w sumie ok. 26 mln euro. Narkotyk musiał wypaść ze statku przemytników. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Który trybunał się bał i boi?

Odwlekanie przez Trybunał Konstytucyjny pod kierownictwem Julii Przyłębskiej wyroku w sprawie wniosku grupy parlamentarzystów, dotyczącego aborcji eugenicznej, trudno interpretować inaczej niż jako działanie w imię interesu partii, dzięki której pani Przyłębska w TK zasiada. Odwlekanie trwało tak długo, że wniosek przepadł.

To TK pod kierownictwem Rzeplińskiego stwierdził, iż lekarska klauzula sumienia jest zgodna z konstytucją

Jeśli – jak twierdzą niektórzy – dopiero ten trybunał jest taki, jak być powinien, to jaki był TK pod kierownictwem prof. Andrzeja Zolla (1993–1997)? Bo to on orzekł pod koniec przewodnictwa prof. Zolla, w 1997 r., na korzyść ochrony życia.

W sprawie kunktatorstwa TK Przyłębskiej głos zabrał abp Stanisław Gądecki. Przewodniczący Konferencji Episkopatu mówi w oględny sposób o „smutku", ale rzecz można nazwać śmielej: TK, którego większość sędziów i prezes pochodzą już z nominacji PiS, postawił partyjną korzyść ponad kwestię ochrony życia.

Jeżeli dodać do tego katastrofalne statystyki TK pod obecnym kierownictwem i nie odbudowanie, ale całkowity już upadek jego autorytetu – można sobie postawić pytanie: W czym właściwie trybunał Przyłębskiej jest lepszy od trybunału Rzeplińskiego?

Warto przypomnieć, że w 2015 r. to TK pod kierownictwem Rzeplińskiego i z nim w składzie orzekającym stwierdził, iż lekarska klauzula sumienia jest zgodna z konstytucją. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

esprit

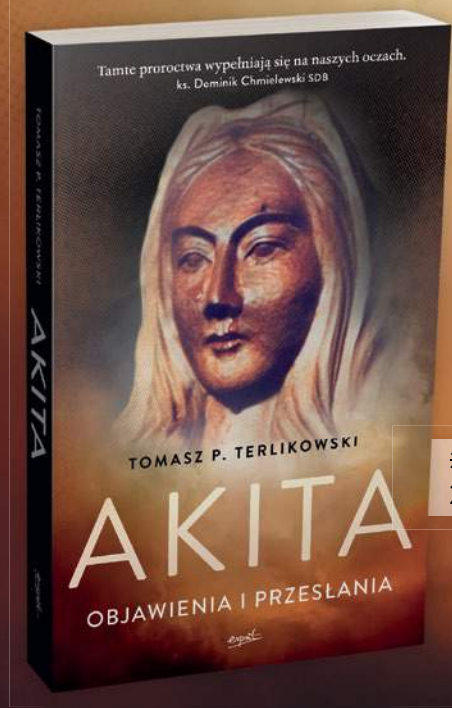

NOWA KSIĄŻKA TOMASZA P. TERLIKOWSKIEGO

Kryzys Kościoła, prześladowania, spory biskupów i wizja czasów ostatecznych...

Przed czym ostrzegała nas Matka Boża w Akicie?

~~29,90 zł~~
24,90 zł

Te proroctwa dzieją się na naszych oczach.
ks. Dominik Chmielewski SDB

ABBY JOHNSON MIAŁA MILCZEĆ.

Ta książka miała się nie ukazać.

~~32,90 zł~~
26,90 zł

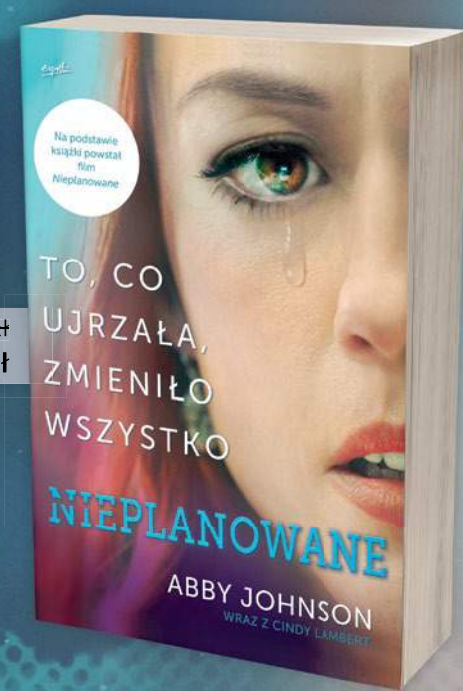

Była dyrektor kliniki aborcyjnej ujawnia wstrząsającą prawdę o przemyśle aborcyjnym.

Film na podstawie książki w kinach

Zamów książki na esprit.com.pl lub telefonicznie: 12 267 05 69.
Przy zamówieniu powyżej 70 zł – przesyłka gratis!

zł zł

Przy zamówieniu internetowym oferujemy promocję: zaloguj się, kupuj i zbieraj złotówki na kolejne zakupy. Sprawdź!

eprasa.pl f5436f6b3a

Wojna na żądanie

Jacek Przybylski

Na rynku płatnych platform wideo na żądanie robi się coraz tłoczniej. 1 listopada do walki o swój udział w torcie VOD przystąpiła Apple TV+. 12 listopada na podbój wartego miliardy rynku ruszył zaś Disney+

Ten debiut poruszył zarówno spragnionych zysków akcjonariuszy największych spółek medialnych na Wall Street, jak i zagorzałych fanów sagi „Star Wars", Królewny Śnieżki, Avengersów czy Simpsonów. 12 listopada w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Holandii ruszył serwis streamingowy Disney+. Jeden z najgroźniejszych konkurentów Netflixa oferuje swoim klientom 500 filmów pełnometrażowych oraz ponad 7,5 tys. odcinków seriali różnych gatunków. Do 2025 r. oferta ma zaś obejmować 620 filmów oraz ponad 10 tys. godzin seriali. Treści podzielone są na bloki tematyczne. Użytkownicy mają więc dostęp do galaktyki treści Star Wars, opowieści o superbohaterach Marvela, bajek i animacji Disneya oraz studia Pixar, a także produkcji National Geographic.

W Holandii miesięczny abonament kosztuje 6,99 euro (ok. 30 zł), a roczny 69,99 euro. W USA cena wynosi tylko 6,99 dol. (równowartość ok. 27 zł) miesięcznie lub 69,99 dol. rocznie. Firma oferuje też specjalny pakiet łączący ofertę Disney+ z ofertą sportową platformy ESPN+ oraz popularnym w USA serwisem Hulu (ma niemal 30 mln subskrybentów, a większość udziałów

eprasa.pl f5436f6b3a

FOT. ADOBE STOCK

w firmie ma Disney) za 12,99 dol. miesięcznie. Dzięki temu Disney może zaoferować treści niemal dla każdej grupy widzów.

NIE TYLKO DLA DZIECI

Wprawdzie w pierwszych dniach działania Disney+ padł ofiarą udanego debiutu – popularność usługi tak bardzo zaskoczyła nadawcę, że wielu użytkowników skarżyło się na poważne kłopoty techniczne – ale tego typu problemy miał również na początku swej działalności najpotężniejszy obecnie Netflix, który ma już na całym świecie ponad 158 mln płacących użytkowników. Na 19 listopada debiut platformy Disney+ zaplanowano już w Australii, w Nowej Zelandii oraz w Puerto Rico. Na razie nie wiadomo, kiedy Disney+ będzie dostępny w Polsce. Być może stanie się to już 31 marca 2020 r., czyli wtedy, gdy nowy serwis streamingowy zacznie być dostępny w wybranych krajach Europy Zachodniej (m.in. w Wielkiej Brytanii, Irlandii, Niemczech, Hiszpanii, we Francji, Włoszech i w Portugalii). Możliwe jednak, że będziemy musieli poczekać dłużej – oficjalnie do większości państw świata Disney+ ma dotrzeć do 2021 r.

Szefowie Disneya zapowiedzieli akcjonariuszom, że do 2024 r. zamierzają zdobyć od 60 do 90 mln płatnych subskrybentów. Zdaniem wielu analityków Wall Street cel ten jest jak najbardziej do osiągnięcia. Do końca obecnego roku Disney+ powinno mieć ok. 8 mln abonentów, a do końca przyszłego roku aż 18 mln osób. Do 2025 r. – według prognoz firmy Digital TV Research – Disney+ ma stać się trzecią pod względem wielkości globalną platformą VOD.

Inwestorzy zacierają więc ręce i marzą o szybkim wzroście kursu. W końcu cena akcji Netflixa – który jeszcze w 1998 r. rozsyłał swoim klientom filmy na DVD – dzięki popularnej platformie streamingowej od 2003 r. do 2019 r. wzrosła z niecałego dolara do 292 dol. za sztukę. Gigantyczny sukces Netflixa może jednak nie być taki łatwy do powtórzenia. Na rynku robi się coraz tłoczniej: 1 listopada 2019 r. rękawicę najpotężniejszym graczom z tego rynku rzucił amerykański koncern Apple, nad nowymi ofertami VOD (wideo na żądanie) pracują zawzięcie także WarnerMedia (tworzący serwis HBO Max) i NBCUniversal (pracujący nad platformą Peacock). Oba serwisy mają zadebiutować w pierwszej połowie przyszłego roku.

DLA KOGO APPLE TV+?

1 listopada 2019 r. gigant z Cupertino uruchomił jednocześnie w 100 krajach świata (w tym w Polsce) platformę Apple TV+. Serwis wspierany jest przez takie gwiazdy jak Jennifer Aniston, Steven Spielberg czy Oprah Winfrey.

Oferta dostępnych produkcji jest jednak – w porównaniu nie tylko z Netflixem, lecz także z mniejszymi konkurentami – wyjątkowo uboga. W bibliotece dostępnych jest niewiele pozycji stworzonych specjalnie dla Apple TV+ (są to np. takie seriale jak „The Morning Show", „Dickinson", „See" czy „For All Mankind").

Zaletą jest jednak jakość strumieniowanych materiałów 4K, która – według testów przeprowadzonych przez Rasmusa Larsena, założyciela serwisu FlatpanelsHD – jest lepsza nawet niż w Netflixie. Każdy ma dostęp do siedmiodniowego okresu próbnego. Apple przygotował też ofertę specjalną dla osób, które po 10 września kupiły nowy produkt tej firmy. W tej promocji nowi posiadacze iPhone'ów, iPadów czy MacBooków mogą za darmo oglądać materiały z serwisu aż przez rok. I to zapewne klienci tej firmy będą stanowić główną grupę widzów Apple TV+. Standardowa cena miesięcznego abonamentu wynosi bowiem 24,99 zł, czyli bardzo dużo jak na to, co oferuje obecnie amerykański koncern.

CO JEST W POLSCE? I ZA ILE?

Nad Wisłą dostępnych jest już kilka serwisów streamingowych największych światowych gigantów, takich jak Netflix, HBO GO czy Amazon Prime Video, które umożliwiają oglądanie najnowszych filmów i seriali na telewizorach smart, smartfonach, komputerach lub tabletach bez konieczności podpisywania długoterminowych umów.

Obecnie największą biblioteką dostępnych materiałów może pochwalić się Netflix. Potężną kolekcję filmów i seriali, w tym także polskich produkcji, można oglądać w ramach jednego z trzech rodzajów abonamentu. Plan podstawowy, dający dostęp do treści w jakości SD i tylko na jednym ekranie kosztuje 34 zł. Za standard, który umożliwia oglądanie treści w jakości HD na dwóch ekranach jednocześnie, trzeba już zapłacić 43 zł. Plan Premium kosztuje 52 zł miesięcznie – w zamian treści dostępne w jakości HD i Ultra HD można oglądać na czterech ekranach jednocześnie.

Od marca Netflix zaczął dyskryminować Polaków i – w przeciwieństwie do innych rynków – nie oferuje już możliwości bezpłatnego sprawdzenia swej oferty. Filmy i seriale można pobierać na urządzenia z systemami iOS i Android i oglądać je w trybie offline.

Subskrypcja HBO GO kosztuje 24,90 zł miesięcznie. Darmowy okres próbny wynosi siedem dni. Podobnie jak Netflix serwis ten jest już dostępny dla każdego, niezależnie od tego, czy mamy w kablówce wykupiony dostęp do tradycyjnego HBO

eprasa.pl f5436f6b3a

czy też nie. Serwis oferuje ponad tysiąc filmów i seriali w polskiej wersji językowej, w tym takich produkcji jak „Czarnobyl", „Gra o tron", „Wataha" czy „Westworld". Na jednym koncie można mieć zarejestrowanych maksymalnie pięć urządzeń, ale w tym samym czasie treści można oglądać maksymalnie na dwóch ekranach.

Materiały na platformie HBO GO są dostępne w jakości od 720 p do Full HD. Właściciele nowoczesnych telewizorów 4K (nie mówiąc już o 8K) mogą być więc zawiedzeni. HBO wraz z Warner Bros. pracuje już nad uruchomieniem w USA w maju przyszłego roku dużo bardziej rozbudowanej platformy streamingowej pod nazwą HBO Max, która za 14,99 dol. miesięcznie będzie oferować użytkownikom aż 10 tys. godzin treści (w tym być może w rozdzielczości 4K).

W języku polskim dostępna jest już też oferta serwisu Prime Video, stworzonego przez amerykańską firmę Amazon.

Nowym klientom w Polsce udostępniony jest siedmiodniowy bezpłatny okres próbny. Następnie przez pierwsze pół roku cena wynosi 2,99 euro (równowartość ok. 13 zł) miesięcznie, po czym wzrasta do 5,99 euro (ok. 26 zł). Podobnie jak we wcześniej omawianych serwisach z usługi można zrezygnować w dowolnym momencie. Dostępnych jest ponad tysiąc filmów i seriali (z czego kilkadziesiąt w jakości 4K). Treści można oglądać jednocześnie maksymalnie na trzech urządzeniach. Filmy i seriale można pobierać na urządzenia z systemami iOS i Android i oglądać je w trybie offline.

POŻEGNANIE Z KABLÓWKĄ?

Zdaniem analityków serwisu eMarketer w tym roku już 182,5 mln osób w Stanach Zjednoczonych będzie oglądało treści w zamian za płatny abonament. To oznacza, że możliwość oglądania treści Netflixa, Hulu czy Amazon Prime Video będzie miało 55,3 proc. amerykańskiej populacji. Z analiz amerykańskich medioznawców wynika jednak, że większość rodzin w USA jest gotowa płacić za streaming treści maksymalnie 50 dol. miesięcznie i wolałaby ograniczyć liczbę platform do trzech. W Wielkiej Brytanii – według najnowszych danych Enders Analysis – przeciętne gospodarstwo domowe ma wykupione średnio ok. 1,5 subskrypcji (Netflixa ma 11,6 mln subskrybentów, a Prime Video 5,8 mln).

Prognozy rozwoju rynku są bardzo optymistyczne. Firma Digital TV Research szacuje, że liczba abonentów płatnych serwisów VOD na świecie w ciągu najbliższych pięciu lat podwoi się i w 2024 r. osiągnie poziom 970 mln. 45 proc. rynku mają mieć wówczas Netflix (23 proc.), Amazon Prime Video (13 proc.), Disney+ (9 proc.) oraz Apple TV+ (1 proc.). 30 proc. globalnego rynku zajmą według tej prognozy Chińczycy, w których kraju nie jest dostępny żaden z największych globalnych graczy.

Przychody Netflixa mają według prognoz Digital TV Research podwoić się z 15 mld dol. w roku 2018 r. do 35 mld dol. w 2024 r. Prognozowane przychody serwisu Disney+ w 2024 r. osiągną poziom 7,4 mld dol., a Amazon Prime Video 6 mld dol.

Wart wiele miliardów dolarów rynek streamingu skłania gigantów do wojny nie tylko o udział w tym torcie, lecz także do zwykłej walki o przetrwanie. Wzrost zainteresowania usługami video on demand wypiera bowiem regularny model telewizji, a zwłaszcza płatnej telewizji. W USA widać również wyraźny trend spadkowy dotyczący kablówek. Wielu klientów woli bowiem dokupić dostęp do kolejnej platformy streamingowej, a w zamian rezygnuje z tradycyjnej oferty sieci kablowych i satelitarnych. Również w Polsce – według raportu Digital TV Research – operatorzy sieci kablowych będą w najbliższych latach tracić klientów. Szybki rozwój serwisów VOD jest również główną przyczyną śmierci płyt DVD (wartość ich sprzedaży spadła w USA z ponad 16,3 mld dol. w 2005 r. do 2,2 mld dol. w roku 2018) oraz spadku popularności płyt Blu-Ray.

Rewolucyjne zmiany w sposobie korzystania z mediów sprawiły, że Disney – który przez lata zbudował imperium składające się nie tylko z rekordowo chętnie oglądanych produkcji, lecz także z parków rozrywki i różnych stacji telewizyjnych i którego przychody w roku fiskalnym 2018/2019 wzrosły mniej więcej o jedną piątą – wychodzi poza swój lukratywny kawałek medialnego świata. Streamingowa wojna wymusza z kolei ogromne inwestycje. Inwestycja w przyszłość koncernu Disneya będzie oznaczać m.in. spadek zysków. Zysk netto za zeszły rok fiskalny już okazał się wyraźnie niższy niż rok wcześniej: z 2,3 mld spadł do 785 mln dol. Disney na rozwój serwisu streamingowego przeznaczył już ok. 2,5 mld dol. I to mimo posiadania ogromnej biblioteki znanych filmów i seriali.

Według informatorów dziennika „Financial Times" firma Apple na autorskie produkcje do swojego serwisu wydała już ponad 6 mld dol. Amazon na produkcję oryginalnych treści tylko w 2017 r. wydał 5 mld dol., a od tego czasu systematycznie zwiększa budżet na ten cel. Z kolei Netflix – który w ostatnich miesiącach robi, co tylko może, aby rozszerzyć ofertę dla dzieci i dla rodzin – tylko za licencję na emisję wciąż niezwykle popularnego serialu „Przyjaciele" miał zapłacić w tym roku wytwórni Warner Bros. aż 100 mln dol. Wśród najchętniej oglądanych tytułów na tej platformie wciąż tylko niewielką część stanowią oryginalne produkcje Netflixa. Serwis z roku na rok coraz więcej inwestuje więc we własne treści: w 2018 r. wydał na nie 12 mld dol., w tym roku szacunki mówią o 15 mld dol., a prognozy na rok przyszły mówią już o ponad 20 mld dol. Netflix musi wydawać krocie, bo jeśli wszystkie hollywoodzkie studia stworzą już własne platformy streamingowe i wycofają swoje produkcje z konkurencyjnych serwisów, to dla Netflixa mogłoby to oznaczać poważne tarapaty.

Wojna zagranicznych serwisów z pewnością dotrze również do Polski. Wątpliwe jednak, aby mocno uderzyła w lokalne platformy streamingowe, których przewagą jest duża ilość polskich treści. Bardziej prawdopodobne, że Netflix straci część polskiego rynku na rzecz np. Disney+. Mimo to pomysł wspólnej budowy platformy streamingowej ogłosili pod koniec października przedstawiciele Discovery (właściciela TVN oraz serwisu Player.pl) oraz Polsatu (właściciela platformy ipla.tv). Do gry o widza w przyszłości może dołączyć także MyCanal, zwłaszcza jeśli połączy siły z Apple TV+.

Wyłonienie zwycięzców zajmie zapewne wiele lat. Wielu widzów do kanałów z telewizji naziemnej będzie dobierała kolejne serwisy VOD i przechodziła z platformy na platformę. Ostatecznie wygranymi streamingowych wojen okażą się zapewne twórcy i właściciele najpopularniejszych treści, a w kość dostaną ci, którzy chcieliby być tylko pośrednikami w ich dystrybucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

Wypróbuj modele **premium z Rentis**

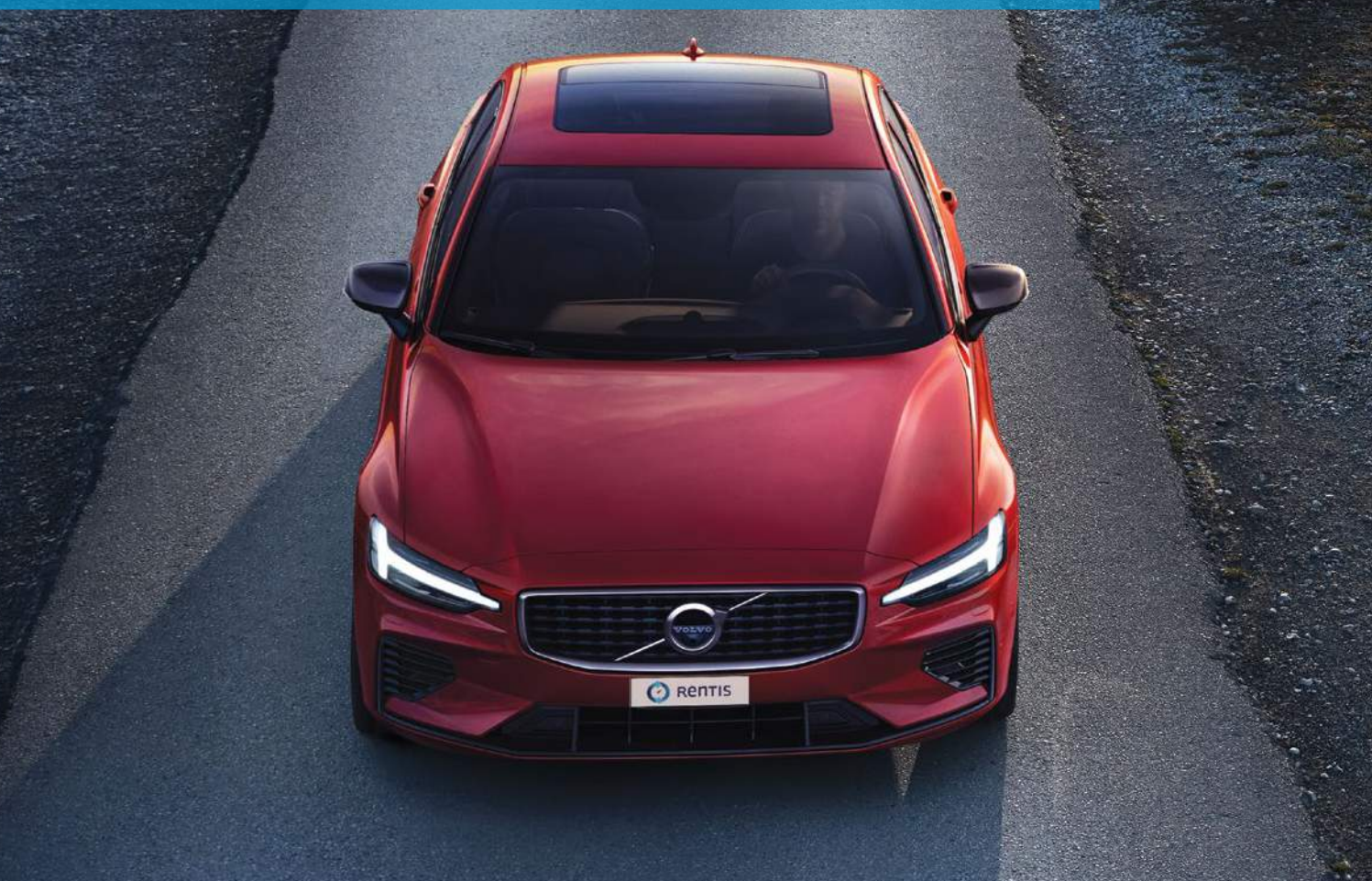

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl f5436f6b3a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ciszej nad tymi emeryturami

Wledwie wiążących koniec z końcem Niemczech rusza dyskusja o tym, czy nie powinna zostać tam podniesiona granica wieku przechodzenia na emeryturę – i to aż do niemal 70. roku życia. Precyzyjnie rzecz ujmując, Bundesbank – niemiecki bank centralny – pisze w swym raporcie o 69 latach i czterech miesiącach, bo bez tego – zdaniem jego ekspertów – załamie się nie tylko system emerytalny, lecz także cała gospodarka. A, przypomnijmy, od 2012 r. Niemcy powoli windują już granicę przechodzenia na emeryturę z 65. roku życia na 67. – rzecz jasna dla kobiet i mężczyzn jednakowo. Proces ten ma się zakończyć w 2031 r.

Tymczasem w opływającej w dostatek Polsce nikt dziś nawet nie próbuje wracać do tego drażliwego tematu. Przypomnijmy, że proces podnoszenia wieku emerytalnego z 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn do 67 lat dla ludzi obu płci zainicjował rząd Platformy i PSL. I niewykluczone, że reforma ta – jedna z nielicznych bardzo potrzebnych Polsce wprowadzonych przez tamtą ekipę – stała się zarazem jedną z istotnych przyczyn utraty przezeń władzy w roku 2015. Tym bardziej że konkurencyjny PiS wysoko na swym sztandarze niósł wtedy obietnicę odwrócenia tej zmiany i po wyborczym zwycięstwie słowa dotrzymał.

Nauczeni tym doświadczeniem politycy większości opcji, jeśli chodzi o emerytury, ograniczają się dziś do zabiegania o ich względy, czyli licytowania się, o ile to jeszcze bardziej można podnieść wysokość ich świadczeń i od kiedy. I, rzecz prosta, nikt nie chce słuchać Roberta Gwiazdowskiego, członka Rady Nadzorczej ZUS, który jako jeden z nielicznych ma odwagę alarmować, że bez radykalnych zmian w tej materii – w tym powrotu do wydłużonego wieku emerytalnego – wkrótce trzeba będzie zacząć obniżać emerytury.

Gdy zatem u nas w sprawie niechybnej konieczności ponownego wydłużenia wieku emerytalnego trwa krępujące milczenie, w Niemczech rusza debata na ten temat. Przy czym Bundesbank nie naciska, by tak daleko idące podniesienie wieku emerytalnego nastąpiło w krótkim czasie. Przeciwnie – miałoby obowiązywać w docelowym kształcie – 69 lat i czterech miesięcy dopiero od 2070 r. I w dodatku nie jest też prawdą, że Niemcy od czasu do czasu nie robią w różnych ważnych sprawach pół kroku wstecz. Ot, choćby w 2014 r., dwa lata po starcie reformy inicjującej podnoszenie wieku emerytalnego z 65 do 67 lat, pod presją socjaldemokracji zdecydowano tam, że osoby, które przez 45 lat płaciły lub w przyszłości będą płacić składki emerytalne, będą mogły przechodzić na emeryturę już w 63. roku życia.

Co innego jednak robić czasami w tył pół kroku, a co innego – cały, by wrócić do fatalnego punktu wyjścia. Fatalnego dla przyszłości własnego państwa, w tym losu emerytów. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Smok się przebudził

Wróciłem z Chin, gdzie w dwóch prowincjach miałem okazję obserwować tamtejszą gospodarkę i społeczeństwo. Kluczowe obserwacje zawierają się w czterech pojęciach: „przedsiębiorczość", „patriotyzm gospodarczy", „algokracja" i „skala".

Do tej pory Chiny kojarzyły mi się z wielkimi firmami państwowymi lub prywatnymi wspieranymi przez państwo. Teraz zobaczyłem, jak tętni życiem mała przedsiębiorczość, niezliczone restauracje, punkty usługowe, start-upy, od sprzedawców pysznych pierożków z wózków ulicznych, za które płaci się smartfonem, do fintechów w technologicznej dzielnicy Chengdu i wystawy w sąsiadującej części kreatywno-artystycznej. Nawet uliczny grajek, który przyjmował datki za pomocą płatności mobilnych, skłaniał do refleksji. Tamtejsza przedsiębiorczość wiąże się z innowacyjnością. Na przykład paliłem sziszę w kilkudziesięciu krajach, ale takiej jak w Chinach jeszcze nigdy nie widziałem: czterordzeniowa, z systemem zaworów i wężami o regulowanej długości.

Realizowana w Chinach polityka patriotyzmu gospodarczego jest ekstremalnie skuteczna. Zagraniczne brandy w zasadzie nie istnieją, może poza iPhone'em, kilkoma markami samochodów i samolotów. Nawet Coca-Cola nazywa się inaczej i można ją poznać tylko po kolorystyce butelki. Nie stosuje się żadnych angielskich słów, w przypadku których zakładamy, że mają globalny zasięg, ani nie są one rozumiane, a chodzi m.in. o takie jak „metro" czy „coffee", mimo że funkcjonują jako napisy. Wszystko, czego używaliśmy, od lokalnych smartfonów, aplikacji internetowych, wyposażenia w hotelach do samochodów i bardzo szybkich pociągów, było chińskie.

W Chinach socjalizm został planowo zastąpiony algokracją. Dane o wszystkich płatnościach, nawet udzielonej jałmużnie, są zbierane i analizowane, bo dokonuje się ich za pomocą jednego powszechnego systemu płatności mobilnych z dwóch. Gotówka ma znaczenie marginalne. Najskuteczniejszy na świecie system rozpoznawania twarzy plus największa na świecie baza danych i potężny system kamer pozwalają skutecznie monitorować lokalizację oraz zachowanie każdej osoby. Rozbudowany system kontroli dostępu do kluczowych usług (finanse, samolot, szybki pociąg, hotel etc.) pozwala wykorzystywać te dane do skutecznego wpływania na zachowania ludzi. Na przykład, aby kupić imienny bilet na szybki pociąg i wejść na peron, trzeba przejść cztery kontrole, wszystkie – poza kupnem biletu – automatyczne.

Skala i efektywność budzą respekt. Po powrocie z Chengdu, które jest szóstym co do wielkości miastem w Chinach, wieżowce w centrum Warszawy robią wrażenie karzełków.

Uczcie się chińskiego! ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl f5436f6b3a

Nowe fakty z tajnych akt KGB

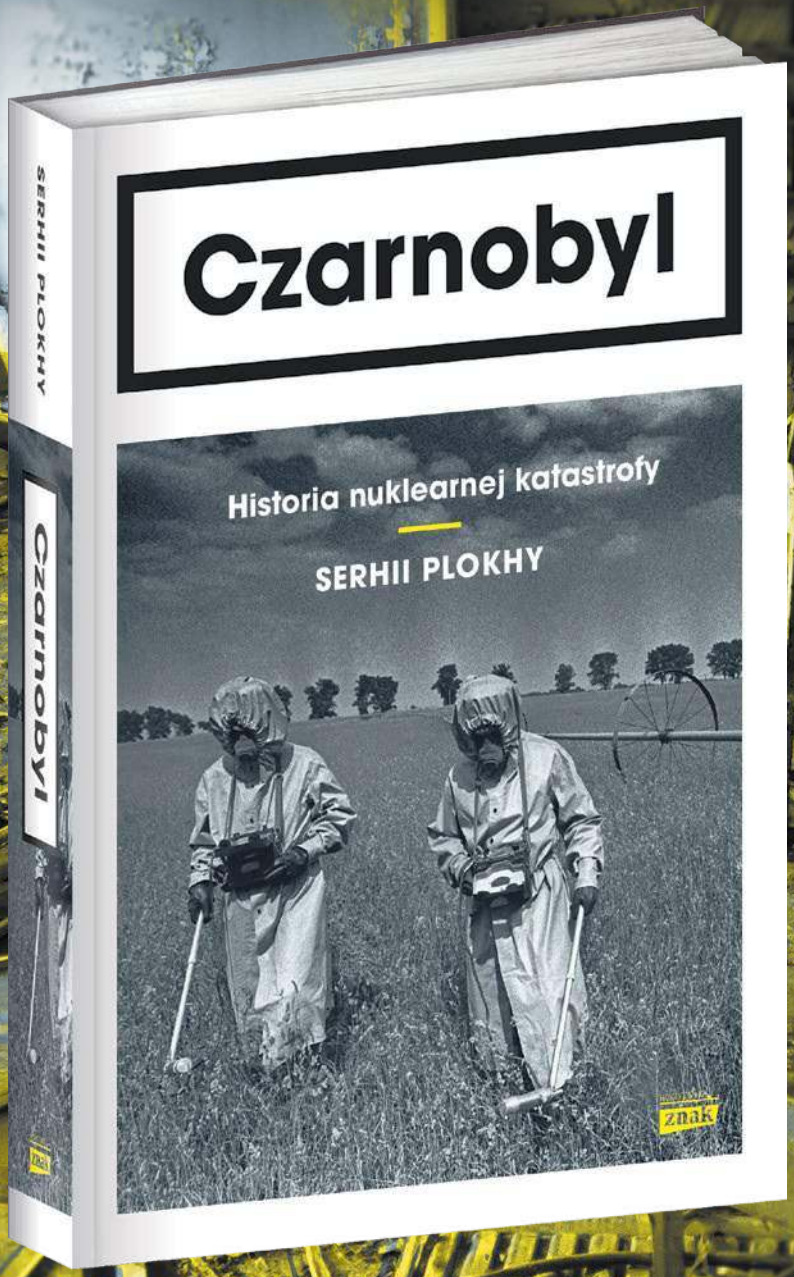

Książka już w sprzedaży!

gprasa.pl f5436f6b3a

TEST „DO RZECZY": TELEWIZOR SAMSUNG QE65Q85R

Fantastyczna jakość obrazu, bardzo szerokie kąty widzenia, niezwykle intensywna czerń oraz uniwersalny system „smart tv" – to największe zalety telewizora QLED producenta z Korei Południowej.

Samsung za pomocą technologii kropek kwantowych konkuruje z oferowanymi przez konkurentów ekranami OLED oraz zaawansowanymi ekranami LCD. Obecnie najdroższe są modele z serii Q950 oraz Q90. Kosztują one jednak ponad 10 tys. zł za telewizor o przekątnej 65 cali, więc do testów wzięliśmy trzecią serię w hierarchii: 65-calowy Q85R.

Najważniejszą zaletą tego modelu jest świetna jakość obrazu. Dzięki Bezpośredniemu Strefowemu Podświetleniu, a także zastosowaniu procesora Quantum 4K telewizor Samsunga można pochwalić za rewelacyjny efekt HDR, bardzo dobry kontrast, intensywną czerń, dużą liczbę szczegółów w ciemnych scenach (docenią to fani takich filmów jak np. „John Wick 2") oraz fantastyczne odwzorowanie kolorów (nawet w zwykłym trybie „film"). Ci, którzy uwielbiają zbiorowe oglądanie filmów, pochwalą poprawione kąty widzenia (coraz bardziej zbliżone do telewizorów OLED). Gracze docenią z kolei niski input lag.

Plusem testowanego modelu jest dobrze uporządkowany system smart tv. Pozwala on z łatwością poruszać się po serwisach takich jak Netflix, HBO GO, YouTube czy Google Play Movies. Jest też aplikacja Apple TV ze wsparciem dla AirPlay2, dająca dostęp do filmów, a także opcję łatwego klonowania obrazu z urządzeń z nadgryzionym jabłkiem. Ciekawą funkcją jest również ulepszony Ambient Mode, czyli tryb umożliwiający wyświetlanie na ekranie różnych treści (od najnowszych informacji ze świata przez dekoracje i grafiki aż do zdjęć wyglądających niczym dzieła sztuki), gdy akurat nie oglądamy nic w telewizji.

Zaletą jest też system OneConnect. Dzięki niemu z wiszącego w salonie telewizora zwisał będzie jeden mało widoczny przewód. Całą resztę kablowego spaghetti, od kabla zasilającego, dekodera, soundbara czy konsoli, a także pendrive'y z filmami można podłączyć do niewielkiej listwy systemu OneConnect (brakuje jedynie złącza USB typu C). Na pochwałę zasługuje także malutki srebrny pilot, który świetnie sprawuje się nie tylko przy obsłudze tradycyjnej telewizji (zastępując przy tym np. dodatkowego pilota od dekodera), lecz także ma specjalne przyciski dla takich serwisów jak Netflix, Prime Video czy Rakuten TV.

Wady? Wprawdzie wbudowane głośniki radzą sobie stosunkowo przyzwoicie (zwłaszcza przy włączonym trybie inteligentnym), wydobywającym się z nich dźwiękom mimo wszystko brakuje prawdziwej głębi. Aby cieszyć się naprawdę dobrym dźwiękiem, trzeba więc coś dokupić. Poważnym minusem jest też brak wsparcia dla formatu Dolby Vision, który zdaje się wygrywać batalię z formatem HDR10+. Użytkownicy wymieniający telewizory raz na dekadę powinni również pamiętać o tym, że testowany model wymaga m.in. nowoczesnych dekoderów (jeżeli ma więcej niż kilka lat, to może być konieczna jego wymiana u dostawcy telewizji) czy przewodów (np. HDMI 2.0). Mimo tych minusów QE65Q85R jest godny polecenia. Model oferowany jest w trzech wariantach (55, 65 i 75 cali). Cena testowanego wariantu (65 cali) wynosi ok. 7,7 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

BĄDŹ GOTÓW NA ARMAGEDON

Jesteś fanem „Dnia Apokalipsy", „2012" i innych katastroficznych filmów, w których świat ratują dzielny meteorolog i piękna kobieta (lub na odwrót)? Albo może inaczej – głęboko wierzysz, że świat zostanie zniszczony przez kataklizm, a Ziemię opanują zombi i ci żywi, którzy na kataklizm będą gotowi, więc codziennie sprawdzasz w aplikacjach, jaka pogoda, w którą stronę mech rośnie i czy bobry już budują zimowiska? Teraz może być łatwiej. A wszystko dzięki TEMPEST, czyli osobistej stacji meteorologicznej, którą możesz zainstalować np. w swoim ogródku, sprawdzać dane na smartfonie, a wynikami dzielić się z profesjonalnymi meteorologami na całym świecie. Zainstalowanie całego urządzenia i skonfigurowanie go zajmuje według producenta niespełna pięć minut. A tak całkiem serio – analizuje zmiany pogodowe w okolicy i na ich podstawie prognozuje, „jaki będzie klimat", całkiem nieźle, więc przydać się może np. tym, którzy lubią robić grilla w ogródku i zapraszać na niego gości, nie lubią natomiast sarkać, że deszcz zepsuł całą imprezę.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Urządzenie kosztuje ok. 750 zł, zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w marcu przyszłego roku.

SKONCENTRUJ SIĘ

Wyglądają jak kolejne bezprzewodowe słuchawki, które – jak twierdzi producent – mają być najlepsze na rynku, ale są czymś więcej. Dlaczego? Ponieważ FocusBuds to inteligentne słuchawki wykorzystujące system EEG Neurofeedback, pozwalające zwiększyć skupienie i koncentrację. – Sposób ich działania polega na tym, że wbudowane biosensory monitorują aktywność mózgu i przypominają o ponownej koncentracji, gdy użytkownik, np. słuchający wykładu, staje się zdekoncentrowany, wyciszając zarazem dobiegające dźwięki z otoczenia. Urządzenie może być przydatne ludziom pracującym w wielkich newsroomach, zmęczonych po kilku godzinach nieustannym szumem plotkujących koleżanek i kolegów.

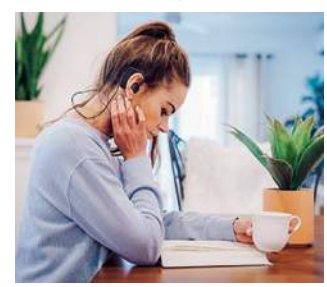

Zamawiać można na portalu Indiegogo, cena ok. 1,2 tys. zł, a dostawa w maju przyszłego roku. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl f5436f6b3a

DZIĘKUJEMY

Panu Prezydentowi **Andrzejowi Dudzie**
Panu Prezydentowi **Donaldowi J. Trumpowi**

oraz Pani Ambasador **Georgette Mosbacher**
i Panu Ambasadorowi **Piotrowi Wilczkowi**

za uwieńczoną sukcesem pracę włożoną we włączenie Polski do programu ruchu bezwizowego (Visa Waiver Program).

Polsko-Słowiańska Federalna Unia Kredytowa
zapewni Państwu finansową obsługę
podczas Waszego pobytu w USA.

NOWY JORK | NEW JERSEY | ILLINOIS | PENSYLWANIA

POLISH & SLAVIC
FEDERAL CREDIT UNION

1.855.PSFCU.4U (1.855.773.2848)
+1.973.808.3244
www.psfcu.com

eprasa.pl f5436f6b3a

Ze Zbigniewem Bońkiem, prezesem PZPN, byłym selekcjonerem, byłym kapitanem reprezentacji Polski

rozmawia Łukasz Majchrzyk

FOT. PIOTR DZIURMAN/REPORTER

ŁUKASZ MAJCHRZYK: W latach 90. jedynym sukcesem był srebrny medal igrzysk olimpijskich w Barcelonie wywalczony przez młodzieżowców. Teraz reprezentacja Polski awansowała do kolejnego turnieju z rzędu, a euforii w narodzie nie widać. Może dlatego, że kluby co roku dostają lanie w pucharach?

ZBIGNIEW BONIEK: Już nie umiemy się cieszyć. Ludzie biedni mają uśmiech na twarzy, a bogaci mają 100 tys. problemów. Jesteśmy narodem podzielonym, który podpisuje się chętnie pod zwycięstwami. Niektórych dyscyplin nie kochamy, ale lubimy zwyciężać, dlatego im kibicujemy. Piłka nożna jest z kolei najbardziej popularna na świecie, więc lubimy o niej rozmawiać i to bez różnicy, czy idzie dobrze, czy źle. Jeśli są problemy, to możemy hejtować, trollować. Jeśli jest dobrze, to się cieszymy, bo to buduje polską dumę, ale dzisiaj jest dużo trudniej osiągnąć sukces, bo niesamowitą rolę odgrywa pieniądz. Naszej piłki klubowej nie stać na jakiekolwiek sukcesy, bo nie jesteśmy w stanie kupić odpowiedniej jakości piłkarzy. Jeśli masz się ścigać z ferrari, bentleyami, mercedesami, to musisz mieć odpowiednie auto. Trabantem i škodą się nie wygra, mówiąc obrazowo, a do polskiej ligi kupujemy trabanty, bo na inne auta nas nie stać.

To trzeba wychować sobie piłkarzy.

My wychowujemy, ale zanim zostaną gwiazdami w Polsce, już wyjeżdżają na Zachód. Wokół piłkarzy rozgrywa się dziś 100 tys. interesów. Jeśli ktoś ma 18 lub 19 lat i kopnie dwa razy piłkę prosto, to już mu proponują pół miliona euro. Jest tylu doradców i chętnych do zarobienia, że interes młodego piłkarza liczy się najmniej. O Szymonie Żurkowskim mówiło się jako o gwieździe. Poszedł do Fiorentiny i praktycznie

eprasa.pl f5436f6b3a

nie gra. Podobnie było z Sebastianem Walukiewiczem.

Szkolimy, a potem wyprowadzamy młodzież z Polski, zanim stanie się naprawdę dobra. To jest błąd. Jeśli ktoś nie jest gwiazdą w Ekstraklasie, to nie stanie się podstawowym piłkarzem w poważnej lidze. To jest chyba logiczne?

Można wyjechać jako nastolatek do akademii na Zachodzie i dać sobie więcej czasu.

Wielkie akademie kupują 10 młodych piłkarzy za, powiedzmy, 20 mln euro, bo dla nich to nie jest duży wydatek. Potem, jeśli z tej grupy dwóch stanie się gwiazdami, to i tak kluby wychodzą na plus. Według mnie warto jest zostać w polskiej lidze do 21. roku życia, bo więcej się można nauczyć, grając z dorosłymi. Im wcześniej młody, zdolny piłkarz mierzy się ze starszymi, tym jest lepiej.

niż obcokrajowcy i mogą dać trzy razy więcej klubom. Zagraniczni piłkarze nie dali nam sukcesów w piłce klubowej.

Kupujemy, idąc w ilość, a nie w jakość?

W ostatnich latach sprowadziliśmy do Polski ok. 700 obcokrajowców, a dobrych możemy policzyć na palcach jednej ręki. Jeszcze raz mówię, że trzeba zmienić mentalność. Nie stać nas, żeby zatrzymać w kraju młodych Polaków, a płacimy 300 lub 500 tys. euro zagranicznym przeciętniakom?

Ponieważ jeśli już taki rodzynek wyjedzie z Polski, to kimś to miejsce trzeba wypełnić.

Najlepsi wyjeżdżają, a sprowadzamy słabych, więc poziom się ciągle obniża. Liga jest ciekawa, bo każdy może być mistrzem Polski, widać to w tym sezonie, gdzie zmieniają się ciągle liderzy tabeli. Poziom jednak zależy od piłkarzy.

uznawany za genialnego piłkarza. Nie lubimy prawdy, a prawda jest taka, że nikt go w Europie nie chciał, bo miał dużą nadwagę, i gdy zaczął dobrze grać, przy najbliższym okienku transferowym już nie wrócił do Polski, tylko przysłał agentów, którzy zapowiedzieli, że odchodzi.

Musi być masowość dobrego szkolenia?

Niech pan nie idzie drogą, którą idzie wielu krytykujących polski futbol. Szkolenie w Polsce jest bardzo dobre, mówię tu o przedziale wiekowym od sześciu do ok. 17 lat. Mamy systemy monitorowania talentów, które funkcjonują od 14 lat. Od 10 lat robimy obozy dla najlepszych latem i zimą. Prowadzimy Akademie Młodych Orłów. Koncepcja szkolenia jest bardzo dobra. Kiedy jednak dzieci kończą szkolenie i wchodzą do piłki profesjonalnej, odpowiedzialność spada na klub. My możemy pewne rzeczy stymulować.

Młodzi piłkarze są za szybko sprzedawani

Temu ma służyć wprowadzenie przepisu o obowiązku gry młodzieżowca w Ekstraklasie?

Ten przepis ma służyć zmianie mentalności. Kiedyś było tak, że trenerzy Ekstraklasy w ogóle nie wiedzieli, jak wyglądała sekcja młodzieżowa w klubie. My dużo mówimy o szkoleniu, akademiach, a były kluby grające 11 obcokrajowcami. Przepis o młodzieżowcu jest systematycznie wprowadzany w niższych ligach, a w Ekstraklasie funkcjonuje od roku i spowoduje inny sposób myślenia. Dzisiaj trzeba mieć w kadrze pięciu, sześciu młodzieżowców, bo skoro obowiązkowo w każdym meczu gra jeden, to trzeba się zabezpieczyć na wypadek kartek, zmęczenia czy kontuzji. Siłą polskiej piłki są młodzi polscy zawodnicy, bo są trzy razy lepsi

Zamiast kupować hurtem, lepiej kupić dwóch, trzech, ale dobrych. Tacy zawodnicy kosztują. Polskie kluby nie chcą tworzyć kominów płacowych, ale bez tego nie osiągniemy sukcesu. Najgorsze jest to, że niemoc polskich klubów na arenie międzynarodowej rzutuje na polską piłkę. Nasze kluby są słabe, ale to się może zmienić w ciągu roku. Jeśli właściciele będą mieli więcej pieniędzy i kupią czterech, ale naprawdę dobrych piłkarzy, to będzie lepiej.

Myśmy w to wierzyli po awansie Legii do Ligi Mistrzów: klub z Warszawy zacznie kupować, wyciągać najlepszych Polaków, pojawi się w polskiej piłce więcej pieniędzy.

To był przypadkowy sukces, a przy okazji Vadis Odjidja-Ofoe zaczął być

Jak? Największe kluby narzekały, że ich juniorzy wygrywają z rywalami z biedniejszych drużyn zbyt łatwo. Proszę bardzo, niech więc najlepsi grają ze sobą. Stworzyliśmy Centralne Ligi Juniorów, za które płacimy w całości, finansujemy nawet sędziów i fundujemy nagrody. Stworzyliśmy Pro Junior System, gdzie płacimy za wystawianie w składzie juniorów. Tutaj do podziału jest 20 mln zł. Inna sprawa to zarządzanie klubem, który jest prywatną spółką prawa handlowego. Gdyby w klubach byli ludzie, którzy znają się na tym biznesie, umieją kupić piłkarzy, to byłoby dużo lepiej. W naszej piłce zawodowej brakuje ludzi.

Może stworzyć pod patronatem PZPN studia zarządzania sportem?

eprasa.pl f5436f6b3a

Dobrze pan mówi, można się nad tym zastanowić. Jeśli kupimy browar, to trzeba mieć dyrektora do spraw handlu, promocji, produkcji. W futbolu prezesi myślą, że są dyrektorami od wszystkiego. Brakuje ludzi. A co robią nasi piłkarze? Większość woli siedzieć w studiach telewizyjnych i udawać komentatorów. To może być fajne na pewnym etapie, ale dziwię się, że ich ambicją nie jest prowadzenie klubu czy bycie dyrektorem sportowym. Polska piłka zawodowa przypomina mi Polskę lat 80. i 90., czyli kraj hurtowni: kupić tanio, sprzedać drożej, a siła państwa to są fabryki. Młodzi piłkarze już po pół roku dobrej gry są sprzedawani, żeby cokolwiek na nich zarobić.

Brakuje pieniędzy, więc te pieniądze się przydadzą. Nie wszystkich wspierają samorządy.

Wiele klubów w Polsce jest tak utrzymywanych. Jeśli miasto wybuduje stadion, to dobrze, ale także pieniądze na bieżącą działalność pochodzą od samorządów i to jest problem. Często w takiej sytuacji do pracy w klubie są delegowani ludzie, którzy pilnują, żeby wszystko wyszło na zero. A czy znają się na piłce? Prowadzenie dzisiaj klubu polega na czymś innym. Najbogatsze kluby są zadłużone, a banki na to pozwalają, bo w każdej chwili kluby mogą się oddłużyć. Wystarczy, że sprzedadzą pięciu, sześciu zawodników.

Dlaczego duży biznes nie chce wejść do polskiej piłki?

Problemy mogą być różne, trzeba pytać biznesmenów. Żaden bogaty człowiek nie chce chodzić po stadionie i witać się z „karkami", a jeszcze może być tak, że zostanie przez nich wyśmiany. Bandyci ciągle mają wpływ na kluby. Poza tym: Czy w Polsce są bogaci ludzie, którzy chcieliby wejść do piłki? U nas fortuny są świeże. Czy ktokolwiek chciałby dawać swoje pieniądze na pensje piłkarzy, którzy za chwilę mogą odejść, bo dostaną lepszą ofertę? Podkreślam, że większość problemów klubów wynika z niedofinansowania. Gdyby Polacy byli tak bogaci jak Hiszpanie, Włosi czy Niemcy, to prawa za transmisje mogłyby kosztować 20 razy więcej, a polskie kluby mogłyby kupować lepszych zawodników albo płacić więcej tym, którzy są. Młodzi i dobrzy wyjeżdżają, bo dostają duże pieniądze za podpis i wmawia im się, że będą zarabiać krocie. Gdyby tacy jak Krzysztof Piątek, Szymon Żurkowski albo Sebastian Szymański zostawali w Polsce, to nasze kluby grałyby w Lidze Mistrzów i Lidze Europy. Wydajemy jednak pieniądze źle.

Gdyby takich Piątków było więcej, to wyjazd jednego nie powodowałby problemów. Znów wracamy do pytania, czy dobrych młodych piłkarzy nie może być więcej?

W Polsce są młodzi piłkarze o podobnych umiejętnościach do tych wymienionych wcześniej, z łatwością takich znajdę. Jeszcze czasami ich nikt nie zna, a już ich zaraz w Polsce nie będzie. Są utalentowani, ale talent czasami przeszkadza – to praca pomaga. Nie ma dobrego szkolenia w Polsce? Jest takie samo albo i lepsze niż gdzie indziej. Od sześciu, siedmiu lat mamy dobry system. Młody chłopiec, który nie ma pieniędzy, może się zgłosić do Akademii Młodych Orłów i tam trenować, a dodatkowo informujemy kluby w regionie, żeby się nim zainteresowały. Co roku robimy zgrupowania dla najlepszych 10-latków. Niektórzy się śmieją, ale nas pytają inni: Jak macie zorganizowany skauting? Dlaczego wiecie wszystko o wszystkich młodych piłkarzach? To jest właśnie szkolenie, a nie opisy treningów. Nawet na stronie PZPN można znaleźć wiele konspektów. Ostatnio nasi 14-latkowie wygrali wysoko z Ukrainą. Nasi sąsiedzi przyznali, że nie mają żadnej bazy danych. Nie wiedzą, co się dzieje na wschodzie, a co na zachodzie kraju. My wiemy wszystko i możemy rozmawiać z Anglikami jak równi z równymi, ale nie jesteśmy od tego, żeby narzucać, jak mają wyglądać treningi. Możemy uczyć i podpowiadać.

Trenerzy są dobrze przygotowani do pracy z młodzieżą?

Mamy dobrych, młodych, zdolnych, ambitnych i takich, którzy szybko chcieliby zrobić karierę. Na Zachodzie trener danej grupy wiekowej pracuje z nią nawet przez 20 lat. U nas tak nie ma. Każdy chce wejść szybko coraz wyżej.

Może trenerom młodzieży się za mało płaci? Prawdziwe pieniądze są w piłce seniorskiej.

A komu się za mało w Polsce nie płaci? Zamiast wydawać na piłkarzy z zagranicy, miałby pieniądze na trenerów młodzieży. Jeśli ktoś umie i ma zapał, to zawsze będzie dobrze trenował. Jeśli ktoś trenuje źle, za małe pieniądze, to i za większą pensję będzie nieprofesjonalny.

Jaki ma pan pomysł na wyjście z tej zapaści klubowej?

Stawiajmy na młodych Polaków. My, jako PZPN, mamy pewne argumenty, żeby nakładać regulaminy. Robimy to niechętnie, ale żeby pomóc polskiej piłce. Jestem przekonany, że za przepis o młodzieżowcu za dwa, trzy lata będą nam bić brawo. Same kluby już wiedzą, że to jest dobre. Młodzieżowiec nie ma za darmo miejsca, bo przez ostatnie sześć lat musiał ciężko pracować, żeby dostać szansę. Miejsce w składzie za nic dostają obcokrajowcy, którzy przyjeżdżają tu z nadwagą, nie grając od roku. I nagle znajdują klub, który chce im dawać pieniądze. Inna sprawa, że młodzież traktuje swój klub często tylko jako przystanek do kariery. Kiedy za moich czasów najlepsi Polacy grali w kraju, to dochodziliśmy do ćwierćfinałów i półfinałów europejskich pucharów. Górnik grał nawet w finale Pucharu Zdobywców Pucharów. Dzisiaj mogłoby być podobnie. Wygrywać możemy: mądrością, sposobem, pokorą i szkoleniem.

Pomówmy jeszcze chwilę o zbliżających się mistrzostwach Europy, które będą rozrzucone po całym kontynencie.

To będzie bardzo trudna logistycznie impreza. Jeśli trafimy do grupy, która mecze zagra w Rzymie i w Baku, to nie możemy mieć bazy w Polsce. Po każdym meczu w Baku mielibyśmy wracać tutaj przez sześć godzin?

Drużyna trenera Jerzego Brzęczka będzie gotowa na Euro?

To zależy od wielu czynników: zdrowia, formy piłkarzy i oczywiście wykonywanej pracy. Jestem przekonany, że będziemy gotowi, żeby dobrze zagrać. W 2016 r. byliśmy o jeden rzut karny od półfinału z Walią i jestem przekonany, że również ten mecz byśmy wygrali. Czas od awansu do turnieju nie jest łatwy. Polski piłkarz jest odzwierciedleniem polskiej mentalności. Czasami mówi się, że Robert Lewandowski jest fantastyczny, bo ma trochę inną mentalność. Jestem jednak spokojny. Na Brzęczka można napadać, a kiedy wspominamy Leo Beenhakkera, to można tylko czapkować, a przecież przegrał eliminacje do mistrzostw świata w łatwej grupie. Polska to piękny kraj, ale niestety także kraj trollingu i hejtu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

ZGŁOŚ SWÓJ PRODUKT

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

PATRONAT HONOROWY:

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

eprasa.pl f5436f6b3a

Z dr. hab. n. med. Michałem Zembalą, kardiochirurgiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Polacy mają smykałkę

KATARZYNA PINKOSZ: Niedawno minęły 34 lata od pierwszej udanej transplantacji serca, dokonanej przez prof. Zbigniewa Religę. Jak wiele takich zabiegów wykonuje się dziś w Polsce?

DR HAB. N. MED. MICHAŁ ZEMBALA: Około 140–150 zabiegów rocznie; chciałoby się wykonywać ich więcej, gdyż więcej osób można byłoby w ten sposób uratować. Problemem jest jednak to, że coraz mniej dawców jest zgłaszanych do przeszczepów. W ubiegłym roku w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu wykonaliśmy 76 transplantacji serca, teraz – do połowy listopada – 62, tak więc w tym roku niestety będzie ich mniej.

Dlaczego jest mniej dawców? Rodziny nie zgadzają się na oddanie narządów do transplantacji?

Nie, przyczyna jest nieco inna. Pan Marek Biskup, który niedawno miał wykonany u nas przeszczep płuc, a zawodowo zajmuje się badaniami opinii społecznej, postanowił uważniej przyjrzeć się problemowi dawstwa narządów. Z nieopublikowanych jeszcze badań, o których wspominał niedawno podczas konferencji, wynika, że problem zmniejszania się liczby dawców w największym stopniu leży po stronie lekarzy i administracji szpitali.

Czyli nie jest to brak domniemanej zgody czy zgody rodziny, o czym zwykle się mówi?

Wyniki przeprowadzonych przez niego badań były zaskakujące. Okazało się, że większość osób za życia zgadza się na pobranie narządów po śmierci w celu ratowania innych osób; zwykle zgadza się też rodzina. Jednak w proces dawstwa musi być zaangażowana część personelu oddziału intensywnej terapii: pielęgniarki, lekarze, koordynator transplantacji. Czasem te osoby nie mają wparcia ze strony administracji szpitala, która często nie widzi w tym finansowej korzyści dla szpitala. Na pewno trzeba by było podjąć kroki, żeby to zmienić.

Z jakich powodów serce staje się tak niewydolne, że trzeba je przeszczepić? To prawda, że najczęściej są to powikłania po grypie?

Powodów, dlaczego serce należy przeszczepić, jest kilkadziesiąt, jednak najważniejsze są dwa. Pierwszy to rozległe uszkodzenia serca po zawale serca (ta grupa chorych jest najliczniejsza). Druga to powikłania po wirusowym zapaleniu wsierdzia: wcześniej ci chorzy mieli bardzo rozległy proces zapalny, być może również spowodowany grypą, w wyniku czego mięsień sercowy uległ całkowitemu zniszczeniu.

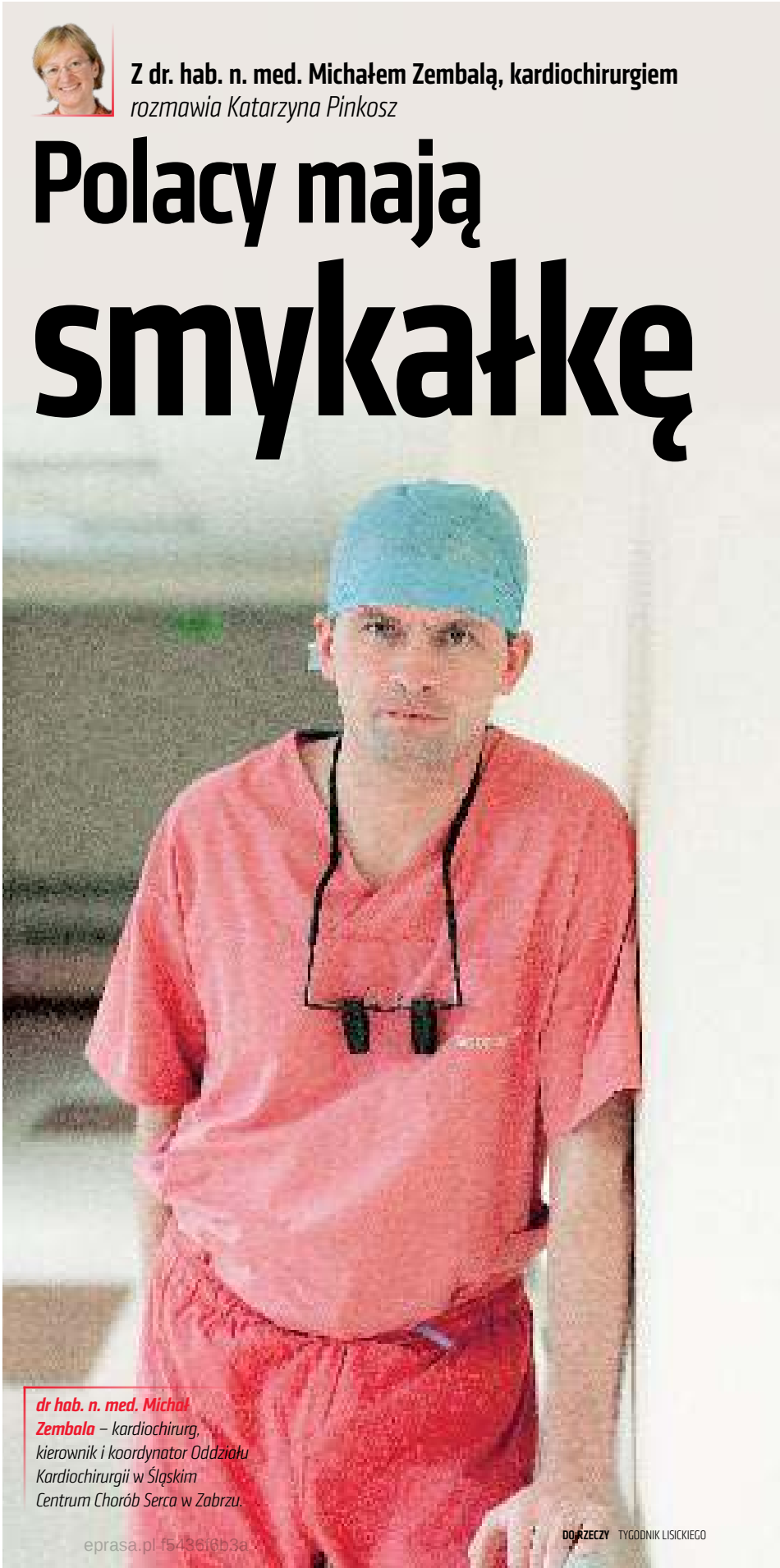

dr hab. n. med. Michał Zembala – kardiochirurg, kierownik i koordynator Oddziału Kardiochirurgii w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu.

FOT. IREK DOROZAŃSKI/FORUM

eprasa.pl f5436f6b3a

Skoro brakuje organów, to pojawia się pytanie: Co można wszczepić w zamian? Pana zespół przeprowadził w ubiegłym roku pierwszą w Polsce operację przeszczepienia sztucznego serca (TAH, total artificial heart). Co to jest sztuczne serce? Czy ono pracuje tak samo jak prawdziwe?

Nasze własne serce trudno na stałe zastąpić, choć technologia wspomagania jego pracy jest dziś już bardzo mocno zaawansowana. Postęp, który dokonał się w ostatnich 5–10 latach, jest nieprawdopodobny. Mamy dziś do dyspozycji urządzenia, które są w stanie wspomóc lub zastąpić lewą komorę serca (z prawą sprawa jest dużo trudniejsza). Gdy musimy zastąpić prawą i lewą komorę, potrzebne jest sztuczne serce, które tak naprawdę jest dwiema sztucznymi komorami: prawą i lewą. Urządzenie, które wszczepialiśmy, jest – już można powiedzieć – dosyć „stare" jak na obecne czasy, ale na dziś jedyne dostępne. Pozwala pacjentom bardzo ciężko chorym przeżyć i doczekać do transplantacji serca.

Jak dziś czuje się pierwszy polski pacjent, któremu pana zespół wszczepił sztuczne serce?

Pan Mirosław miał wszczepione sztuczne serce w lipcu ubiegłego roku. Dzięki niemu doczekał do transplantacji, którą miał równo rok temu, w listopadzie. Dzisiaj jest w domu, czuje się dobrze. Oczywiście po transplantacji trzeba przyjmować leki zapobiegające odrzutowi, które osłabiają układ odpornościowy, dlatego pacjenci są też narażeni na infekcje. Jednak życie po przeszczepie jest zdecydowanie lepsze niż z niewydolnym sercem czy z pompami.

Sztuczne serce jest zawsze „pomostem" do transplantacji, jeśli nie można jej od razu wykonać. W USA i Europie Zachodniej czasem wszczepia się też docelowo sztuczne komory serca pacjentom, którzy mają trwałe przeciwwskazania do przeszczepu, np. z powodu wieku. W Polsce ta forma terapii jest na razie nierozpoznawalna przez Ministerstwo Zdrowia i NFZ.

Nierozpoznawalna, czyli niefinansowana?

Tak. Środowisko kardiologów i kardiochirurgów dąży do tego, by także w Polsce te terapie były wykonywane częściej. Nowe badania pokazują, że jakość życia pacjentów, którym wszczepiono sztuczną komorę serca, w pierwszych trzech–czterech latach jest praktycznie taka sama jak osób po transplantacji serca. Potem już jest gorzej, dlatego jeśli to tylko możliwe, to lepiej przeszczepić serce.

Jak żyje się ze sztuczną komorą? Można iść na spacer? Pokazywał pan zdjęcia, na których jeden z pacjentów był w górach...

Pacjenci szybko przyzwyczajają się do wszczepionych urządzeń. Oczywiście jest to życie z pewnymi obostrzeniami, np. nie można iść na basen, bo z ciała wystaje kabel zasilający urządzenie prądem. Trzeba pamiętać o naładowaniu baterii, ich wymianie. Jednak poza tym te osoby prowadzą życie jak każdy z nas. To często młode osoby, czasem pokazują swoje zdjęcia na Facebooku. Trudno rozpoznać, że są tak chore, iż musiały mieć wszczepioną sztuczną komorę serca.

Polskie sztuczne serce było marzeniem prof. Religi. Czy jest szansa, że uda się je w Polsce skonstruować?

Fundacja Rozwoju Kardiochirurgii im. Zbigniewa Religi i zespół prof. Zbigniewa Nawrata, prof. Romualda Cichonia i Romana Kustosza przez ostatnie 10–15 lat wkładali duży wysiłek, by takie urządzenie stworzyć. Wielu chorych zostało uratowanych dzięki polskim sztucznym komorom serca. Obecnie fundacja pracuje nad urządzeniem, które również byłoby wszczepialne, jednak całkowicie schowane do klatki piersiowej, czyli nie byłoby na zewnątrz kabli podłączonych do baterii. Testy nowego urządzenia są już mocno zaawansowane, dlatego mam ogromną nadzieję, że polskie sztuczne serce powstanie. Polacy zawsze mieli pomysły i smykałkę do rozwiązań technologicznych, wierzę, że uda się te projekty przekuć w realny sukces: na skalę światową.

Czy polska kardiochirurgia jest dziś na światowym poziomie?

Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Nie ma takiego zabiegu, którego nie można by wykonać w Polsce. Jedyne, co nas limituje, to dostępność do wysoko kosztowych procedur. Moglibyśmy wykonywać więcej zabiegów wysokospecjalistycznych, ograniczają nas jednak dwa czynniki. Pierwszy to finansowanie; jednak trzeba powiedzieć, że wysokospecjalistyczne procedury są bardzo drogie – sam koszt sztucznych komór to ok. 400 tys. zł. Być może nie stać nas jeszcze na to, by w pełnym wymiarze oferować bardzo drogie procedury. W Polsce wykonujemy jednak niemal 80 takich zabiegów rocznie; to poziom Holandii, Belgii, Portugalii, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii. W Niemczech przeprowadza się więcej tych zabiegów, jednak tam są one finansowane także z prywatnych ubezpieczeń. Myślę jednak, że za kilka lat sytuacja w Polsce też bardzo się zmieni.

Drugi problem w Polsce to brak wyspecjalizowanej kadry lekarskiej, szczególnie anestezjologów i pielęgniarek.

Brakuje personelu?

Nie jesteśmy w stanie uruchomić więcej sal operacyjnych, gdyż brakuje nam kadry. Wtórnie niestety przełoży się to na wydłużenie kolejek. To nie jest tak, że anestezjologów nagle zabrakło; oczywiście niektórzy wyjechali za granicę, jednak wielu zdecydowało się na pracę w placówkach prywatnych z uwagi na wyższe płace. Znieczulają do zabiegów mniej skomplikowanych. To można zmienić.

Pracuje pan w ośrodku, gdzie prof. Zbigniew Religa pierwszy raz przeszczepił serce, gdzie do tej pory pracuje prof. Marian Zembala, również sława polskiej kardiochirurgii. Pan też już ma na koncie sukcesy, takie jak pierwsze wszczepienie sztucznego serca. A jakie są pana marzenia zawodowe?

Praca w ośrodku, który stworzył prof. Religa, jest niezmierną nobilitacją. To, co udało mu się zrobić w tych trudnych czasach, było niesamowite. Skromny człowiek, który miał niezwykłą wizję, potrafił pociągnąć za sobą ludzi. Mimo że nie mieli nic, stworzyli naprawdę coś wyjątkowego.

Czasem mam wrażenie, że dziś ludzie mają wszystko, a czasem brakuje im energii do działania, chęci przełamania konwenansów, pragnienia, by być lepszym. Czas, kiedy myślałem tylko o tym, żeby dorównać ojcu, już minął; nie sposób dorównać tym kamieniom milowym, które on osiągnął. Widzę swoją rolę jako kontynuator prof. Zbigniewa Religi, prof. Andrzeja Bochenka, prof. Mariana Zembali; chciałbym utrzymać jakość i renomę ośrodka, rozwijając nowe technologie – przy zadowoleniu ludzi, którzy tu pracują. A zawodowe marzenie? Żeby ludzie, którymi miałem przywilej kierować tu, w klinice, mieli poczucie, że stworzyliśmy zespół, który się wspierał, był sobie życzliwy i dzięki temu zaszedł daleko.

I który uratował i uratuje jeszcze życie wielu osób...

Rozwijamy program transplantacji serca, wszczepiania sztucznych komór, przed nami jednoczesne przeszczepy serca i płuc. Chciałbym, żeby udało mi się stworzyć dobrze funkcjonujący zespół, który będzie miał poczucie, że razem może osiągnąć więcej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f5436f6b3a

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Tadż-el-Faher Rzewuski

Życie i przygody Wacława Rzewuskiego, zwanego także Abu Assadem, Arsian Emirem albo – jak podaje autor jego biografii Stefan Kieniewicz – Tadż-el-Fahrem, Abd-El-Niszanem, le Comte W.S.R. hrabią WSW, są tak zdumiewające, że można by pomyśleć, iż był postacią literacką, a nie żywym człowiekiem. Urodzony w roku 1784 w złej rodzinie, bo jako syn Seweryna Rzewuskiego herbu Krzywda, jednego z twórców targowicy, miał młodość typową dla współczesnych arystokratów. Takich, którym istnienie wolnej Rzeczypospolitej przeszkadzało w karierze na dworach Europy.

Wykształcony w Wiedniu, w sławnej akademii Theresianum, w 1809 r. wziął udział w walce z… Księstwem Warszawskim i armią polską pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, bijąc się po stronie austriackiej. Uczestniczył w bitwie pod Aspern w stopniu podporucznika 8. Pułku Huzarów; później przeniesiono go do 2. Pułku Ułanów, wreszcie w 1811 r. zdymisjonowano. W tym samym czasie zmarł jego ojciec, a Rzewuski objął po nim ogromny spadek – Podhorce w zaborze austriackim, Sawrań i Kuźminę w rosyjskim. Traf chciał, że wcześniej, w roku 1803, poznał w Wiedniu Jana Potockiego, autora sławnego „Rękopisu znalezionego w Saragossie", który – jak podaje Kieniewicz – zainteresował go Orientem. Rzewuski stał się miłośnikiem Turcji i krajów arabskich. Nauczył się arabskiego i tureckiego, spotykał z emigrantami z Turcji i przejmował arabskie obyczaje. W 1815 r., w czasie kongresu wiedeńskiego, zaproponował carowi Aleksandrowi I sprowadzenie z Arabii świetnych koni, których hodowlą zajmował się zresztą osobiście.

W 1817 r. podjął wyprawę na wschód – razem ze służbą i z eskortą kozaków pojechał do

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Stambułu, skąd przedostał się do Trypolisu w Syrii, a w 1819 r. osiadł na dłużej w Aleppo. Spotykał się tutaj z Beduinami, prawdopodobnie przemierzył pustynię Nadżd, dotarł do Eufratu i w pobliże zatoki Akaba, powiadano nawet, że pielgrzymował do Mekki, gdyż przyjął obyczaje arabskie i miejscowy strój. Zawarł także przymierze z Beduinami, używając tytułu emira Tadż-el-Fahera, co znaczy „Uwieńczony Sławą".

W grudniu 1819 r., zakupiwszy stado koni arabskich, wyruszył z nim do kraju – najpierw przewiózł je morzem z Latakii do Tarsu, gdzie niestety wierzyciele przejęli wierzchowce. Wówczas przedarł się konno przez góry Taurus i Azję Mniejszą do Stambułu, skąd wysłał prośby do Petersburga o pomoc. Zdesperowany powrócił do Sawrania, do swoich włości, zgromadził pieniądze na wykup arabów, odzyskał je i ostatecznie sprowadził stado w kwietniu 1821 r. Dla siebie zatrzymał 78 kuhailanów, a 59 przekazał carowi. Efektem jego wyprawy na wschód była praca naukowa o koniach i obyczajach Beduinów, opatrzona licznymi rysunkami, podobiznami mieszkańców Arabii i widokami. Rękopis ten został wydany po polsku tylko w części, w 1866 r., jako „Wiadomość o rassach koni arabskich".

Już wówczas Rzewuski zaczął tworzyć wokół siebie legendę. Przedstawiał się jako człowiek, który przyjął islam, pozował na romantycznego buntownika albo tajnego agenta angielskiego, czasem na autora tajnego memoriału arabskiego, który ukrył w jakiejś jaskini w Libanie. Żyjąc w Sawraniu ze swymi pięknymi rumakami i klaczami, należącymi do typu kuhailanów, a więc trochę większych i potężniejszych koni rasy arabskiej, mieszkał na stepie w namiotach, utrzymywał oddział nadwornych kozaków, ubierał się w strój Beduina i turban, przybrał też tytuł „atamana Rewuchy Zołotoj Borody" i był popularny wśród szlachty. Z kosmopolitycznego arystokraty-podróżnika stał się patriotą i zaangażował w działalność Towarzystwa Patriotycznego, za co był zresztą prześladowany przez władze carskie.

Na jesieni 1830 r. utworzył oddział kozaków, a w maju następnego roku wystąpił zbrojnie przeciwko wojskom carskim, przyłączając się do powstania listopadowego i dowodząc szwadronem 220 jeźdźców. 14 maja 1831 r. wziął udział w bitwie pod Daszowem, w której Polacy ponieśli klęskę. Nikt więcej nie widział Rzewuskiego. Miłośnik koni i Arabii po prostu zniknął, jakby rozpłynął się w powietrzu. Nigdy nie znaleziono jego ciała, co dało początek kolejnym legendom. Być może zamordował go jeden z kozaków, niejaki Kisiel, albo udał się na emigrację. Jedna z opowieści podawała, że wrócił na wschód i do końca swych dni żył jak Arab. Podobno 10 lat później polski podróżnik, dr Hermanowicz, natknął się w okolicy Mekki na pustelnika, który utrzymywał, że jest Wacławem Rzewuskim. Tak czy owak ten niezwykły człowiek i hodowca koni stał się bohaterem romantycznych poematów, komedii i wierszy, z których najsławniejszy to „Duma o Wacławie Rzewuskim" Juliusza Słowackiego. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

JEDNOGARNKOWE DANIE GRZEGORZA STASIAKA

Talent i zamiłowanie do gotowania odziedziczyłem po mamie. To ona uczyła mnie gotować, a umiała to robić – była zawodową kucharką. Mój ojciec zmarł wcześnie, szybko musieliśmy pomagać mamie, więc gotuję od dziecka.

Mój sztandarowy przepis nazywa się „dwa piwa". Najczęściej danie to przyrządzam w kociołku nad ogniskiem, ale można je przygotować również na kuchence.

Składniki:

- ½ kg schabu wieprzowego
- jedna podwójna pierś kurczaka
- 3 papryki (czerwona, zielona, żółta)
- ½ kg ziemniaków
- ½ kg pieczarek
- cebula

Przygotowanie:

Czas zdradzić, dlaczego przepis nazywa się „dwa piwa". Otwieramy pierwsze piwo i przelewamy do szklaneczki, a następnie kroimy w kostkę wszystkie składniki. W międzyczasie opróżniamy szklaneczkę z piwem, bo przecież krojenie cebuli wysusza gardło. Na dno garnka wrzucamy mięso, a następnie na zmianę paprykę, cebulę, pieczarki i ziemniaki, pieprzymy oraz solimy, dolewamy szklankę wody i dusimy pod przykryciem ok. 45 minut, mieszając od czasu do czasu. Kiedy składniki są miękkie, a mięso przypieczone, wykładamy na talerz i podajemy z drugą szklaneczką piwa.

Danie to szczególnie polecam na ogniska, ale takie jednogarnkowe potrawy to również niezły sposób na rozpoczęcie przygody z gotowaniem dla osób, które boją się skomplikowanych przepisów. ©℗

oprac. raw

Grzegorz Stasiak jest aktorem, kabareciarzem, prezenterem i konferansjerem.

FOT. NORBERT BARCZYK/PRESSFOCUS/NEWSPIX.PL

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jak oni (nie)gotują

JOANNA BOJAŃCZYK

Przyjaciółka opowiedziała mi o swojej wizycie u kuzynów, młodego małżeństwa w Gdańsku, które należy także do moich znajomych. Państwo S. mają dwoje dzieci w wieku około czterech i sześciu lat. Ojciec rodziny, 30-latek, pracuje w firmie informatycznej, mama nie pracuje, córeczki chodzą do przedszkola. Była sobota, a jako że przyjaciółka była gościem przyjezdnym, wypadało się nią zaopiekować, także w kwestii obiadu. Gospodyni, zajrzawszy do lodówki, wydała jęk w stylu: „Jezu, nic nie ma", ale w ślad za jękiem nie poszła bynajmniej decyzja udania się po zakupy. Zamówiono zatem pizzę. „Przyszła, duża i smaczna – opowiadała przyjaciółka, ale żeby na stole pojawiła się obok choćby sałata czy pomidor, to nie. Zjedliśmy więc pizzę na sucho, wszak w domu »nic nie było«".

„Wytłumacz mi, jak to jest, że w domu, w którym są dzieci, a pani domu nie pracuje zawodowo, nie ma sobotniego/niedzielnego obiadu? – zakończyła przyjaciółka. – Ale zdaje się, że to dzisiaj normalne. Teraz młodzi nie gotują w domu. Mają superwyposażone kuchnie, garnki, sprzęty, roboty, ale i tak wolą iść do knajpy albo kupić coś gotowego".

No jasne. Wcale nietrudno to zrozumieć. Ktokolwiek prowadzi normalny dom z codziennym gotowaniem obiadu, wie, że gotowanie to nie show kulinarny ani konkurs jak w telewizji, ale codzienna udręka. Nie ma błysku fleszy, porcji składników odmierzonych i przygotowanych przez asystentów w czystych miseczkach. Jeśli jest więcej dzieci, to ugotować trzeba nie dwie porcje (u Okrasy wszystko wygląda tak ładnie, ale jedzenia jest dla dwojga), ale cały gar. A najgorsze, że trzeba robić to codziennie.

A przedtem zaplanować, pojechać po zakupy do jednego lub wielu sklepów/supermarketów, przytachać towar do domu, a następnie zabrać się do roboty. Na koniec pozmywać. To wszystko wymaga pieniędzy, wysiłku i czasu, który można by tak przyjemnie wykorzystać, oglądając „The Spy" na Netfliksie...

A najgorsze – to drugie najgorsze – że gdy już wszyscy zjedzą i nawet będą z obiadu zadowoleni, to za jakieś trzy godziny znowu zaczną się kręcić po kuchni i z zaciekawieniem otwierać lodówkę, czy tam nie ma aby jakiejś drobnej lub większej przegryzki.

W centrum Warszawy jest kilkaset jadłodajni, od kebabów do ogwiazdkowanych lokali z białymi obrusami. Dla każdego coś – wege, chińska, tajska, polska, włoska. Po co zawracać sobie głowę gotowaniem, po którym jeszcze trzeba sprzątać. Na szczęście mamy te programy w tv, a nawet cały kanał kuchenny. Zamiast stać przy garach, zlegniemy na kanapie i popatrzymy, jak to robią fachowi ludzie. Pornografia kulinarna, czyli coś zamiast. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

MROCZNE OBLICZE SUV-A ROLLS-ROYCE'A

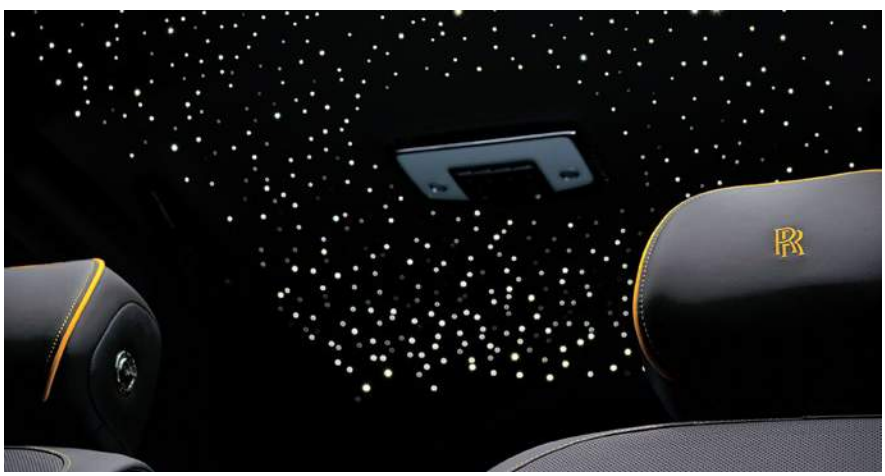

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rolls-Royce Cullinan Black Badge to eleganckie auto dla Batmana, rosyjskiego mafiosa czy niegrzecznego księcia z rodziny królewskiej. Mroczna odmiana SUV-a brytyjskiego producenta charakteryzuje się całkowicie czarną karoserią, czarnymi końcówkami układu wydechowego oraz sprawiającym wrażenie czarnego przednim grillem (tak naprawdę jest on chromowany i jedynie odbija czarny lakier). Pokryta czarnym błyszczącym lakierem jest nawet legendarna figurka Spirit of Ecstasy. Aby uzyskać naprawdę głęboką czerń, pracownicy angielskiej fabryki naprzemiennie nakładają na auto wiele warstw czarnej farby i lakieru. SUV-a w ciemnej wersji wyróżniają również 22-calowe dynamicznie wyglądające obręcze z kutego aluminium wraz z lakierowanymi na czerwono zaciskami hamulców (klient może wybrać oczywiście dowolny kolor lakieru).

W mrocznej tonacji utrzymane jest także wnętrze luksusowego pojazdu. Czarne jak smoła są skórzana tapicerka oraz wykonane z włókna węglowego elementy wykończeniowe. W tworzeniu romantycznej atmosfery na niegrzecznej randce pomoże z pewnością wrażenie gwiaździstego nieba na podsufitce (efekt powstaje dzięki ręcznemu wpleceniu aż 1344 diod).

Z myślą o niepokornych klientach projektanci wybrali również silnik do tego modelu. Pod maską zamontowano benzynową jednostkę V12 o pojemności 6,75 litra, która generuje aż 600 KM i 900 Nm momentu obrotowego. Taka moc sprawia, że trzytonowy ekskluzywny „czarnuch" rozpędza od zera do 100 km/godz. w niecałe 5 s. Prędkość maksymalna została ograniczona elektronicznie do 250 km/godz. Wersja Black Badge ma też ulepszone zawieszenie, układ hamulcowy oraz usportowioną ośmiostopniową automatyczną skrzynię biegów. Niestety, to nie jest model dla osób, które grzecznie pracują na etacie. Rolls-Royce Cullinan Black Badge kosztuje bowiem w Niemczech 324 275 euro, czyli niemal 1,5 mln zł.

FUTURYSTYCZNA KIA

Kia Futuron to odważny pojazd koncepcyjny, który producent z Korei Południowej pokazał na targach China International Import Expo 2019. „Tygrysi nos", mozaikowa struktura świateł LED, ogromne felgi oraz linia nadwozia inspirowana filmami science fiction szybko przyciągają uwagę. W dachu pojazdu ukryto mnóstwo czujników, które służą do autonomicznej jazdy. Kia Futuron spełnia bowiem wymogi czwartego poziomu autonomicznej jazdy (czyli samochód potrafi poruszać się w zasadzie bez pomocy człowieka). W modelu Futoron po przejściu na sterowanie przez komputer zmienia się wnętrze pojazdu: kierownica chowa się w pulpicie, a siedzenia mogą być rozłożone niczym fotele w lotniczej biznes class. Auto napędzane jest za pomocą czterech silników elektrycznych (po jednym przy każdym kole). O cenie nie ma mowy, bo na razie nie wiadomo, czy auto kiedykolwiek trafi do produkcji. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl f5436f6b3a

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE KSIĄŻKI

Jacques Peretti
"Zakulisowe umowy, które zmieniły świat"

Federico Varese
"Życie mafii"

~~377 zł~~ > **139,00 zł** < OSZCZĘDNOŚĆ 238 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f5436f6b3a

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ex Africa lux

Kryzys Kościoła wszedł dzisiaj w nową fazę: w kryzys Urzędu Nauczycielskiego". „Dzisiaj w nauczaniu pasterzy, biskupów i prezbiterów króluje jednak istna kakofonia". „Był w zalążku od znacznie dawniejszych czasów, ale nie da się zaprzeczyć, że po Soborze Watykańskim II nastąpił głęboki i powszechny kryzys Kościoła". „Z murów Kościoła sączy się tajemnica zdrady".

Cytat z abp. Marcela Lefebvre'a albo z któregoś jego uczniów skupionych w Bractwie św. Piusa X? Nie. Zacytowane zdania, wcale nie najmocniejsze, pochodzą z najnowszej książki, wywiadu rzeki z kard. Robertem Sarahem, urzędującym (jeszcze) prefektem Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Ukazała się niedawno jej polska edycja pt. „Wieczór się zbliża i dzień już się chyli" (Wydawnictwo Sióstr Loretanek).

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Wzalewających dzisiaj Kościół odmętach politycznej poprawności i neomodernizmu, skrywającego się – jak przystało na absolwentów niemieckich fakultetów teologicznych, którzy dzisiaj rządzą w kurii rzymskiej – za żargonem naukowości, lektura książki czarnoskórego kardynała jest ożywczym obcowaniem z duchem i myślą, która przez całe wieki kształtowała zachodnią cywilizację; cywilizację christianitas potrafiącą dokonywać „szczęśliwych syntez" (Benedykt XVI) wiary i rozumu, wolności i prawdy, prawdy i dobra, dobra i piękna.

Przynależność do takiej czy innej cywilizacji nie jest kwestią rasy, ale kwestią ducha. Pochodzący z Gwinei kard. Robert Sarah jest tego żywym dowodem. Czytając tę najnowszą książkę oraz inne publikacje byłego metropolity Konakry, nie sposób pozbyć się uczucia podziwu dla żywej wiary i głębi myśli człowieka, który wyrósł w rodzinie, w której jeszcze kilkadziesiąt lat temu praktykowano animizm.

Kardynał Sarah sam o sobie mówi, że jest „dzieckiem konstruktywnej kolonizacji". Przypomina – co samo w sobie dla propagatorów „pokutnej historiografii" w zachodnich mediach i na uniwersyteckich campusach jest prawdziwym horrendum – że europejska kolonizacja (w Gwinei – francuska) nie tylko niosła ze sobą ekonomiczny wyzysk. Otwierała także przed Kościołem możliwości pracy misyjnej, a wraz z nią dostęp kolonizowanym ludom do „bogactwa kulturowych, moralnych i religijnych wartości". Dzięki nim obecny prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego, urodzony w zachodniej Afryce, o wiele bardziej „czuje" cywilizację „szczęśliwych syntez" niż niejeden absolwent zachodnioeuropejskich wydziałów teologicznych. Trzeba bowiem mieć silną wiarę i zdrowy rozum (nie mówiąc o sporej dozie odwagi), by otwarcie krytykować teologię Karla Rahnera – mistrza i wychowawcę wielu grasujących dziś w Kościele zwolenników „nowego paradygmatu". Żaden z nich nie byłby w stanie napisać tego, co napisał kardynał z Afryki, że „Rahnerowska teoria »anonimowych chrześcijan« grozi tym, że zgasi w nas poczucie palącej potrzeby misji".

Terenem misyjnym stały się bowiem kraje zachodnie. Czarnoskóry purpurat nie szczędzi słów krytyki pod adresem współczesnego Zachodu. Jednak krytykuje go nie za to, za co był i jest krytykowany przez ideologów wielokulturowości, ale za to, że „zamknął się na Boga i wartości duchowe" i dlatego jest „bezsilnym świadkiem przejścia od ery człowieczeństwa do ery zbydlęcenia"; jest biernym obserwatorem „ścierania się ze sobą dwóch barbarzyństw: materialistycznego i islamistycznego".

Czy takie słowa mogą ujść bezkarnie? Czyż nie jest to sianie „mowy nienawiści" i islamofobii? A przecież nie brakuje i czegoś więcej, co dla autorów obowiązującego w naszych czasach przymierza między nową lewicą a starym modernizmem jest absolutnym skandalem. Pisze kard. Sarah: „Ludziom Kościoła, którzy rozmyślnie podtrzymują dwuznaczności co do chrześcijańskiej wizji zachowań homoseksualnych, utrzymując, że istnieje ścisła równość moralna wszystkich form seksualności, mówię, że postępują jak książę kłamstwa i że brak im miłości do ludzi". To bardzo daleko od słów: „Kimże ja jestem, aby ich sądzić?".

A przecież to autor tych słów, papież Franciszek, uczynił kard. Saraha prefektem jednej z najważniejszych kongregacji watykańskich. Ten sam papież, który niedawno wyniósł na ołtarze kard. Johna Henry'ego Newmana i otworzył drogę do beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia. Potwierdza się więc stara prawda, że Pan Bóg potrafi pisać prosto nawet po krzywych liniach. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Życie może być takie grube!

Tak na państwa patrzę i widzę, że nie wszyscy z państwa to szczuplaczki. O! Jaki niepokój po pierwszym zdaniu! O i mechanizm wyparcia się państwu włączył. Że co? Że niby ja? Co się ten Jastrzębowski czepia? Niech na siebie popatrzy. Grubas jeden. A w ogóle skąd on wie, jak ja wyglądam? Co to interaktywny tygodnik opinii z kamerami czy co?

Nieważne, skąd wiem. Ważne, że chcę pomóc, i to przed świętami. A w święta to dopiero waga łazienkowa będzie się z państwa natrząsać! Jak ja mogę pomóc? Otóż, proszę państwa, wszystkie ważne odpowiedzi na wszystkie istniejące pytania, także te egzystencjalne oraz cielesne, znajdują się w kulturze masowej. Trzeba tylko umieć szukać albo znaleźć odpowiedniego przewodnika. Dobrze, skoro państwo są tak zagubieni, to pomogę.

Zauważyć należy, że w kulturze masowej sporo jest wątków dotyczących masy, w tym zbędnej masy. Mnie się teraz przypomniało, że ja książkę czytałem, mało stron, dobrze mi poszło, Paula Ardena „Cokolwiek myślisz, pomyśl odwrotnie". Jemu chodzi o to, żeby nie wtłaczać się w te koleiny myślenia, odczuwania, działania, tylko żeby zajrzeć za kotarę zdarzeń i powiedzieć: „A kuku!". Schudnąć to, proszę państwa, każdy głupi umie, wystarczy schudnąć. Sztuka, żeby się z tym brzucholcem czuć dobrze i na masie zarabiać tłusty pieniądz. O! I tu przyda nam się kultura masowa.

Pozwolą państwo, że przedstawię, oto Dominika Gwit. Encyklopedyczne dzieła informują, że nasza 31-latka jest (teraz uwaga) osobowością medialną. Bardzo mi się to podoba, gdyż jest to piękny zawód. Pani Dominika stała się sławna, ponieważ schudła 50 kg. I świat wtedy stanął i się zachwycił! Ale schudła – rzekł świat. I dodał: Brawo! Prawdopodobnie wtedy pani Dominika postanowiła być sławniejsza i ruszyła do lodówki. Przytyła 50 kg albo więcej i teraz wygląda (żeby nikogo nie urazić) solidnie. Pani Dominika twierdzi, że chuda była nieszczęśliwa, a szczęście odnajduje w tkance tłuszczowej między innymi: „Całe życie byłam gruba, więc postanowiłam być chuda, bo wydawało mi się, że właśnie wtedy będę szczęśliwa. Guzik prawda. To się okazało totalnym kłamstwem i mitem, dlatego że moja otyłość najbardziej pokonała mnie psychicznie wtedy, gdy byłam najchudsza".

Wiele materiałów i wywiadów na ten temat powstało, że szczęście nie jest chude, tylko grube. Pani Dominika znalazła przystojnego męża i wszyscy życzą im szczęścia. Zdaje się, że wtedy właśnie pieniądz zaczął płynąć, bo np. zdjęcia pani solidnej Dominiki, tak ze sto parę kilogramów, w różnych ubraniach są publikowane. Pani Dominika jest przy tym zawsze uśmiechnięta i szczęśliwa, i pozytywna. I nie jest biedna. A i państwo może się zdecydują jednak na sukces, a nie takie ni to, ni śmo.

To co? Czekoladki? ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Historia według Netflixa

Czy w historii II wojny światowej istnieje coś takiego jak „nieistotne błędy"? Owszem, nawet wprawne oko może pomylić na zdjęciu model hełmu czy tygrysa. Gdzieś w opisie bitwy pomieszają się dywizje, w natarciu dzień czy godzina. Marginalne nie jest jednak podmienienie mapy, gdy mowa o serialu dokumentalnym, który obejrzą setki tysięcy, jeśli nie miliony osób. Właśnie to wydarzyło się jednak w produkcji Netflixa „The Devil Next Door", opisującej losy Ukraińca Iwana Demianiuka, który w latach 50. wyemigrował do USA, ale nie potrafił uciec od swojej tożsamości – kata Treblinki.

Gdyby ktoś miał wątpliwości, na czym polega problem i czy warto kruszyć o niego kopię – wyjaśniam: zamiast granic II Rzeczypospolitej pod okupacją niemiecką widzom zaserwowano mapę III RP, podpisaną po prostu „Poland". Tak, jakby Polska była w 1942 r. quasi-suwerennym państwem, na którego terenie działały „jakieś" obozy. Niektóre oznaczone swastyką, inne nie – wszystkie dobrane jednak według losowego klucza. Na tym nie koniec. Ze znanych tylko scenarzystom powodów obok Polski pojawiły się samodzielne Litwa czy Czechosłowacja, ale już nie Ukraina, będąca częścią ZSRS. Pomieszały się także lokalizacje niemieckich obozów w Chełmnie i Majdanku, z czego ten drugi błędnie zaklasyfikowano jako „fabrykę śmierci" (tak jak Treblinkę czy Bełżec). Na terytorium Rzeszy nie wyszczególniono również niczego więcej niż obozu w Ravensbrück. Pominięto Dachau czy choćby Stutthof, sugerując, że cały dramat Holokaustu rozegrał się poza granicami Niemiec.

Gdy dziennikarze i komentatorzy zaczęli zwracać na Twitterze uwagę na problem, podniosły się głosy w stylu: „Po co czepiać się detali?".

Przecież właśnie przez takie „detale" buduje się wizerunek państwa. Jeśli bowiem Polska podczas wojny istniała, to dlaczego nie zrobiła nic, aby tych obozów nie wybudowano? Kto je budował? Jak wygląda wina naszego narodu za zbrodnie Holokaustu? Te pytania, które sięgają genezą ośmiu dekad wstecz, dzisiaj mają konkretny, polityczny i finansowy wymiar.

Po listach premiera, wicepremiera i MSZ do Netflixa, w których domagali się sprostowań, Netflix oświadczył, iż „pilnie przygląda się sprawie" – napisał lakonicznie amerykański gigant streamingu w reakcji na protesty, a następnie ogłosił, że w ciągu najbliższych dni doda teksty do przedstawionych w filmie map, co pomoże wyjaśnić, że obozy zagłady i obozy koncentracyjne zostały zbudowane i były prowadzone przez niemiecki reżim nazistowski.

Teraz my, wyborcy, musimy pilnie przyjrzeć się temu, co rząd zrobi dalej. Chociaż interweniować trzeba, to znacznie ważniejsze jest, abyśmy potrafili jeszcze coś światu opowiedzieć. Choćby innym dokumentem Netflixa. Zapomnianych bohaterów nie brakuje. ©℗

eprasa.pl f5436f6b3a

OKIEM BLOGERKI

Uciec przed aborcją

KATARYNA

***DOMINIK TARCZYŃSKI:** „Prezes wie, co robi. Kolejny raz powtarzam. Nie emocje, a strategia. Spokojnie".*

Nie wiem, czy Dominikowi Tarczyńskiemu udało się uspokoić nastroje w elektoracie oburzonym oddaniem lewicy komisji, która zdecyduje o losach projektu „Zatrzymaj aborcję", ale strategia prezesa jest tu aż nadto czytelna. Prezes uznał – zresztą dawno temu – że politycznie mu się nie opłaca zaostrzanie ustawy antyaborcyjnej, i postanowił kolejny raz uciec od tematu, oddając go lewicy, na którą będzie mógł potem wszystko zwalić. Jedyne, co mnie zaskoczyło, to odkrycie, jak wiele osób aż do ubiegłego czwartku wierzyło, że PiS naprawdę zamierza zaostrzyć ustawę antyaborcyjną. Przez ostatnie cztery lata PiS miał pełnię władzy i żadnych oporów przed jej wykorzystywaniem. Mógł więc zakazać aborcji eugenicznej w ramach rządowej, poselskiej lub prezydenckiej inicjatywy ustawodawczej, a w ostateczności – przyjąć tę obywatelską. Jeśli tak się nie stało, to nie dlatego, że się nie dało. PiS nie chce ani nigdy nie chciał zmieniać przepisów antyaborcyjnych, ale nie miał odwagi się do tego przyznać elektoratowi. Szkoda, bo akurat odstąpienie od zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej jest zachowaniem etycznie uzasadnionym i politycznie roztropnym, a elektorat już kiedyś przełknął, gdy przeciwko naruszaniu aborcyjnego kompromisu stanowczo wypowiedzieli się ówczesny prezydent Lech Kaczyński i pierwsza dama, która nawet podpisała się pod listem dziennikarek w tej sprawie, obok Moniki Olejnik i… Joanny Lichockiej oraz Doroty Kani. A i sam prezes Kaczyński jeszcze w 2006 r. mówił, że aborcyjny kompromis powinien zostać utrzymany.

Prawny zakaz to ani nie jedyny, ani nie najskuteczniejszy sposób na ograniczanie aborcji. Zamiast podejmować decyzję za zdesperowane kobiety, powinno się stworzyć system, który stworzy im realną i akceptowalną alternatywę dla aborcji. Przez cztery lata rządów PiS mógł zrobić naprawdę dużo, aby ograniczyć aborcje dzieci z zespołem Downa – może wystarczyłyby ministerialne wytyczne wykluczające zespół Downa jako samodzielną przesłankę aborcji, nie zmuszając jednocześnie do nadludzkiego heroizmu kobiet, których dzieci nie mają żadnych szans na przeżycie, a czasami nawet dożycie do porodu. Można też było pochylić się nad procedurami adopcyjnymi, z promowaniem zagranicznych adopcji dzieci chorych oraz ułatwianiem adopcji ze wskazaniem włącznie. Jedne i drugie zostały mocno ograniczone. Aborcja to zawsze większe zło, jeśli którąś kobietę do donoszenia ciąży miałaby przekonać możliwość osobistego wybrania dla swojego dziecka adopcyjnej rodziny, to powinno się stworzyć prawo maksymalnie jej to ułatwiające. Nawet jeśli ostatecznie wahająca się matka miałaby otrzymać od tej rodziny jakąś rekompensatę za wysiłek donoszenia ciąży.

Przez cztery lata można było wypracować i przedyskutować mnóstwo rozwiązań w kwestii ratowania przed aborcją nie tylko dzieci z zespołem Downa, lecz także dzieci z gwałtu (których aborcji jakoś nikt nie chce zatrzymywać, co powinno dawać do myślenia). Tymczasem Polska nadal jest krajem, gdzie aborcja na życzenie jest dostępna dla każdej 15-latki (seks z osobą poniżej 15. roku życia jest przestępstwem, nawet jeśli nie był ani gwałtem, ani czynem pedofilskim), a dziecko z zespołem Downa można zabić prawie do końca ciąży. Naprawdę nie da się tego zwalić na opozycję. ©℗

PODSŁUCHANE

Dogadane

Jarku, możesz się zgodzić na limit 40-krotności albo nie. Mnie to rybka. Ale jeśli się zgodzisz, przynajmniej wyjdzie na to, że się położyłeś Rejtanem i dzięki tobie w ogóle jakiś limit zostaje.
A jeśli zagłosujemy przeciw?

Głosujcie. Ja się już z kim trzeba dogadałem. Wariantowo.
Nie mów, że z razemowcami.

Nie mówię z kim. Ale ten Zandberg, muszę ci powiedzieć, bardzo inteligentny, młody człowiek. Obiecująca lewica młodego pokolenia, wiele z nimi jeszcze można zrobić.
Może mi jeszcze powiesz, że będziesz razemowców do klubu PiS przyjmował?

Na razie chyba nie, ale kiedyś… Oni są pełni empatii dla ubogich i pokrzywdzonych, jak my, a w tobie ja tej empatii nie odnajduję. A czasy, sam wiesz, ciężkie idą. Trzeba będzie bogaczom przykręcić śrubę.
Jak przykręcisz śrubę, to dopiero się zrobi ciężko.

Rozmawiałem z tym nowym ministrem finansów. Ja nie mogę go dokładnie zrozumieć, bo on tak dziwnie mówi – to Mateusz się przy nim uparł – ale rozumiem tyle, że będzie źle. A skoro tak, to bogacze muszą się bardziej dzielić.
Protestuję!…

Protestuj. Bylebyś głosował, jak trzeba. Nie musisz się cieszyć. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dzisiaj w naszym kraju łamie się konstytucję".

***LECH WAŁĘSA**, były prezydent, w liście do amerykańskich parlamentarzystów*

eprasa.pl f5436f6b3a

fot. Jerzy Gumowski

RPA

Nazwy państw nikną, a często sekunduje temu korekta lub wręcz demolka granic (vide Austro–Węgry, ZSRR bądź też Jugosławia), albo ulegają zmianie wskutek impulsów antykolonialnych oraz aspiracji etno–nacjonalistycznych, tudzież językowego patriotyzmu (Cejlon stał się Sri Lanką, Birma stała się Mjanmą, itp.). Nam grozi wymuszona siłą międzynarodowego Salonu (od Piątej Alei do Brukseli) zmiana z przyczyn rasistowskich, która sprawi, że przestaniemy być RP (Rzecząpospolitą Polską), bo staniemy się RPA (Rzecząpospolitą Polską Antysemicką). Tylko co na to powie Republika Południowej Afryki? Będzie protestować, wskazując kradzież inicjałów.

Termin *„antysemityzm”* zaistniał 140 lat temu w książce Wilhelma Marra **„Der Sieg des Judenthums...”** (1879). Konserwatywny etyk Michael Jones tak określa to zjawisko: *„Jest to forma biologicznego determinizmu, zgodnie z którym DNA Żydów czyni ich źródłem społecznego zepsucia. Kategorycznie odrzucam ów pogląd jako całkowicie sprzeczny z wyznawaną przeze mnie wiarą katolicką — będąc rasizmem antysemityzm jest z tą wiarą zupełnie nie do pogodzenia”* (2014). Amen! — to samo zadeklaruje każdy prawdziwy katolik. Polskiemu katolikowi jednak taka deklaracja może dziś pomóc niczym porzekadłowemu *„umarłemu kadzidło”*, naczelną bowiem izraelską diagnozą w trwającej od paru lat kontrpolskiej ofensywie Żydów jest stwierdzenie, że *„polski antysemityzm”* ma biologiczne źródło, którym są piersi polskich matek karmiących swe niemowlęta.

Wizytujący III RP dziennikarze zachodni, wcześniej infekowani kontrpolską propagandą — często łapią się za głowę, nie mogąc wyjść ze zdumienia na widok powszechnego u nas filosemityzmu, którego świadectwami są żydowskie festiwale, muzea, teatry, zabytki, nekropolie, restauracje i przede wszystkim opinia publiczna przychylna Żydom. Antysemityzm (według wojujących Żydów wyssany z polskiej piersi, a według Polaków — z żydowskiego rasistowskiego palca) jest zjawiskiem nad Wisłą bezobjawowym niby *„schizofrenia bezobjawowa”* wewnątrz sowieckich *„psychuszek”*. Mówię o drapieżnej formie antysemityzmu, ponieważ łagodna (*„ludowa”* i humorystyczna) — zwykle łagodniejsza niźli szmoncesowa (czyli niż autoironia Żydów) — istniała od stuleci. Degenerowały ją chwilowe paskudztwa, choćby endeckie przed wojną, lecz nawet wówczas mający żydowskie pochodzenie szef **„Wiadomości Literackich”**, Mieczysław Grydzewski, mówił: *„Im głupszy Żyd — tym bardziej dopatruje się wszędzie antysemityzmu”*. A za PRL–u?

Za PRL–u prosowiecki reżim starał się grać antysemityzmem, starczy wspomnieć *„aryzowanie”* (termin oficjalny!) LWP przez gen. W. Jaruzelskiego (co jakoś nie osłabiło sympatii A. Michnika wobec *„aryzatora”*) lub *„marcową”* kampanię *„antysyjonistyczną”* PZPR w r. 1968. Syn ówczesnego partyjnego *„kacyka”*, mający żydowskie pochodzenie Antoni Zambrowski: *„ — Sowieci od początku zaszczepiali w Polsce antysemityzm. Ambasada sowiecka w Warszawie wielokrotnie sterowała nastrojami partyjnymi tak, aby przeświadczenie o knowaniach żydowskich rosło. Gomułka zapewniał Breżniewa, że żydowskiej V kolumny nie dopuści do głosu”* (2018). Wszystkie te partyjne wysiłki poszły *„psu w d...”* — nie udało się komuchom zaszczepić antysemityzmu na wszystkich poziomach społecznych. Przetrwał jedynie wśród umysłowych meneli i wśród neoendeków. Gdy się zważy gigantyczne pokłady jawnego antysemityzmu w krajach takich jak Francja czy Rosja, i kryptoantysemityzmu w wielu innych państwach (zachodnich, bałkańskich, nie mówiąc już o arabskich) — nasz stanowi margines marginesu, i jest to oczywista oczywistość.

Ofensywa Polakożercza oszczercza

Skąd się bierze ów margines marginesu? Z różnych źródeł, choćby z rozmaitej *„nadreprezentacji”*. Ludzie czytają prace naukowe o znacznej liczbowej przewadze Żydów w wyższych kadrach bolszewickich, czy pośród wierchuszki UB maltretującego patriotów. Albo widzą Bożonarodzeniową 2018 okładkę lewackiego **„Forum”**, zapełnioną od góry do dołu dziewięcioma drukowanymi wielką złotą czcionką nazwiskami głównych autorów tekstów w numerze, z czego siedmiu to Żydzi. Albo słyszą o największych jankeskich przestępcach seksualnych (Weinstein, Epstein). Albo dowiadują się, że rosyjscy oligarchowie, tak łatwo wykupujący elitarne futbolowe kluby, to Żydzi co do jednego. Albo czytają wyznanie polskiego oligarchy, Leszka Czarneckiego: *„ — Mieszkam z żoną na wyspie w Miami, gdzie są 42 domy — 41 żydowskich i jedyny gojowski, nasz”* (2018). Wystarczy za podglebie marginesowego antysemityzmu, tak samo jak ujawnienie na łamach **„Dziennika”** (2009) przez byłego dziennikarza **„GW”**, Michała Cichego, że cały redakcyjny sztab **„Wyborczej”** składa się z Żydów wojujących o żydowskość (co potwierdził inny wieloletni pracownik **„GW”**, Jerzy Jachowicz, zastrzegając — z obawy, iż zostanie posądzony o perorowanie antysemickie — że on i jego żona są czystymi Żydami). Trudno się więc dziwić, gdy neoendecy zwą **„Wyborczą”** *„żydowską gazetą dla Polaków”*, jednak trudno się też nie wkurzać, kiedy stosują taką terminologię: *„... przyczyny śmierci jakichś zdechłych Żydów”* (**„Najwyższy Czas!”** 11–12/2019). Jest to wszelako ów wzmiankowany już margines.

„Sieć” stanowi główne forum rzeczonego marginesu . Jej harcownicy wychwytują wszystko. Nie darowali nawet *„kolorówce”* publikującej A. D. 2017 artykuł **„Dlaczego Anna Jantar nie lubiła Bożego Narodzenia?”** (chrzaniono tam o garmażerii i o pewnym wypadku zakończonym szpitalem) — wytknęli, że wokalistka z domu Szmeterling nie lubiła Bożego Narodzenia po prostu dlatego, iż gojowskiego Boga, Jezusa Chrystusa, Żydzi od zawsze nie cierpią. Wszelako dzisiejsza zmasowana kontrpolska ofensywa żydowska nie tyczy takich drobiazgów — agresorów nie interesuje margines — lecz *„polskiego antysemityzmu”* ludobójczego, czyli rzekomej czołowej roli Polaków w zbrodni *„Shoah”*. Mnożą się ostatnio u nas (Grabowski, Engelking i in.) tudzież u cudzoziemskich akademików rozprawy przypisujące Polakom rolę wiodącą w Zagładzie. Stosowana przy tym metodologia jest zazwyczaj pseudoscjentyczna, a nawet kuriozalna. Przykładem może być pełna przekrętów i kłamstw monografia Williama H. Hagena o *„polskiej przemocy wobec Żydów”* (Cambridge University Press 2018): Hagen m.in. zinterpretował polskie wulgarne przekleństwo *„kurwa mać!”* jako *„kurwa maca!”*, czyli jako będące rażącym objawem *„polskiego antysemityzmu”* opluwanie *„macy”* (kultowego żydowskiego placka na paschalne święto) przez polskich gojów. To jest ten poziom „naukowy” żydowskich wywodów Polakożerczych. Również u rodaków. Dziennikarz Jonathan Brent pyta polską historyk z Instytutu Slawistyki PAN, Elżbietę Janicką, o *„odrzucenie prawdy o Holocauście”* przez dzisiejszych Polaków, a ta szeroko się rozwodzi nad tym haniebnym negowaniem prawdy (czyli polskiego współsprawstwa) i politpoprawny świat ma kolejną potwierdzającą paradygmat lekturę.

Jak się możemy pocieszać? Cytując werdykty nielicznych uczciwych Żydów i Niemców — dam po jednym przykładzie. Były dyrektor Yad Vashem, prof. Israel Gutman, szef zespołu redakcyjnego 3–tomowej **„Encyclopaedia of Holocaust”** (1990): *„Naród polski nie jest odpowiedzialny za to, że na jego ziemi zbudowano obozy koncentracyjne służące Zagładzie. Narodu polskiego nikt o zdanie nie pytał. Przestańcie winić Polaków!”*. I były przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, biskup Karl Lehmann: *„Polacy nie mają nic wspólnego ze sprawstwem Holocaustu. Tę zbrodnię ludobójczą zaplanowali Niemcy i wykonali Niemcy — oni ponoszą pełną odpowiedzialność. Polskiego sumienia nie bruka żaden cień, bo Polska nie mogła wstrzymać diabelskiej machiny śmierci na jej terytorium”*.

Pytanie: czy możemy powstrzymać diabelską machinę defamacji szkalującą naród polski coraz silniej? ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl f5436f6b3a

Lotto

MILIONY KRĘCĄ KAŻDEGO

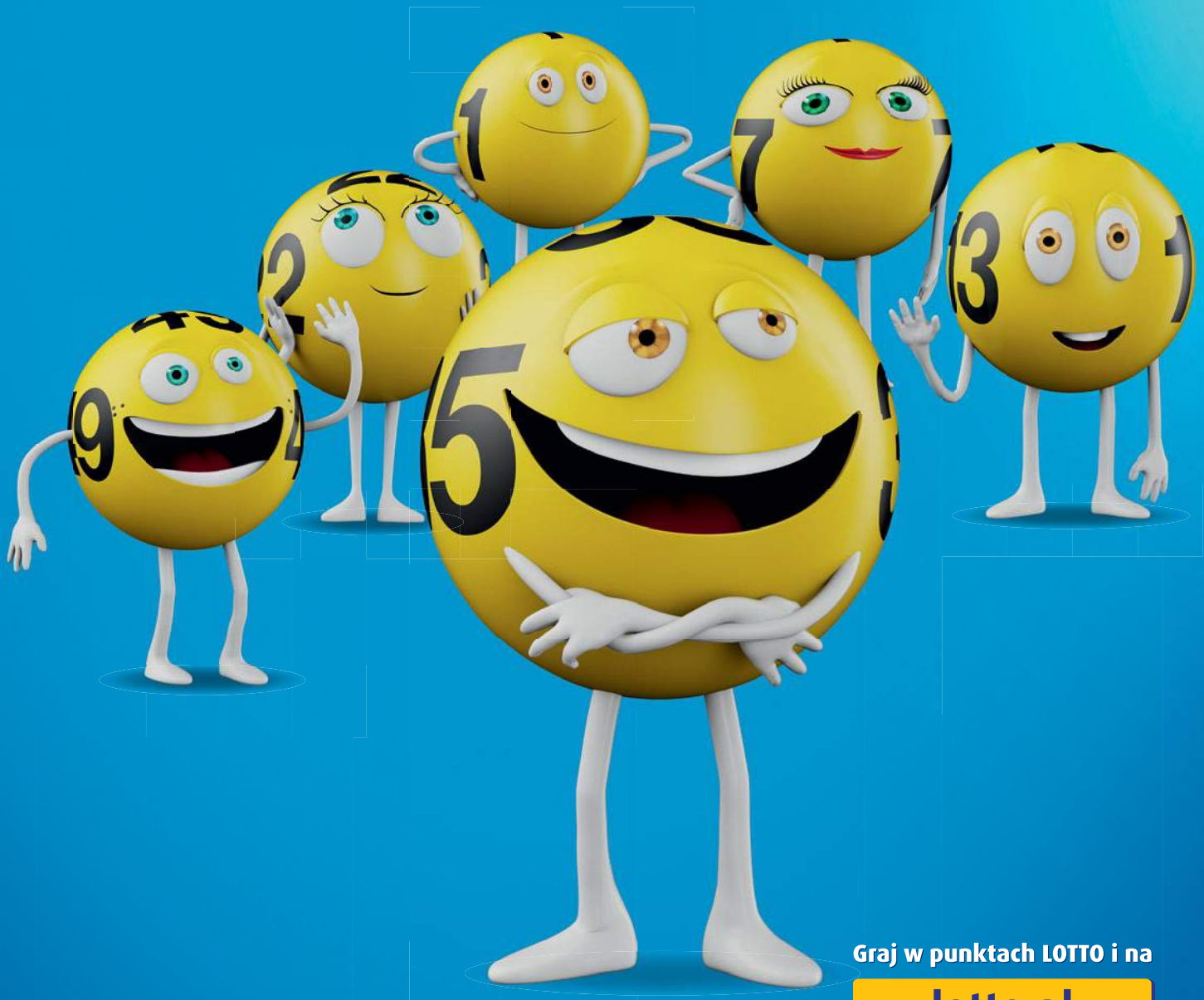

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl f5436f6b3a